

Walczyliśmy pod Arnhem
Sensacyjne relacje polskich
spadochroniarzy

Spisek ochrony
Czy rosyjskie służby zorganizowały
zamach w Sarajewie?

Perwersje nazisty
Szokujące wyznania sekretarki
Josepha Goebbelsa

CENA 8,90 Zł (W TYM 8% VAT)

NR 1(71)/2019 STYCZEŃ 2019

HISTORIA

DO
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
PRZECZY

9 772299 951509
ISSN 2299-9515
DO PRZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296031
0 1 >

Operacja „Market Garden”

ZDRADZONA BRYGADA

Jak Anglicy zrzucili winę za klęskę na Polaków

MUZEUM
PAMIĘCI
SYBIRU

NAJWIĘKSZE
MUZEUM
NA WSCHÓD
OD WISŁY
POWSTAJE!

MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU



WWW.SYBIR.BIALYSTOK.PL

ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
Prowadzący: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY”.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:

Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Marcin Bartnicki, Piotr Włodczyk**

Studio graficzne:

Wojciech Niedziółko (szef studia),
Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**

Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

Dorzczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem:

Zofia Magdziak (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Łodowski**

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu spółka Orle Pióro
wchodzi w skład grupy kapitałowej PMPG SA,
notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**

Zarząd spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: +48 22 347 50 10

reklama@dorzeczy.pl

PUBLIC RELATIONS:

pr@point-group.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpmg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedają egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie

www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.

Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 11 listopada 1926 r.

Józef Piłsudski z córkami w studiu radiowym, przed przemówieniem w rocznicę odzyskania niepodległości



FOT. NAC

Od redaktora /



Piotr Zychowicz

Gorzki los generała

To, kim był marszałek Bernard Montgomery, wie każdy średnio wykształcony mieszkaniec Zachodu. Ten brytyjski oficer – nazywany popularnie „Montym” – cieszy się do dziś sławą jednego z najwybitniejszych dowódców II wojny światowej. Jest uznawany za jednego z pogromców armii Adolfa Hitlera.

Kim był zaś gen. Stanisław Sosabowski? Na to pytanie przytłaczająca większość mieszkańców Zachodu wzruszy ramionami. Tylko nieliczni fani starego kina wojennego przypomną sobie to nazwisko.

– Czy to nie był ten polski lub czeski oficer, którego w filmie „O jeden most za daleko” grał Gene Hackman? – zapytają.

Tak, muza historii Klio jest niesprawiedliwa. We wrześniu 1944 r. gen. Montgomery zaplanował karkołomny plan wielkiej operacji powietrznodesantowej. Chodziło o zrzućenie spadochroniarzy na teren Holandii, opanowanie kluczowych mostów i otwarcie przed alianckimi wojskami drogi do III Rzeszy. Operacji nadano kryptonim Market Garden.

Generał Sosabowski – dowódca 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej – od początku przestrzegał, że plan jest szalenie

ryzykowny i musi zakończyć się fiaskiem. Niezwykle ambitny, drażliwy na punkcie własnego ego Montgomery odrzucał te przestrogi z gniewem. Uznał Polaka za „defetystę”.

Rację miał jednak Sosabowski. Operacja „Market Garden” zakończyła się spektakularną klęską. A straty brytyjskich i polskich spadochroniarzy były zatrważające. Cóż zrobił Montgomery? Czy przyznał się do błędu i podał do dymisji? Skądże! Tak świat niestety nie działa.

Montgomery zrzucił winę za katastrofę na gen. Sosabowskiego. Zarzucił mu – co było nieprawdą – że podczas akcji źle dowodził swoimi ludźmi. Brytyjczycy kazali polskiemu rządowi w Londynie zdymisjonować Sosabowskiego, co ten potulnie uczynił. Wybitny polski generał po wojnie pracował jako magazynier w brytyjskiej fabryce.

Generałowi Stanisławowi Sosabowskiemu wyrządzono wielką krzywdę. Za swój nonkonformizm i swoją odwagę cywilną zapłacił olbrzymią cenę. Dla nas jednak generał jest bohaterem przez duże B. Cześć jego pamięci! Cześć pamięci jego żołnierzy, którzy za swoim dowódcą gotowi byli pójść w ogień! ©

/ TEMAT NUMERU

.6 WOJCIECH MARKERT

**Zdradzona
brygada**

.14 PIOTR ZYCHOWICZ

Walczyliśmy pod Arnhem

.18 PIOTR SEMKA

Wielki głód Holendrów

.22 JAKUB OSTROMĘCKI

„O jeden most za daleko”

/ CZASY I LUDZIE

.28 MIKOŁAJ IWANOW

**Ochrona i zamach
w Sarajewie**

.32 ILAN PAPPÉ:

Jak Izrael wypędził Arabów

.36 ARKADIUSZ KARBOWIAK

Mussolini w Abisynii

.40 TOMASZ STAŃCZYK

Życie po getcie

.43 SŁAWOMIR KOPER

Kochanek cesarza Hadriana

.46 MAREK GAŁĘZOWSKI

Andersowcy w kleszczach bezpieki

.50 MARIAN ZACHARSKI

Protokoły pазnegо Göringa

.54 JOCHEN BÖHLER

Bój na zgliszczach imperiów

.57 PAWEŁ SZTAMA

**Psychoza czerwonego
pułkownika Burgina**

.60 MARCIN BARTNICKI

Sensacyjna spowiedź sekretarki Goebbelsa

.65 ŁUKASZ CZARNECKI

Tajemnice Wielkiego Muru

.68 LAURENCE REES

Ostatni rozdział Zagłady

.72 MACIEJ ROSALAK

Wielki człowiek małej konstytucji

/ CO CZYTAĆ

.76 KRZYSZTOF MASŁOŃ

**Inny świat
Zygmunta Kubiaka**

/ FELIETONY

.84 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Zapomniane zwycięstwo

.85 PIOTR SEMKA

Łatwo przyszło, łatwo poszło

.99 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Bolkowość III RP

/ KRESY

.86 TOMASZ STAŃCZYK

Ostatnie polskie lenno

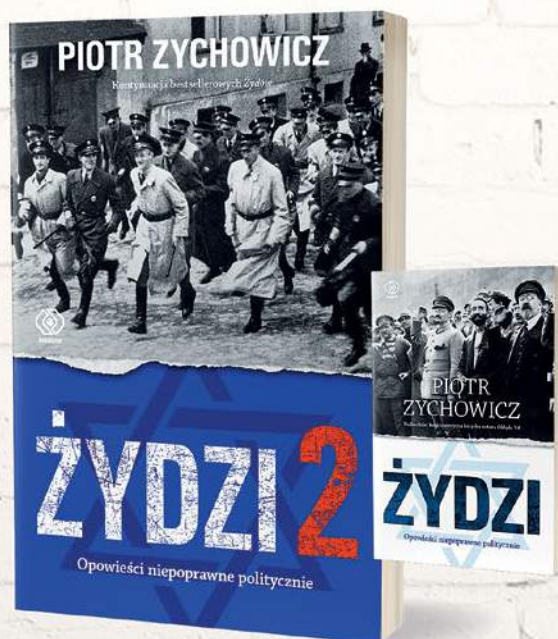


/ BATALIE I WODZOWIE

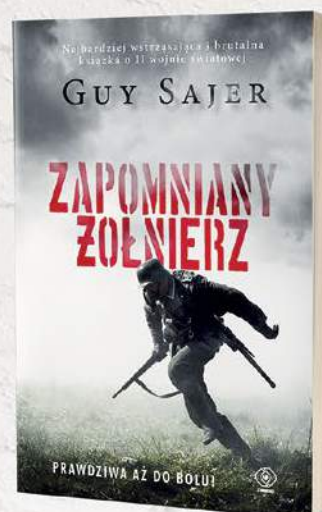
.90 MACIEJ ROSALAK

Krucjata utopiona
w Dunaju

/ KOMIKS

.98 KRZYSZTOF
WYRZYKOWSKI,
MACIEJ JASIŃSKIObrona
Głogowa

Najnowsza książka Piotra
Zychowicza! Kontynuacja
bestsellerowych Żydów



Najbardziej
wstrząsająca
i brutalna
książka
o II wojnie
światowej.
Prawdziwa aż
do bólu!



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



FB/DWREBIS



www.rebis.com.pl



Wywiad /

Aliancki desant
w operacji
„Market Garden”

FOT. GETTYIMAGES

Zdradzona

O kulisach operacji „Market Garden” z Wojciechem Markertem



rozmawia Marcin Bartnicki

Brygada



Brytyjscy spadochroniarze FOT. ALAMY/BEGW

/ Bitwa była już przegrana, gdy Polacy weszli do akcji. Mimo to brytyjski marszałek obwiniał ich o porażkę

MARCIN BARTNICKI: Polska 1. Samodzielna Brygada Spadochronowa straciła w operacji „Market Garden” ponad 400 ludzi, 97 z nich zginęło. Brytyjskie dowództwo musiało być nam bardzo wdzięczne za to poświęcenie.

WOJCIECH MARKERT: Paradoksalnie, nie. Najwyższe brytyjskie dowództwo próbowało zrzucić na gen. Stanisława Sosabowskiego winę za niepowodzenie całej operacji. Bezpośrednio po bitwie marszałek Bernard Montgomery napisał w tajnym szyfrogramie, że Polacy walczili bardzo źle, tchórzliwie i unikali walki. W związku z tym nie chce polskiej brygady u siebie i proponuje, aby nasi spadochroniarze dołączyli do swoich rodaków we Włoszech. Ten skandaliczny szyfrogram przez długi czas pozostawał nieznanym. Depesza została ujawniona dopiero w latach 70. Strata kilkuset ludzi

nominalnie może wydawać się niewielka. Dla Polaków była jednak bardzo dotkliwa, dlatego że w przeciwnieństwie do Brytyjczyków nie mieliśmy możliwości uzupełnienia szeregów brygady. Okazało się, że już do końca wojny oddział nie był zdolny do walki. Najbardziej obwiniany o to był gen. Sosabowski. Od początku zwracał uwagę na słabości całego planu. Był to pewien paradoks, ponieważ starał się ratować tę operację. Mimo to zrobiono z niego kozła ofiarnego. Wskazywano, że był konfliktowy i że kłopoty we współpracy z nim przyczyniły się do porażki.

Może te oskarżenia są w części prawdziwe? Trudno wyobrazić sobie, aby Brytyjczycy wszystko to sobie wymyślili.

Jak zwykle w takich historiach jest ziarno prawdy. Rzeczywiście gen. Sosabowski nie miał łatwego charakteru i łatwo popadał w konflikty. Już przed wojną zdarzało mu się kłócić zarówno ze swoimi dowódcami, jak i z podwładnymi. Uchodził za dość trudnego, bardzo zasadniczego człowieka. Jego zachowanie i polskie zwyczaje mogły być niezrozumiałe dla Brytyjczyków.

Prosił np. o potwierdzanie rozkazów na piśmie, co było zupełnie normalne w polskich procedurach. Brytyjczycy odbierali to jednak bardzo źle. Nie znali czegoś takiego. Uważali, że rozkaz, nawet wydany ustnie, jest tak samo ważny jak ten na piśmie. Była to różnica w mentalności i wojskowych obyczajach. Na to wszystko nakładało się jeszcze to, że Sosabowski był bardzo źle odbierany, nie znał dobrze angielskiego, w rozmowach musiał się więc podpierać adiutantem, przez co dochodziło do pewnych niezgrabności. To na pewno nie ułatwiało współpracy. Jego krytyka była jednak konstruktywna. Jeżeli zgłaszał na etapie planowania jakieś uwagi, to były one trafne i ważne.

Sojuszniczych dowódców drażniło to, że Sosabowski miał rację?

Zwrócił uwagę przede wszystkim na niedocenianie przeciwnika, które okazało się jedną z głównych przyczyn klęski, jeśli nie decydującą. W tej kwestii niewątpliwie miał rację. Gdy Brytyjczycy myśleli już tylko o ewakuowaniu przyczółka, on wciąż zgłaszał swoje



Marszałek Bernard Law Montgomery FOT. WIKIPEDIA



Generał Stanisław Sosabowski FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

pomysły. Powiedział np., że skoro Niemcy dysponują dużą przewagą w rejonie Arnhem, to należy przesunąć forsowanie rzeki w inne miejsce i zaskoczyć Niemców. Jego konstruktywne propozycje jeszcze bardziej drażniły Anglików. Mieli już ułożony plan działania, a tu pojawiały się ciągle jakieś nowe pomysły. Można oczywiście mieć wątpliwości, czy akcja według jego planu miałaby szansę powodzenia. Nie można jednak powiedzieć, że gen. Sosabowski i jego żołnierze nie chcieli wykonywać rozkazów, nie chcieli walczyć albo tworzyli jakieś wyimaginowane przeszkody. Przeciwnie, szukali pomysłów, jak wybrnąć z trudnej sytuacji, w której znaleźli się wbrew sobie.

Polacy mieli tylko wykonać zadanie, bez wtrącania się w plany. Czy liczone się z uwagami Sosabowskiego?

Trzeba tu zwrócić uwagę na to, co dobrze pokazano w książce i filmie „O jeden most za daleko”. Brytyjczycy chcieli za wszelką cenę przeprowadzić operację powietrznodesantową. Byli zafascynowani narzędziem, jakim była 1 Aliancka Armia Powietrznodesantowa. Powstawała

z wielkim trudem i chciano jej koniecznie gdzieś użyć. Trwała gonitwa planowania operacji za operacją. Problem w tym, że nie były one realizowane, ponieważ wojska lądowe docierały do miejsc planowanych desantów tak szybko, że przeprowadzanie rzutów nie miało sensu.

Tuż przed „Market Garden” w tym samym miejscu miała zostać zrealizowana inna operacja o kryptonimie Comet. Mieli w niej wziąć udział dywizja brytyjska i Polacy. Sosabowski dowiedział się o tym od dowódcy dywizji gen. Urquharta, czyli na stosunkowo niskim szczeblu, gdy wszystko było już zatwierdzone na poziomie strategicznym. Kiedy polski generał usłyszał, jak wielki teren mieliby uchwycić jego brygada i Brytyjczycy, przedstawił swoje wątpliwości. Dowódca dywizji uznał je za zasadne, doprowadził do odwołania ataku i dorzucenia do kolejnego planu dwóch kolejnych dywizji, czyli ponad dwukrotnie wzmocnił siły uderzeniowe. Tak właśnie powstał plan operacji „Market Garden”. Polacy nie byli więc tak naprawdę dopuszczeni do planowania,

ale uwagi Sosabowskiego znacząco zmodyfikowały plany. Bez tych modyfikacji natarcie zakończyłoby się kompletną masakrą wojsk alianckich.

Jaką rolę Sosabowski odgrywał w strukturze dowodzenia?

Generał był zaledwie dowódcą jednej z brygad, w dodatku był obcokrajowcem. Brytyjska dywizja składała się z czterech brygad, w tym jednej polskiej. Planowaniem zajmowała się duża grupa sztabowców: po pierwsze, dowództwo marszałka Montgomery’ego, po drugie, dowództwo alianckiej armii powietrznodesantowej ■

■ i wreszcie korpus powietrznodesantowy. Biorąc pod uwagę swoją pozycję, Sosabowski miał stosunkowo duży i zbawienno wpływ na plan ataku.

Rozumiem, że celem strategicznym było szybkie pokonanie Niemców. Czy była jednak jakaś alternatywa dla „Market Garden”? Nie dało się osiągnąć tego celu w inny sposób?

Jesienią 1944 r. aliantów poniósł straszliwy optymizm. Niemiecki front załamał się i pędzili przez Francję. Uznano, że zakończenie wojny to kwestia miesięcy. Pojawił się więc śmiały pomysł: a może by zrzucić te dywizje powietrznodesantowe na Berlin? Spadochroniarze mieli schwytać przywódców III Rzeszy, w tym samego Hitlera.

To byłaby chyba najbardziej absurdalna operacja II wojny.

Tak, to była zdecydowanie przesada. Plan „Market Garden” był przejawem panującego wówczas optymizmu. Jeśli przyjrzymy się szczegółom, to zauważymy, że pomysł był błyskotliwy. Imponował śmiałością i złożonością. Miał jednak jedną bardzo dużą wadę. Nie pozostawiał marginesu na błędy i niepowodzenia. Korytarz, który próbowano stworzyć, na szczeblu taktycznym miał składać się z wielu ogniw. Zniszczenie jednego skutkowało załamaniem się całego łańcucha. Niezdobycie jednego mostu lub wysadzenie go przez Niemców powodowało, że walił się cały plan. Cel strategiczny, jakim było śmiałe uderzenie, aby powalić Niemcy jednym ciosem, wydawał się realny.

Uderzenie w tym miejscu miało sens i szanse powodzenia. Czy rzeczywiście zdecydowano się na tę operację trochę na siłę, aby wykorzystać gdzieś spadochroniarzy?

Był to atak niemal w sąsiedztwo Zagłębia Ruhry. Jednym ruchem można było zająć bardzo duży i trudny teren, umożliwiając natarcie na terytorium Rzeszy. Obok siebie znajdowało się wiele rzek, których forsowanie trwałoby długie miesiące. Wydawało się, że znalazło



Mundur gen. Stanisława Sosabowskiego z bitwy pod Arnhem. FOT. MWP

no sposób, aby skończyć wojnę przed Bożym Narodzeniem. Historycy są jednak zgodni, że nawet gdyby ta operacja zakończyła się powodzeniem i udało się przejąć kontrolę nad kluczowym korytarzem, to trudno byłoby go utrzymać. Nie doceniono determinacji Niemców. A ci nie byli głupi i doskonale zdawali sobie sprawę, o co toczy się gra. Zaczęli ściągać absolutnie wszystko, co się dało. Pojazdy pancerne przyjeżdżały prosto z fabryk. Przerzucono cały batalion najlepszych czołgów, które dopiero zostały wyprodukowane. Gdyby operacja „Market Garden” się powiodła, wojna na pewno jeszcze by się nie skończyła, ale Niemcy znaleźliby się w bardzo trudnej sytuacji.

Nawet człowiek średnio obeznany z wojskowością może dostrzec dość oczywiste błędy w planie desantu. Z przebiegu operacji wynika, że nie wzięto pod uwagę kilku czynników ryzyka, np. zmiany pogody, która odsunęła w czasie kolejne zrzuty. Nie wykorzystano przez to efektu zaskoczenia. Kto odpowiadał za te błędy?

Rzeczywiście, nie uwzględniono podstawowych czynników, które bierze się pod uwagę w planowaniu wojskowym. Pierwszy to czas, drugi to teren, trzeci – pogoda, a czwarty to przeciwnik. Wszystkie te czynniki potraktowano bardzo optymistycznie. Uznano po prostu, że będzie dobrze. Jeżeli dla głównego celu – mostu w Arnhem, wyznacza się strefy lądowania oddalone 10 km od tej przeprawy, to trochę tak, jakby w Warszawie, próbując zdobyć most Poniatowskiego, zrzucano spadochroniarzy na polach wilanowskich. Wyglądało to, jakby przyjęto założenie, że nikt nie będzie bronił terenu znajdującego się po drodze. Major John Frost dowodzący batalionem, który jako jedyny dotarł do celu, chciał, aby jego oddział został zrzucany po drugiej stronie rzeki, tuż przy samym moście. Ten doświadczony

spadochroniarz, jeden z twórców brytyjskich wojsk powietrznodesantowych, wspomina w swojej książce „A Drop Too Many”, że powiedziano mu, iż tamten teren kompletnie nie nadaje się do desantu. Co ciekawe, dokładnie w tym samym punkcie pierwotnie zaplanowano miejsce lądowania Polaków.

Brytyjskie czołgi pod Nijmegen atakowały wąską groblą, będąc łatwym celem. Przeprawienie natarcia w tym terenie było prawie niewykonalne przy silnym oporze Niemców. Kolejny błąd.

Długie odcinki trasy między mostami to pojedyncze, wąskie drogi, często na nasypach, bardzo łatwe do obrony. Ataki na takich odcinkach były na pewno bardzo trudne, ryzykowne i czasochłonne. Na to nałożyły się jeszcze inne kłopoty aliantów: problem z synchronizacją ataków lotniczych, słaba łączność z oddziałami na ziemi i przesunięcia stref zrzutów. Plan zakładał zdobycie nieznanych mostów i poza Arnhem się to udało. W powietrze wyleciały tylko dwie niewielkie przeprawy na kanale Wilhelminy, przy czym ważniejszą z nich udało się błyskawicznie zastąpić przeprawą saperską. W ogóle jednak nie zakładano, że Niemcy mogą wysadzić mosty natychmiast, a próbowali to zrobić. Most w Nijmegen ocalał cudem. Był zaminiowany, przygotowany do wysadzenia, ale coś nie zadziało. Do dziś nie udało się ustalić z całą pewnością, co właściwie się tam wydarzyło. Jednak kilka dni później został poważnie uszkodzony przez niemieckich pływonurków. Nawet gdyby ta operacja zakończyła się sukcesem, ten korytarz z szeregiem przepraw przez rzeki był bardzo trudny do utrzymania. Wydaje się, że kluczowe w konstruowaniu tak ryzykownego planu było przeświadczenie Brytyjczyków, iż Niemcy mają tam bardzo słabe siły i szybko się załamają. Niedocenienie przeciwnika wydaje się kluczowym czynnikiem, który doprowadził do porażki.

Błędna ocena morale to jedno. Czy jednak nie przeprowadzono rozpoznania rozmieszczenia niemieckich jednostek?

Funkcjonuje mit, według którego Brytyjczycy byli zaskoczeni obecnością wojsk pancernych w rejonie Arnhem. Wzięto się to z książki Corneliusa Ryana, co pokazano też w filmie „O jeden most za daleko”. I rzeczywiście, szeregowi

żołnierze i niżsi oficerowie byli tym zaskoczeni, natomiast na szczeblu operacyjnym doskonale zdawano sobie sprawę, że te jednostki się tam znajdują. Wiedzano o tym z trzech źródeł. Pierwsze to doniesienia rozpoznania lotniczego. Drugie: informacje od ruchu oporu. Gdy Ryan pisał swoją książkę, nie miał jeszcze dostępu do materiałów z trzeciego źródła, którym była operacja „Ultra” – nasłuch i dekryptaż niemieckich meldunków z „Enigmy”. Odnaleziono odszyfrowane przez Brytyjczyków niemieckie depesze, w których jest jasno napisane, w których miejscowościach pod Arnhem stoją niemieckie jednostki. Wydaje się, że przyjęto założenie: „Oni są w tak kiepskim stanie, tak pobici w tej Francji, tak załamani, że będą uciekać”.

Absurdalne założenie.

Niestety tak, ale można je usprawiedliwić. Kampania we Francji rzeczywiście była pasmem sukcesów. Po przełamaniu oporu w Normandii alianci często nie nadążali z zajmowaniem terenów, które opuszczali Niemcy. Wehrmacht uciekał szybciej, niż alianci byli ich w stanie gonić. Optymizm miał więc swoje podstawy i pojawił się również wśród dowództwa Armii Krajowej. Decyzje o rozpoczęciu akcji „Burza” i powstania warszawskiego opierały się na podobnych założeniach. Być może to echo I wojny światowej. Pod koniec wojny, gdy front zbliżył się do granic Niemiec i armia zaczęła ponosić klęski, nastąpił rozkład od wewnątrz.

Przełamanie frontu we wrześniu 1939 r. i blitzkrieg we Francji przyniosły podobny efekt.

Często jest tak, że wojskowi myślą kategoriami poprzedniej wojny. Co więcej, 20 lipca dochodzi do zamachu na Hitlera. To znaczy, że objawy jakiegoś kryzysu wewnętrznego są wyraźnie widoczne. Przeświadczenie, że Wehrmacht zacznie się rozsypywać, wynikało z doświadczeń 1918 r., gdy Niemcy wycofali się niemal bez walki, np. z rejonu Warszawy. Założenia nie były więc wyssane z palca, ale nie wzięto pod uwagę, że III Rzesza to nie kajzerowskie Niemcy. Pod Arnhem znalazły się elitarne, fanatyczne jednostki SS. To nie mogło się skończyć dobrze.

Jakie znaczenie w podjęciu decyzji o ataku miała rywalizacja między Montgomerym a Geo-

rgem Pattonem? Montgomery podszedł do tego ambicioznie i chciał być tym, który wygra wojnę?

To był istotny czynnik. Aliancka armia powietrznodesantowa była odwołem strategicznym. Ten z dowódców, który zaproponował błyskotliwy plan jej użycia, dostawał ją do wykorzystania na swoim odcinku. Montgomery mógł w ten sposób czasowo powiększyć swoje siły. Brytyjczycy przekonali więc Dwighta Eisenhowera, aby dać tę armię właśnie Montgomery'emu. Patton był zwolennikiem rajdów pancernych i nie widział potencjału w wojskach powietrznodesantowych. Montgome-

tycznym i strategicznym. Nagle w różnych miejscach zaczęły lądować alianckie oddziały i Niemcy nie wiedzieli, o co chodzi. W pierwszych dniach nie bardzo mogli ułożyć te działania w całość i odgadnąć, jaki jest ich cel. Co więcej, gdy w ich ręce przez przypadek wpadł komplet dokumentów, zabrany wbrew rozkazom przez jednego z amerykańskich oficerów, niemieccy dowódcy uznali, że taka operacja jest po prostu niemożliwa. Niemcom trudno było wyobrazić sobie operację powietrznodesantową na tę skalę. Nigdy w czasie wojny nie mogli marzyć o tak wielkich siłach powietrznodesantowych gotowych do użycia.



General Kazimierz Sosnkowski i płk Stanisław Sosabowski, 1943 r. FOT. WIKIPEDIA

ry walczył zresztą nie tylko o swoją osobistą sławę, lecz także o chwałę imperium brytyjskiego. Trwała rywalizacja między Wielką Brytanią a Stanami Zjednoczonymi. Brytyjczycy doznali dotkliwych strat. Nie tylko w koloniach, zagrożona była sama stolica imperium. Chęć odbudowy prestiżu i zdobycie palmy pierwszeństwa spektakularnym uderzeniem były istotne dla państwa. Były też bardzo brytyjskie. Z tego myślenia wynikała również konieczność znalezienia kozła ofiarnego. Przecież wspaniały brytyjski marszałek nie mógł ułożyć, zatwierdzić ani forsować złego planu operacji.

Początkowo plan się sprawdzał. Udało się zaskoczyć Niemców.

Trzeba przyznać, że w całej operacji alianci mieli wiele szczęścia. „Market Garden” mógł zakończyć się znacznie gorzej. W pierwszym momencie udało się uzyskać zaskoczenie w wymiarze tak-

Mieli przecież sukcesy w podobnych operacjach. Niemieccy spadochroniarze zajęli w ten sposób Kretę.

Tak, ale mieli problem ze zrzuconiem jednej dywizji. W Holandii wykorzystano siły wielkości 3,5 dywizji i tysiące szybowców. Plan był błyskotliwy i Niemcy byli nim oszołomieni. Rzeczywiście, część niemieckich jednostek była wtedy zdemoralizowana. Niemiecka armia w czasie II wojny światowej miała jednak kapitalną zdolność regeneracyjną – pozbierania się i tworzenia improwizowanych grup oporu, a następnie przeciwdziałania po pierwszym zaskoczeniu. Tak też stało się tym razem. Po stronie aliantów walczyli doskonali żołnierze, świetni, pomysłowi oficerowie – crème de la crème armii. Bili się znakomicie. Gdyby jednak Niemcy wykorzystali kilka alianckich błędów, wiedzieli o operacji trochę więcej, łatwo można sobie wyobrazić, jaką katastrofą mogło zakończyć się natarcie aliantów. Stracona mogła

■ zostać nie tylko jedna dywizja powietrznodesantowa, lecz także Niemcy mogli odciąć i zniszczyć całą szpicę pancerną, która szła na Arnhem. Początkowe sukcesy, czyli zdobycie przepraw, utrzymanie mostu w Arnhem, to efekt nie tylko szczęścia, lecz także heroicznej postawy żołnierzy broniących się przed dysponującymi miazdzącą przewagą Niemcami. Polska brygada też odegrała w tym dużą rolę, większą, niż wynikało z proporcji sił.

Jakie cele postawiono polskim spadochroniarzom?

Mieli włączyć się do akcji na końcu. Sprawili to, że można było skorygować miejsce zrzutu. Polacy szli już wówczas tylko na pomoc oblężonym. Uchwycili kawałek brzegu, przez który nastąpiła ewakuacja. Gdyby nie polska brygada, z brytyjskiej dywizji nie zostałoby nic.

Polacy ponieśli duże straty, osłaniając tę ewakuację, wielu żołnierzy trafiło przez to do niewoli.

Brytyjczycy zostali odepchnięci od mostu i bronili się, przyparci do rzeki, w rejonie Oosterbeek, kilka kilometrów od Arnhem. Polacy, zrzućeni po przeciwnej stronie rzeki, uchwycili rejon trudny ze względu na warunki terenowe. Poldery, kanały i podmokłe tereny utrudniały operowanie ciężkim pojazdem. Obecność polskich spadochroniarzy dawała im niezbędną osłonę. Co więcej, polska brygada została rozczłonkowana. Najbardziej wartościowy ciężki sprzęt, działa przeciwpancerne i zapas amunicji wyładowały po stronie Brytyjczyków. Polski desant w rejonie Driel miał też kolejnego pecha – część samolotów (41 ze 114) zawróciła do Anglii, nie zrzucawszy spadochroniarzy. Żołnierze ci dotarli do Holandii dopiero dwa dni później – 23 września, a do głównych sił brygady dołączyli ostatniego dnia operacji. Polska brygada nie miała więc nigdy możliwości walczyć jako całość. Działania prowadziły poszczególne pododdziały. Postawa i odwaga żołnierzy były w tej sytuacji decydujące, więc tym bardziej oskarżenia Montgomery'ego o unikanie walki są obraźliwe.

Unikając walki, Polacy nie ponieśliby takich strat.

Przeprowadzali się przez rzekę w małych łodziach, w małych grupach. To były indywidualne decyzje i odwaga żołnierzy. W szybowcach lądowało po



Hełm spadochroniarza

FOT. ARCHIWUM

dwóch–trzech żołnierzy, którzy indywidualnie dołączali do Brytyjczyków. Zarówno sztab, jak i poszczególni żołnierze wykazali się dużym zaangażowaniem i poświęceniem. Zrobili więcej, niż można oczekiwać od żołnierza w takich warunkach. Tym bardziej skandaliczne jest to, co działo się później.

Kiedy stało się jasne, że operacja zakończy się niepowodzeniem? Już w momencie, gdy opóźniły się pierwsze zrzuty, czy wtedy jeszcze można było uratować całe natarcie?

O porażce zdecydowały drugi i trzeci dzień operacji – 18 i 19 września. Pod Arnhem w rejon mostu dostał się wtedy jeden batalion, ale reszta sił została odcięta. Brytyjska 4 Brygada Spadochronowa została w zasadzie zniszczona. Brytyjczycy zdecydowali, że nie będą nacierać na Arnhem i przejdą do obrony. Jednocześnie Niemcy zaczynają w tym czasie ściągać posiłki w okolice Nijmegen. Wydaje się, że od tego momentu nie było już szans na zwycięstwo. Jest to jednak ocena z perspektywy historyka, który zna już cały przebieg zdarzeń. Uczestnicy bitwy nie mieli pojęcia, że sytuacja jest tak zła. Gdy Polacy lądowali 21 września, wydaje się, że szli już wyłącznie z oświeconą, choć oczywiście nie zdawali sobie z tego sprawy. Myślę, że również brytyjskie dowództwo miało jeszcze nadzieję na uratowanie sytuacji.

Co się stało po wojnie z gen. Sosabowskim? Tak doświadczony żołnierz z elitarnej formacji mógł zostać wykorzystany w armii.

Polscy żołnierze byli kompletnie niedocenieni. W pewnej mierze można to zrozumieć. Sosabowski słabo mówił po angielsku, niepokorny, krnąbrny generał nie był dla Brytyjczyków uży-

teczny. Polacy stali się raczej ciężarem niż cennym nabytkiem. Część brytyjskiego społeczeństwa uważała, że Polacy będą zabierać miejsca pracy. Przykre jest to, że Sosabowski został usunięty z dowodzenia oddziałem, który stworzył, co prawda pod naciskiem brytyjskim, ale jednak przez polskie władze. Nie dano mu szansy obrony. Brytyjczycy narzucali reguły gry i prezydent Raczkiewicz im uległ. Sam Sosabowski po wojnie mówił o sobie, że stał się bezpaństwowcem. Nie wrócił do Polski i uważał się za uchodźcę politycznego, chociaż nie był w grupie oficerów, którym odebrano polskie obywatelstwo. Przez całe wcześniejsze życie był żołnierzem, znał się tylko na rzemiośle wojskowym. Nie miał prawa do emerytury, więc po wojnie pracował fizycznie. Był magazynierem. Pewien paradoks polega na tym, że niektórzy spośród jego oficerów po 1956 r. wrócili do Polski i wzięli udział w tworzeniu PRL-owskich wojsk powietrznodesantowych.

Jak do udziału Polaków w „Market Garden” podchodzą dziś brytyjscy historycy?

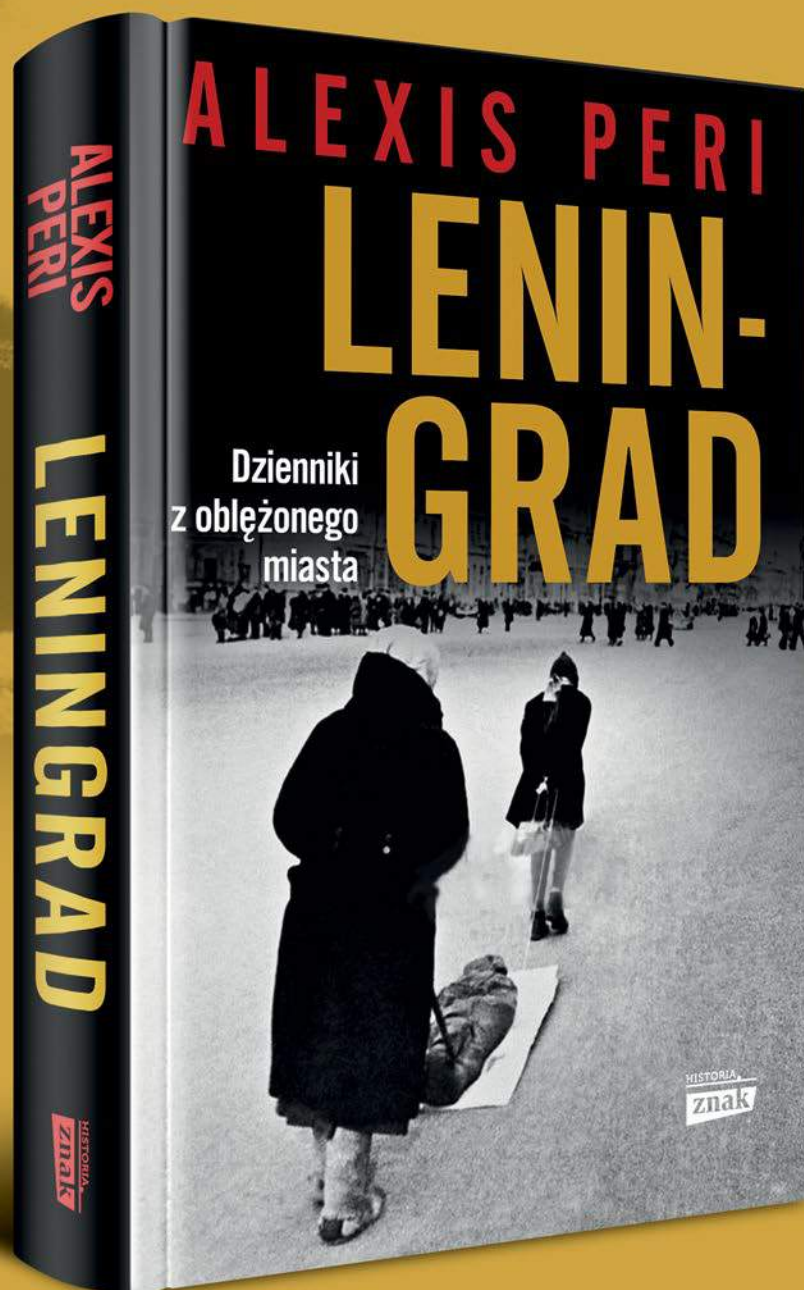
Naszych żołnierzy obciążano odpowiedzialnością za porażkę tylko w tajnych meldunkach. W pierwszych latach po wojnie zupełnie pomijano udział Polaków. Pojedyncze akapity zaczęły pojawiać się dopiero w opracowaniach z lat 70. Teraz praca polskich i holenderskich historyków sprawiła, że ten temat jest właściwie pokazywany. Brytyjska historiografia nie jest już krzywdząca i uznała we właściwy sposób rolę Polaków. Nasze poświęcenie bardzo uhonorowali za to Holendrzy. Przez lata mieli wyrzuty sumienia, że pozwalali Brytyjczykom przemilczać rolę naszych spadochroniarzy. Polskim żołnierzom oddano honory, a w 2006 r. gen. Sosabowski otrzymał pośmiertnie wysokie holenderskie odznaczenie – Medal Brązowego Lwa. Towarzyszyła temu olbrzymia akcja informacyjna w mediach. Ich zachowanie może budzić podziw. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wojciech Markert

jest autorem licznych publikacji na temat operacji „Market Garden”. Napisał m.in. książki „Arnhem 1944” i „Na drodze do Arnhem”.

Wrzesień 1941 roku. Wehrmacht staje
u bram Leningradu. Odcięte od świata miasto czeka
29 miesięcy walki o przetrwanie. Przegra ją prawie
milion cywilnych mieszkańców.



Książka na **empik.com** i w salonach **empik** już od 30 stycznia



To było prawdziwe piekło / O operacji „Market Garden” opowiadają
żołnierze gen. Sosabowskiego



Piotr Zychowicz

Walczyliśmy pod Arnhem



Józef Wojdyła i Stanisław Kowalczyk-Kowalewski FOT. PIOTR NOWAK



Żołnierze 1. SBS podczas strzelania z moździerza FOT. NAC

Broń maszynowa, artyleria przeciwlotnicza. To było piekło. Wielu kolegów oberwało jeszcze w powietrzu. Ja na szczęście wylądowałem bezpiecznie. Już z ziemi spojrzałem na niebo i moim oczom ukazał się widok, którego nigdy nie zapomnę. Czarne klucze samolotów i niebo pełne czasz polskich spadochronów. To zapierało dech w piersiach.

21 września 1944 r., gdy skoczył ze spadochronem w pobliżu holenderskiego miasta Arnhem, Józef Wojdyła miał 20 lat. Był starszym strzelcem w 1. Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej gen. Stanisława Sosabowskiego. Jednostka ta brała wówczas udział w największej operacji powietrznodesantowej II wojny światowej – „Market Garden”.

Polscy spadochroniarze, którzy 21 września zostali wysłani na odsiecz zrzuconym wcześniej Brytyjczykom, wylądowali po drugiej stronie Renu pod miejscowością Driel. Postawione im zadanie sforsowania rzeki było niewykonalne. Spadli bowiem niemal na głowy znakomicie uzbrojonych Niemców. Zostali ostrzelani już w powietrzu, a po wylądowaniu znaleźli się pod huraganowym ogniem otaczającego ich nieprzyjaciela. Prom przy pomocy, którego mieli się przeprawić został zatopiony.

Jak do kaczek

– Skakałem około piątej po południu. Niemcy założyli już taśmy z pociskami smugowymi i lecąc, widziałem, jak długie serie przeszywały powietrze wokół opadających spadochroniarzy. Jedna z serii szła tuż przede mną. Na szczęście nagle się urwała. Gdyby nie to, zostałbym podziurawiony jak sito – opowiada por. Stanisław Kowalczyk-Kowalewski. Gdy skakał nad Driel, miał stopień kaprała i dowodził

plutonem granatników przeciwpancernych Piat.

– Niemcy wiedzieli, że skaczecie?

– Wyglądało, jakby na nas czekali.

Mieli znakomite stanowiska. Strzelali do nas jak do kaczek. Trudno dziś opisać tę scenę.

– Bał się pan?

– Nie było na to czasu. Działłem rutynowo, na zimno. Byłem w końcu znakomicie przeszkolony. Wiedziałem, że jeżeli nie skoczę, to nie będą mogli wyskoczyć także koledzy. A to by oznaczało, że obciążony samolot nie będzie w stanie uciec i zostanie natychmiast zestrzelony przez obronę przeciwpowietrzną. Wszyscy byśmy zginęli, a tam w dole mieliśmy przynajmniej jakąś szansę. Kierowała mną logika, a nie jakieś bohaterstwo.

– Wylądował pan bezpiecznie?

– Niestety nie. Przy zetknięciu z ziemią poważnie uszkodziłem nogę. Później okazało się również, że zostałem trafiony pociskiem pod łopatkę.

– W powietrzu czy już na ziemi?

– Nie mam pojęcia.

– Jak to?

– Gdy walczyłem w 1940 r. w Norwegii, nad głową przelatywały mi ze świstem niemieckie kule. Kulilem się odruchowo, ale koledzy powiedzieli, że to niepotrzebne. Człowiek słyszy bowiem tylko te pociski, które nie są przeznaczone dla niego. Takiego, który ma trafić, nie słyszy się nigdy. Tak właśnie było pod Arnhem. Początkowo w ogóle nie wiedziałem, że oberwałem. Mój organizm produkował tyle adrenaliny, że nie czułem bólu.

Choć poważnie ranny, kpr. Kowalczyk-Kowalewski przystąpił do walki. Odpisał spadochron, a koledzy szybko usztywnili i obandażowali mu nogę. Przez kilka godzin – uzbrojony w automat sten i amerykańskiego colta – brał udział

– Z jakiej wysokości pan skakał?
– 500, góra 600 metrów.
– Maszyna?
– Dakota, czyli amerykański Douglas C-47 Skytrain.
– Jak to się odbyło?
– Staliśmy rzędem, padały krótkie komendy i kolejno wyskakiwaliśmy. Pęd powietrza na twarzy, krótkie szarpnięcia otwierającego się spadochronu, a potem opadanie. Spadochroniarz zbliża się do ziemi z prędkością siedmiu metrów na sekundę, więc nie trwało to długo. Szczególnie że my mieliśmy na linkach przyłączone worki ze sprzętem, które ciągnęły nas w dół.

– Jakim sprzętem?

– Ja miałem sześć granatów, dwie miny przeciwczołgowe siedemdziesiątki-piątki i pistolet maszynowy sten. Do tego amunicja. Całe to żelastwo sporo ważyło i siła uderzenia o ziemię była olbrzymia. Złamanie nóg były na porządku dziennym.

– Podobno tego dnia skakaliście „prosto na niemieckie lufy”.

– Tak, prali do nas niemiłosiernie.

■ w wymianie ognia z otaczającymi Polaków Niemcami. Dopiero gdy z powodu upływu krwi i drętwienia nogi nie był w stanie dłużej się poruszać, został ewakuowany do szpitala polowego.

– Urządzono go pod cyrkowym namiotem. Leżeliśmy tam wszyscy razem. Polacy, Anglicy, Niemcy i Amerykanie. Obok mnie leżał polski kolega, który oberwał w biodro od niemieckiego piechura. Dwa łóżka dalej leżał zaś ten niemiecki piechur, którego ów kolega, padając, zdążył jeszcze postrzelić z colta w spłot słoneczny.

– Rozmawiali ze sobą?

– Nie. Jakoś nie byli skorzy do zaprzyjaźnienia się.

Uwaga! Snajper

Józef Wojdyła wylądował w pobliżu zabudowań, w których znajdował się silny punkt niemieckiego oporu. Kilku kolegów zostało natychmiast skoszonych przez serię z karabinu maszynowego MG 34. W efekcie w miejscu tym pozostało tylko trzech polskich żołnierzy zdolnych do walki. Przyklejeni do ściany budynku, byli trzymeni w szachu przez niemieckiego strzelca.

wione na torach kolejowych. Zasłaliśmy Niemców od tyłu i obrzucaliśmy ich granatami. Poddali się. Wybiegli w naszą stronę z rękami podniesionymi do góry. Strach w oczach.

– Niemcy bali się was?

– Niesamowicie. W oficjalnych komunikatach określali nas mianem „Polnische SS”.

– O co chodziło? To miał być komplement?

– Chodziło o naszą waleczność i wolę walki graniczącą z fanatyzmem. Polscy spadochroniarze w starciu bezpośrednim nie cofali się nawet o krok. Biliśmy się jak diabły. Byliśmy prawdziwymi komandosami.

Pierwsze sukcesy nie były jednak w stanie odmienić przebiegu całej bitwy. Niemców było zbyt dużo, otoczeni Polacy zmuszeni byli do defensywy.

– Powiem panu szczerze – mówi Wojdyła – to nie była bitwa. To była męczarnia.

– Dlaczego?

– Przez pięć dni byłem w stanie najwyższego napięcia nerwowego. Serce waliło mi jak oszalałe. Byłem skrajnie wyczerpany i w każdej chwili spodziewałem się śmierci. Snajperzy siedzieli chyba na każdym drzewie i kominie.

w jednym kawałku. Patrzę w bok, a tam kolega – dosłownie przecięty na pół. Flaki na ziemi. Widok straszny. Krzyczy, żeby mu dać różaniec...

– Miał pan ten różaniec?

– Skądże. Wpadłem do najbliższego domu, do jakiegoś mieszkania. Zerwałem ze ściany jakiś obrazek z Jezusem. Wracam do niego, ale już nie żył.

– Jak się nazywał?

– Pan wybacz. Tyle lat. Nie pamiętam. Wiem tylko, że tak jak ja był to Kresowiak.

Wojdyła pochodzi ze wsi Biłka Szlachecka w pobliżu Lwowa. W 1940 r. został wraz z całą rodziną deportowany przez bolszewików w okolice Nowosybirsk. Był zmuszany do ciężkich prac fizycznych, bity, głodzony. Życie uratował mu gen. Władysław Anders. Wraz z ojcem udało mu się przedostać do tworzącej się na terenie Sowietów polskiej armii. Po opuszczeniu nieludzkiej ziemi on został przeniesiony do Sosabowskiego, a ojciec został u Andersa. Walczył pod Monte Cassino.

Twardy dowódca

Starszy od niego por. Stanisław Kowalczyk-Kowalewski (rocznik 1919) przed wojną mieszkał w Łodzi. Walczył podczas kampanii 1939 r. Przedostał się na Węgry. Wstąpił do armii Sikorskiego, w 1940 r. bił się w Norwegii. Potem Francja i po jej upadku samotna przeprawa przez Pireneje. Został schwytany przez Hiszpanów 35 km od granicy. Zamknięty w obozie koncentracyjnym, został wypuszczony dopiero w 1943 r. Natychmiast przedostał się do Anglii i zaciągnął do spadochroniarzy.

– Dlaczego akurat do nich?

– No cóż, może wyda się to dzisiaj szerszym czytelnikom śmieszne, ale ja po prostu chciałem się bić o Polskę. I w Polsce. Uważałem, że to mój obowiązek jako obywatela – opowiada Kowalczyk-Kowalewski.

– Równie dobrze mógł pan to robić w piechocie.

– Nie, bo zostanie spadochroniarzem miało być – jak wówczas mówiono – „najkrótszą drogą do kraju”. Przecież obiecywano nam, że będziemy walczyć tylko i wyłącznie w Polsce. Że nas zrzuca do kraju, że będziemy pierwszymi polskimi żołnierzami, którzy postawią nogę



Groby polskich żołnierzy w Oosterbeek

FOT. TRACESOFWAR.NL

To był profesjonalista. Strzelał przez wybite okno, ale z głębi pomieszczenia. Tak aby samemu pozostać niewidocznym. Udało mi się dostać w pobliżu tego okna i cisnąć granatem. Wpadł do środka. Karabin maszynowy zamilkł – opowiada Wojdyła. – Potem unieszkodliwiliśmy jeszcze gniazdo oporu umiejscowione

Tylko czekali, aż któryś z nas się wychyli. Do tego ciężka artyleria, czołgi i broń maszynowa.

– Pańskie najgorsze przeżycie podczas operacji „Market Garden”.

– W pewnej chwili pęka w pobliżu nas pocisk. Leżę na ziemi zasypywany ziemią, w uszach mi gwiżdże, ale czuję, że jestem

na naszej ziemi i przepędzą okupanta.

– Mielicie lądować w Warszawie podczas powstania.

– Tak, szykowaliśmy się już do wylotu. Byliśmy pewni, że będziemy walczyć na ulicach stolicy. Sosabowski o to zabiegał. Brytyjczycy się jednak nie zgodzili i zamiast tego zrzucili nas w Holandii.

– Jaki był gen. Sosabowski?

– To był dowódca z krwi i kości. Zupełnie nie dbał o siebie. Dbął tylko o swoich żołnierzy. Gotowy był zrobić dla nas wszystko.

– Podobno jednak służba pod jego komendą nie należała do łatwych.

– To prawda. On dawał nam straszny wycisk. Był niezwykle surowy, na ćwiczeniach padaliśmy wręcz z nóg. Generał powtarzał jednak, że im więcej potu na ćwiczeniach, tym mniej krwi na polu bitwy. Podczas prawdziwej akcji nie będzie bowiem taryfy ulgowej. Nikt nie będzie nam odpuszczał. Musimy być gotowi na wszystko. Teraz, z perspektywy lat, przyznaję mu rację. Twarda, surowa zaprawa, jaką otrzymaliśmy, uratowała wielu z nas życie.

– Wielu oficerów Sosabowskiego robiło jednak wszystko, aby uciec z jego brygady i przenieść się gdzie indziej.

– To dlatego, że on traktował wszystkich jednakowo. Każdy spadochroniarz, czy to zwykły strzelec, czy major, musiał przejść to samo diabelskie szkolenie.

A oficerowie na ogół nie lubią się czołgać całymi godzinami z karabinem w błocie.

– Czy wobec siebie Sosabowski był również tak pryncypialny?

– Tak. Generał, choć miał już ponad 50 lat, przeszedł całe szkolenie. Nie oszczędzał siebie. Był prawdziwym twardzielem.

Podczas operacji „Market Garden” polska brygada poniosła niezwykle wysokie straty. 93 żołnierzy zginęło, ok. 250 zostało rannych. Pomimo katastrofalnej sytuacji Sosabowski podjął próbę forsowania Renu, żołnierze dostali się jednak pod niezwykle silny ostrzał nieprzyjaciela i pokonać rzekę udało się tylko nielicznym. Dalsze próby przyjsia z odsieczą Brytyjczykom były pozbawione sensu. Sosabowski uznał, że jedynym ich efektem mogło być całkowite zniszczenie brygady.



Wręczenie sztandaru 1. Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej FOT. NAC

Już w trakcie planowania „Market Garden” polski generał jako jedyny aliancki dowódca wyrażał swoje poważne wątpliwości co do powodzenia operacji. Wskazywał, że Montgomery źle ją przygotował, nie wziął pod uwagę tego, jak silny był w rejonie Arnheim nieprzyjaciel. Jego głos został jednak potraktowany jako szerzenie defetyzmu, a wszelkie obiekcyjne odrzucono. W efekcie operacja, tak jak to przewidział, zakończyła się klęską.

Brytyjczycy postanowili wówczas zrzucić winę za własne niepowodzenie na „krynabrnego” polskiego dowódcę. Zarzucono mu, że na polu bitwy zachowywał się zbyt zachowawczo. Że nie chciał się bić. Nie przyszedł z pomocą Brytyjczykom i to właśnie dlatego „Market Garden” zakończyła się klęską. Londyn wystąpił do polskich władz o odebranie Sosabowskiemu brygady i zdjęcie go ze stanowiska. Te potulnie podporządkowały się woli „sojusznika”.

Decyzja wywołała oburzenie w szeregach brygady. Żołnierze ogłosili głodówkę, którą przerwali jednak na wyraźny rozkaz Sosabowskiego.

– To był dla nas szok. Wszyscy zawdzięczaliśmy mu życie! Przecież podczas „Market Garden” mógł posłuchać Anglików i rzucić nas do tej przepawy. Wtedy wszyscy byśmy zginęli, a on dostałby od Brytyjczyków wysokie odznaczenie. Ocalenie żołnierzy było jednak dla niego ważniejsze niż osobista chwała. Niewielu oficerów by tak postąpiło – mówi Józef Wojdyła.

Podjęte przez Sosabowskiego próby oczyszczenia własnego imienia zakończyły się fiaskiem. Zdemobilizowany w 1948 r., zdecydował się pozostać w Wielkiej Brytanii. Do okupowanej przez komunistów Polski oczywiście nie miał po co wracać. Sowiecki reżim

w Warszawie pozbawił go – podobnie jak wielu innych czołowych oficerów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie – obywatelstwa.

W cywilu Sosabowski założył prywatną firmę. Remontował domy, prowadził warsztat tapicerski. Zakończyło się to jednak fiaskiem. Generał musiał zatrudnić się w fabryce urządzeń elektrycznych CAV. Odgrywał tam rolę magazyniera, za co dostawał sześć funtów tygodniowo. Mieszkał

w biednej robotniczej dzielnicy Londynu, aby dostać się do fabryki, musiał wstać o godz. 5.30. Żył więcej niż skromnie.

Wielu brytyjskich kolegów z fabryki nie miało pojęcia, kim jest – jak go nazywali – „Stan”. Dlatego dziwili się, że pracujący w zakładzie byli polscy żołnierze, nawet jeżeli byli na znacznie wyższych stanowiskach, salutowali zwykłemu magazynierowi. Sosabowski umarł w 1967 r.

Epilog

– To było zaraz po wojnie – opowiada por. Stanisław Kowalczyk-Kowalewski.

– Podróżowałem wówczas po Anglii z ówczesną narzeczoną, pół Waliijką, pół Szkotką. Na jednej ze stacji kolejowych w Londynie stała grupa polskich żołnierzy od Andersa. Mieli źle dopasowane, stare, znoszone mundury. Naprzeciw nich stała grupa angielskiej młodzieży. Wyśmiewała się z Polaków. „Jak wy wyglądacie?! Wracajcie do siebie, do Polski! Macie przecież tam swojego prezydenta Bieruta i swój rząd. Czego tu szukacie w tych łachach? Jesteście nam już niepotrzebni!”. Podeszedłem do tych młodych ludzi i strasznie ich ochrzaniłem. Powiedziałem im, jak wygląda ten „polski rząd” i kto nas sprzedał Sowieta. Zamilkli, nawet mnie przepaszali. Dziś myślę, że to była scena symboliczna. Tak jak symboliczny dla losów wszystkich polskich żołnierzy walczących u boku Brytyjczyków podczas II wojny światowej był los mojego dowódcy, gen. Stanisława Sosabowskiego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

W artykule użyłem fragmentów mojego tekstu „Generał pod pręgierzem” z „Rzeczpospolitej” z 2012 r. Obaj bohaterowie artykułu już nie żyją. Cześć ich pamięci!



Piotr Semka

/ Obcięcie przez Niemców przydziałów żywności spowodowało śmierć nawet 20 tys. ludzi. Siedem kolejnych tysięcy zmarło z powodu chorób wywołanych niedożywieniem

Jesienią 1944 r. ofensywa aliantów podzieliła Holandię na dwie części. Chociaż operacja „Market Garden” nie była sukcesem, to sporą część południowej części Niderlandów Anglicy i Amerykanie wyzwolili już w październiku–listopadzie 1944 r. Północ i środkową część podbitej Holandii Niemcy trzymali jeszcze długie siedem miesięcy w swoim brutalnym uścisku. Hitlerowcy postanowili złamać tamtejszą ludność głodem, który był karą III Rzeszy za współpracę holenderskiego ruchu oporu z aliantami przy wyzwaniu południa kraju.

Zmiażdżona neutralność

10 maja 1940 r. Niemcy zaatakowali Holandię, łamiąc jej status państwa neutralnego. Wehrmacht zajął ten niewielki kraj po krótkich walkach, wskutek aktu terroru powietrznego. Barbarzyńskie bombardowanie Rotterdamu 14 maja 1940 r. zniszczyło sporą część centrum miasta i wywarło tak porażające wrażenie na Holendrach, że już następnego dnia, 15 maja 1940 r., głównodowodzący armii Królestwa Niderlandów, gen. Henri Winkelman, podpisał kapitulację. W odróżnieniu od sąsiedniej Belgii. Królowa Wilhelmina (notabene Niemka po matce) zdołała wraz z rządem wyjechać do Londynu, gdzie oficjalnie ogłoszono kontynuowanie oporu.

Niemcy uznający Holendrów za czysty rasowo szczep rasy germańskiej próbowali w latach 1940–1943 załagodzić złe wrażenie po bombardowaniu Rotterda-



Wielki głód

mu i unikali demonstracyjnego terroru. Całkiem niezłe (w porównaniu z polską okupacją) było też zaopatrzenie kartkowe w żywność. Jediną legalną partią była Nationaal-Socialistische Beweging in Nederland, ruch pronazistowski, który działał w Holandii od lat 30. Po wejściu Niemców członkowie NSB – ich liczbę szacowano na ok. 100 tys. – obsadzali wiele stanowisk w lokalnej administracji, ale na najważniejsze mianowali jednak

Niemcy. Rychło z holenderskich ochotników zafascynowanych nazizmem powstała 4. Dywizja SS Grenadierów Pancernych „Nederland”. Duża część holenderskiego przemysłu chętnie włączyła się do maszyny gospodarczej Rzeszy na warunkach przynoszących właścicielom firm całkiem spore zyski.

Wierny królowej i rządowi w Londynie był holenderski ruch oporu, ale w pierwszej fazie wojny nie był zbyt ak-

Zemsta za pomoc aliantom



Alianckie bombowce dokonujące zrzutów żywności FOT. ARCHIWUM



Zagłodzone holenderskie dziecko w Bredzie, luty 1945 r. FOT. WIKIPEDIA

skich zakładników i dokonać karnej pacyfikacji holenderskich uniwersytetów, które działały w miarę normalnie w czasie pierwszej fazy okupacji. Z NSB Niemcy utworzyli oddziały Landwacht – pomocniczej milicji kolaboracyjnej, mającej pomagać nazistom kontrolować kraj.

Lądowanie aliantów w Normandii 6 czerwca 1944 r. ożywiło nadzieje Holendrów na rychły koniec rządów spod znaku swastyki. Gdy 4 września 1944 r. alianci zdobyli belgijską Antwerpię, większość Holendrów była przekonana, że wyzwolenie jest tuż za rogiem. Wybuchła fala cichego entuzjazmu, który Niemcy uważnie obserwowali. Nastroje końca rządów okupacyjnych były tak silne, że we wtorek 5 września, następnego dnia po rozejściu się wieści o wyzwoleniu Antwerpii, liczni członkowie NSB w tzw. Dolle Dinsdag (szalony wtorek) uciekli masowo do Niemiec. Jednak gestapo szybko opanowało sytuację, zawróciło kolaboracyjnych tchórzów i komisarz Rzeszy Arthur Seyss-Inquart przykręcił Holendrom śrubę.

Tym bardziej że w czasie operacji „Market Garden” rozpoczętej 17 września 1944 r. Niemcy zauważyli udział holenderskiego ruchu oporu w pomocy wojskowej dla żołnierzy brytyjskich i polskich. W nocy z 1 na 2 października holenderscy partyzanci spróbowali zdobyć wieś Putten w prowincji Geldria. W walkach koło Nijkerk zginął oficer Wehrmachtu. W zemście Niemcy spalili miejscowość, dokonali egzekucji siedmiu osób, a 661 mieszkańców zostało deportowanych do obozów koncentracyjnych Neuengamme i Auschwitz-Birkenau.

Mimo niepowodzenia operacji „Market Garden” południowe prowincje Nijmegen, Eindhoven i większość północnej

tywny. Ulotki, pisma podziemne, drobne akty sabotażu, ukrywanie Żydów przynosiły bojownikom podziemia chlubę, ale nie stanowiły dla Niemców zbyt dużego problemu.

Koniec uśmiechów

Sytuacja zmienia się od 1943 r., gdy pogorszenie się sytuacji militarnej

Niemców stało się coraz bardziej widoczne. Katastrofa Stalingradu ośmieliła holenderskich patriotów. W lutym 1943 r. egzekutorzy z ruchu oporu dokonali w Hadze udanego zamachu na kolaboranta z dawnej armii holenderskiej, gen.-por. Hendrika Alexandra Seyffarda.

Zaniepokojeni Niemcy pokazali, że potrafią rządzić brutalną ręką. W odpowiedzi na zamach generał SS Hans Albin Rauter rozkazał zgładzić 50 holender-



Cierpiący głód Holendrzy FOT. NEDERLANDS FOTOMUSEUM

■ Brabancji zajęli Brytyjczycy. Marszałek Bernard Law Montgomery nie miał jednak ochoty na zdobywanie środkowej i północnej części Niderlandów. Dla niego priorytetem było zajęcie Zagłębia Ruhry – centrum zbrojeniowego III Rzeszy. Nie chciał tracić czasu na wyzwalamie reszty Holandii.

Niemcy, między późnym październikiem a grudniem 1944 r., zatopili liczne tereny zalewowe, aby utrudnić atak aliantom. Na długi czas, aż do początków maja 1945 r., spora część Holandii pozostała pod władzą nazistów.

Karanie głodem

Niemcy nie mają już żadnych złudzeń co do efektów swych starań o zdobycie sympatii Holendrów dla planów budowy niemieckiej Europy. Gdy w październiku 1944 r. na kolejach wybucha strajk, który miał przeszkodzić Niemcom ściągać posiłki z północy w kierunku frontu walk z aliantami, po raz pierwszy użyta zostaje represja głodowa. Głównodowodzący Wehrmachtu w Holandii, gen. Friedrich Christiansen, nakazuje zablokowanie dostawy żywności do



zachodniej Holandii, w tym do dwóch dużych portowych miast – Amsterdamu i Rotterdamu. Embargo częściowo zawieszono w listopadzie 1944 r., ale akcja ta – jak zauważyli Niemcy – skutecznie pacyfikuje ducha podbitej ludności. Na

domiar złego północna Holandia ma niewiele ziemi ornej i jest ściśle uzależniona od dostaw z zewnątrz. Zaczyna się najpierw niedobór żywności, który na przełomie lat 1944 i 1945 zamienia się w stan klęski głodowej. A zima jest tamtego roku wyjątkowo surowa. Dzienna racja kartkowa w Amsterdamie zostaje obniżona jesienią 1944 r. do 1 tys. kalorii, a od końca lutego 1945 r. do 500 kalorii. Potem normy spadają aż do 400 kalorii dziennie. 100 gramów sera wydawane jest raz na dwa tygodnie. Między styczniem a lutym 1945 r. Niemcy zakazują transportu żywności łodziami, co paraliżuje czarny rynek. Ludzie szukający żywności pokonują dziesiątki kilometrów, aby cokolwiek wymienić na coś do jedzenia. Na drogach taki handel wymienny ścigany jest przez niemiecką żandarmerię.

Na skazanych na głód terenach żyło wtedy 4,5 mln ludzi. Niemcy obcinają też dostawy opału. W tysiącach holenderskich domów do pieców idą drewniane meble oraz drewno z szop i ze stodół. Lasów w północnej Holandii nigdy nie było zbyt wiele, ale i te są strzeżone przez Niemców przed nielegalnym pozyskiwaniem drewna. Zjadane są cebulki tulipanów i sproszkowana kora z drzew. Wywar z igieł sosny pomaga niwelować skutki awitaminozy. Śmierć głodowa zbiera żniwa najszybciej w trzech dużych okupowanych miastach: Amsterdamie, Rotterdamie i Hadze, ale po jakimś czasie tragedia dosięga też wsi. Najszybciej umierają starcy i dzieci. Pierwszą realną pomocą były transporty mąki zorganizowane przez Szwedzki Czerwony Krzyż. Jeszcze długie lata po wojnie każdy przybysz ze skandynawskiego królestwa obsypywany był w Holandii podziękowaniami za „szwedzki chleb”, który ratował życie wiosną 1945 r.

W końcu, zasypywani wezwaniami do reakcji przez rząd holenderski na emigracji i ruch oporu, Brytyjczycy i Amerykanie ze znacznym opóźnieniem decydują się na akcje zrzuć żywności w ramach operacji „Manna” i „Chowhound”. W zrzutach brały też polskie dywizjony RAF. Ta pomoc przypada już jednak na sam koniec wojny, między 29 kwietnia a 5 maja 1945 r. Niemcy w wyniku porozumienia wywiadów z obu stron przyszykują na nie oko, już rozumiejąc, że wojna nie potrwa długo. Masowy głód kończy wkroczenie wojsk angielskich na północ

Holandii na początku maja 1945 r. Dopiero 5 maja dowództwo Wehrmachtu podpisuje akt kapitulacji w Hotel de Wereld w Wageningen – trzy dni po upadku Berlina.

Długi cień głodu

Ofiarą „Hongerwinter”, czyli głodowej zimy, padło 18–20 tys. ludzi, a siedem kolejnych tysięcy ofiar zmarło już po wojnie z powodu chorób wywołanych niedożywieniem. Skutki głodu naukowcy zauważali u wojennej generacji jeszcze przez długie lata. Dzieci kobiet będących w ciąży w czasie „głodnych miesięcy” rodziły się mniejsze i słabsze niż te urodzone wcześniej i później. Liczne były przypadki objawów niedorozwoju fizycznego i psychicznego. Efekty głodu naukowcy zauważyli także w kolejnych pokoleniach. Ten problem był tak delikatny, że badania lekarskie poruszające to zjawisko przeprowadzane są z ogromną dyskrecją. W Holandii powstała specjalna gałąź medycyny badająca wpływ głodu na genotyp

w kolejnych generacjach. Nieprzypadkowo Holandia wykorzystała tę wiedzę w pomocy krajom Trzeciego Świata.

Głodową zimę przełomu lat 1944 i 1945 przeżywała pod niemiecką okupacją jako nastolatka późniejsza gwiazda amerykańskiego kina – Audrey Hepburn (1929–1993). Jako młoda dziewczyna ukrywała w czasie wojny przed Niemcami swoje angielskie pochodzenie, używając fikcyjnego holenderskiego nazwiska Edda van Heemstra. W czasie wojny była łączniczką ruchu oporu. W wyniku przeżytego niedożywienia z końcowych miesięcy wojny do końca życia cierpiała na nawroty anemii i miała problemy z oddychaniem. O swych okupacyjnych

głodowych miesiącach mówiła niechętnie. Gdy ludzie, nieznający jej losów, komplementowali ją za szczupłą sylwetkę i prostodusznie pytali o tajemnice smukłej figury, uśmiechała się jedynie smutno. Po latach podsumowała tamten upiorny czas krótkim wyznaniem:

„W takich chwilach poznajesz śmierć, tęsknotę i niebezpieczeństwo, co powoduje, że zaczynasz cenić sobie bezpieczeństwo i to, jak szybko może się zmienić. Uczysz się je poważnie traktować”.

Każdego 4 maja Holendrzy czczą pamięć ofiar zimy głodu. Dzisiaj znikają już w Holandii ostre nastroje antyniemieckie, ale jeszcze 20 lat temu Niemcy odwiedzający Niderlandy mogli je odczuć bardzo wyraźnie.

Echem zimy niedostatku było także to, że Holendrzy jeszcze długo po wojnie unikali zwyczajowego powiedzenia „Jestem głodny”. Zamiast tego mówiło się jedynie „Mam apetyt”. Co to znaczy być naprawdę głodnym, aż do szaleństwa, wiedzano aż nazbyt dobrze.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



MARCIN DOROCIŃSKI IWAN RHEON MILO GIBSON STEFANIE MARTINI KRYŚTOF HADEK

303

BITWA O ANGLIĘ

CHWAŁA BOHATEROM

1918-2018
PATRONAT NARODOWY
PREZYDENTA
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
ANDRZEJA DUDY
W STULECIE
ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI
NAD PREMIERĄ FILMU

JUŻ NA DVD | BLU-RAY

REKLAMA



FILMWEB

DEMOTYWATORY.PL

STYLOWI.PL

wprost

DO RZECZY

HISTORIA

Multikino

empik

KINO ŚWIAT

1944 r. /

O jeden most



Fikcja i prawda o Arnhem

za daleko

KADRZ FILMU "JEDEN MOST ZA DALEKO" - FOT. GETTY IMAGES



Jakub Ostromecki

Słynny film w gwiazdorskiej obsadzie był bardzo rzetelny. Pokazano w nim skalę klęski operacji „Market Garden”



Film „O jeden most za daleko” oparty jest na monumentalnym dziele Corneliusa Ryana o tym samym tytule. Był chwalony przez weteranów za wierność prawdzie historycznej. Widzimy jak na dłoni błędy planowania operacji „Market Garden”, katastrofalne w skutkach niedbalstwo związane z doбором środków łączności. Heroiczną obronę batalionu Frosta na północnym krańcu mostu w Arnhem i forsowanie rzeki Waal przez 82. Dywizję Powietrznodesantową. A także polski desant bezpośrednio pod niemieckim ogniem, próbę uratowania Brytyjczyków przez żołnierzy Sosabowskiego i parcie XXX Korpusu na północ.

W filmie grają prawdziwe shermany i samoloty transportowe Dakota. Reżyser Attenborough, mimo potężnego budżetu, nie uniknął jednak kłopotów z rekon-

strukcją sprzętu niemieckiego. Próbował sobie poradzić w identyczny sposób jak wszyscy reżyserzy owego czasu – obudowując tekturą lub kawałkami blachy czołgi z lat 70., nadając im kanciaste kształty charakterystyczne dla wielkości maszyn z rodziny Panzerkampfwagen. I tak w roli pantery atakującej Brytyjczyków na przyczółku mostowym występuje ucharakteryzowany leopard I, produkowany wówczas w RFN. Kilka anachronizmów występuje również po stronie alianckiej. Obok prawdziwych shermanów XXX Korpusu Brytyjskiego widzimy powojenne amerykańskie czołgi M 47. Resztę lapsusów, choćby zimnowojenny kamuflaż kilku żołnierzy, może zauważyć jedynie bardzo wnikliwy i zdeterminowany obserwator.

Zarówno w przypadku sprzętu pasującego do realiów, jak i anachronicznego kilka scen mogłoby służyć jako reklama,

zarówno dla niemieckiej, jak i amerykańskiej myśli technicznej. Są to hołdy jak najbardziej zasłużone. Miłośnicy motoryzacji podziwiają amerykańskiego jeepa, który z gracją podskakuje na wybojach. Niemiecka pantera nic zaś nie robi sobie za trafiających ją pocisków przeciwpancernych.

W polskim tłumaczeniu filmu 101. Dywizja Powietrznodesantowa została przez lektora zdegradowana do „brygady”, a 82. Dywizja awansowana do „korpusu”!

Idealna okupacja?

„O jeden most za daleko” to gatunek kina wojennego, który drobiazgowo ukazuje działania zarówno jednostek, jak i żołnierzy. Nie ma tu zatem za dużo miejsca na obraz kampanii widziany



Walki o most. Kadr z filmu
FOT. MICHAEL OCHS ARCHIVES/GETTYIMAGES

kobiety utrzymujące w czasie okupacji zbyt zażyłe stosunki z okupantem. Sceny z poniżania owych nieszczęśnic uwiecznione w czarno-białych kronikach puszczano potem po wojnie bez skrępowania. Dzisiaj jednak jest to temat wstydlivy. W listopadzie 2018 r. za podobne działania w swoim kraju premier Norwegii przeprosiła żyjące jeszcze byłe partnerki Niemców. O podobnej ekspiacji zaczyna również mówić się w Holandii.

Widok holenderskich miast w polskim widzu może budzić niedowierzanie. Jest to zabudowa, która mimo okupacji wygląda o niebo lepiej niż większość polskich wsi i miasteczek jeszcze 50 lat po wojnie, a mebli posiadanych przez mieszczan mogłaby pozazdrościć niejedna rodzina epoki Gierka. Oczywiście widoczne tu i ówdzie anteny telewizyjne to reżyserska wpadka, ale realia okupacji w Holandii rzeczywiście mogły zaskakiwać. James Sims, brytyjski spadochroniarz z 1. Dywizji Powietrznodesantowej, w wywiadzie przeprowadzonym przez prof. Erica Niderosta wspominał kraj, który przyszło mu wyzwalać: „Jako byłego sprzedawcę obuwia zaskoczyła mnie jakość ubrań i butów, jakie nosili holenderscy cywile. Nasza propaganda wmawiała nam, że Holendrzy głodują i ubierają się w stare szmaty. Na pewno nie miało to miejsca w Arnhem”.

z perspektywy cywili. Reżyserowi są potrzebni, gdy trzeba ukazać współpracę ruchu oporu w zdobywaniu informacji, opatrywanie oraz leczenie rannych i oczywiście wiwatowanie na cześć aliantów. Są to obrazy absolutnie prawdziwe, ale publiczności oszczędzono widoku bardziej ponurych wizji okupowanego społeczeństwa. Oto w jednej z pierwszych scen razem z żołnierzami niemieckimi z Holandii uciekają grupki cywili. Nie wiadomo, kim są. Pamiętać należy jednak, że współpracę z okupantem podjęło wielu Holendrów, w tym 100 tys. członków Ruchu Narodowosocjalistycznego (NSB). Kilka godzin po wkroczeniu Amerykanów do Eindhoven i Nijmegen mieszkańcy jęli wyłapywać tzw. Moffenmaiden, czyli

z wygranej i cała atmosfera przypominać zaczęła mecz futbolowy, który właśnie się zakończył”.

W tym samym wywiadzie Sims wspomina jednak przypadek holenderskiego członka ruchu oporu, którego Niemcy rozstrzelali na oczach reszty jeńców, nazywając „zdraycą”. Owe sceny brak w filmie.

Kowboje i lordowie

W filmie pada pewien dowcip, który dziś zostałby natychmiast ocenzurowany. Oto na odprawie gen. Horrocks, dowódca XXX Korpusu, żartuje, że rozpoczynając się operację można porównać do westernu. Izolowani spadochroniarze to osadnicy. XXX Korpus to kawaleria. A Niemcy to ci źli. Wywołało to salwę śmiechu u oficerów, ale dziś padłby z pewnością oskarżenia o hołdowanie „białej supremacji”. To niejedyna sytuacja, gdy Attenborough puszcza oko do publiczności, żonglując stereotypami narodowościowymi.

Żołnierze brytyjscy i amerykańscy w filmie zachowują się zgodnie z potocznymi wyobrażeniami. Brytyjczycy z nienagannymi manierami, powściągliwi, balansujący na granicy obłudy (gen. Browning), ekscentryczni, ale też pełni zimnej krwi. Na czele owych „typowych Anglików” znajduje się oczywiście mjr Digby Tatham-Warter, prowadzący swoich ludzi do ataku na most z parasolem w dłoni. W filmie zostaje ciężko ranny i na pytanie innego oficera o ów zagadkowy rekwizyt

zdąży odpowiedzieć jedynie: „Bo zawsze zapominam hasła”. Praw-

Podobną konfuzję budzi „rycerskie” zachowanie esesmanów. Niemiecki gen. von Bittrich wstrzymuje ogień artyleryjski skierowany na jedną z willi, w której przebywają ciężko ranni Brytyjczycy. Z podobną galanterią podchodzi potem do alianckich jeńców. Książka Ryana i James Sims potwierdzają owe zachowania, przynajmniej wobec Anglików: „Niemcy byli nami zainteresowani tak samo jak my nimi. Wszyscy mówili po angielsku i dawali nam kawę, kiełbasę i czarny chleb razowy. Byli zadowoleni

dziwy Digby był osobnikiem jeszcze barwniejszym od swojej filmowej wersji i do tego bardzo brytyjskim. Ów syn arystokraty, przewidując kłopoty z łącznością, kazał swoim podoficerom nauczyć się sygnałów granych na trąbkach, nieużywanych od czasów wojen napoleońskich. Rzeczywiście, dzierżył w dłoni parasol, chcąc być rozpoznany w razie kłopotów z hasłem. Indagowany o ów dziwny sprzęt, odpowiadał zdziwiony: „Na Boga, a co jeśli będzie padać?”. Za



■ pomocą parasola zatrzymał nawet niemiecki transporter opancerzony, wrażając ostrze w wizjer i trafiając kierowcę prosto w oko. Nie wypuścił go z rąk nawet, gdy odciągał rannego z pola ostrzału. W czasie walk zamiast w hełmie paradował w berecie, zamieniając go raz na... melonik podczas prowadzonego przez siebie ataku na bagnety. Ostatecznie Digby, będąc ranny, dostał się do niewoli, skąd oczywiście rychło uciekł. Ukrył go członek ruchu oporu, wystawiając fałszywy dokument. Digby był teraz oficjalnie głuchym synem miejscowego prawnika. Nierozpoznany przez Niemców, bezczelnie jeździł rowerem po Arnheim, kontaktując się z ukrywającymi się Brytyjczykami. Udaając czynnego mieszkańca, pomógł Niemcom wypchnąć samochód z rowu. Ostatecznie wraz z 150 Brytyjczykami dotarł po nocy do pozycji XXX Korpusu.

Filmowi Amerykanie w odróżnieniu od Brytyjczyków są hałaśliwi, palą, żują gumy, często klną. Z całej gamy żołnierskich epizodów amerykańskich dywizji Attenborough uwypuklił ten najbardziej awanturniczy. Amerykański sierżant z 101. Dywizji dokonuje ratunkowej eskapady. Uduje się samotnie jeepem na przedpolu mostu w Nijmegen w poszukiwaniu swojego kapitana. Znajduje go ciężko rannego, wsadza na jeepa i próbuje przedostać się ku reszcie dywizji. O zgrozo, leśny dukt zostaje odcięty przez niemieckich grenadierów. Sierżant odbija więc prosto w leśne poszycie i między sosny. Kryje jeepa w chaszczach, by zaraz potem pędzić po leśnych ścieżkach, roztrącając wściekłych Niemców. Jedną rękę trzyma na kierownicy, a drugą trzyma ślaniającego się oficera. Uduje mu się dotrzeć szczęśliwie do punktu opatrunkowego. Owa przejażdżka mogłaby



służyć za inspirację dla Lucasa kręcącego epizod „Gwiezdnych wojen”, rozgrywający się na planecie Endor w gęstej dżungli.

Ów ryzykant naprawdę nazywał się Charles Dohun i był plutonowym, nie sierżantem. Attenborough ubarwił nieco przejażdżkę spadochroniarza. U Ryana nie znajdujemy bowiem bezpośredniej konfrontacji jeepa z niemieckimi grenadierami. Amerykanin skrycie przeczeł po prostu przejazd wrogiej kolumny. Szczęśliwy powrót do punktu opatrunkowego nie był jednak końcem przygód plutonowego. Wojskowy lekarz kazał bowiem położyć umierającego kapitana obok namiotu i czekać w kolejce. Dohun zmusił wtedy chirurga do natychmiastowej operacji, przystawiając mu pistolet do głowy. Kapitan został uratowany, a wybawca, aby wojskowej dyscyplinie stało się zadość, poszedł do aresztu na...

minutę. W filmie czas ten skrócono do 10 sekund wyliczonych regulaminowo przez żandarma.

Konfrontację amerykańskiego kowboja z brytyjskim lordem widać w scenach po zdobyciu kluczowego mostu w Nijmegen. Major Julian Cook rwie się do dalszej walki – wszak do Arnheim zostało raptem 11 km. Tymczasem dowodzący plutonem czołgów Brytyjczyk zarządza postój, co wywołuje wściekłość Amerykanina i sakramentalne w takiej sytuacji szydzenie z „picia herbatki”. Niewzruszony Brytyjczyk uprzejmie odpowiada, że takie ma rozkazy, a poza tym i tak bez wsparcia piechoty nie ruszyłby się nigdzie z raptem czterema czołgami. U Ryana amerykańskiej wściekłości jest jeszcze więcej: „W armii amerykańskiej tak się nie załatwiała tych spraw. Szlibyśmy dalej, posuwali bez zatrzymania. Tak właśnie by zrobił George Patton” – złorzeczył płk Tucker, zwierzchnik Cooka.

Sytuacja wokół Nijmegen, o czym nie wiedzieli ani Tucker, ani Cook, była jednak bardzo poważna. Niemcy wciąż nacierali na południe od zdobytego właśnie mostu, od północy zbliżało się zaś kilka tygrysów. Szczupłym siłom brytyjskich czołgistów i amerykańskich spadochroniarzy groziło odcięcie. Zarówno głównodowodzący operacją gen. Browning, jak i gen. Gavin z 82. DPD zdawali sobie z tego sprawę.

Winni

Przy okazji zdobycia owej przeprawy warto jeszcze wspomnieć o nieudanej próbie wysadzenia mostu w Nijmegen. Generał Harmel (w filmie jako Ludwig) zarzekał się, że bez względu na zakaz Modela „zamierza wysadzić most, kiedy

tylko pojawi się na nim pierwszy brytyjski czołg”. Gdy ten wjeżdża, saper próbuje uruchomić detonator – nic się jednak nie dzieje. Czy ktoś przeciął kable lub uszkodził same ładunki? Niemcy są zaskoczeni i wściekli, a tymczasem most zostaje zdobyty przez amerykańskich spadochroniarzy. Reżyser zostawia nas z ową nierozwiązaną zagadką, ale próbuje rozwikłać ją Ryan. Dotarł on do przedstawicieli holenderskiego ruchu oporu, którzy twierdzili, że krótko przed zdobyciem mostu niejaki Jan van Hof zmylił strażę i niepostrzeżenie poprzecinał kable łączące potężne ładunki ze stanowiskami, gdzie znajdowały się detonatory.

„O jeden most za daleko” jest filmem rzetelnym. Nikt nie kryje tutaj fiaska operacji. Słowa Montgomery’ego o tym, że „operacja udała się w 90 proc.”, wywołują u gen. Urquharta ledwo tłumioną wściekłość. Sporo, i słusznie, zarzuca się tutaj gen. Browningowi, dowódcy całej operacji. Z premedytacją odrzuca on raporty holenderskiego ruchu oporu, który donosił o niemieckich czołgach w okolicy Arnheim. Ignoruje też potwierdzające te obserwacje zdjęcia lotnicze. Poirytowany

pesymistycznymi informacjami wywiadu, każe udać się mjr. Fullerowi na „krótki urlop dla poratowania zdrowia”. W rzeczywistości ów major nazywał się Brian Urquhart. Zbieżność nazwisk z dowódcą brytyjskiej 1. Dywizji Powietrznodesantowej była przypadkowa. Aby jednak nie konfundować widzów, na potrzeby scenariusza nazwisko zmieniono na fikcyjne.

Browning, czego brak w filmie, popełnił też błąd po wylądowaniu, każąc amerykańskim spadochroniarzom zająć górujące nad Nijmegen wzniesienie, zamiast przeć od razu ku mostowi. Spowodowało to katastrofalne opóźnienie alianckiej ofensywy. Litościwie pominęto też jego późniejsze żenujące pretensje do gen. Sosabowskiego.

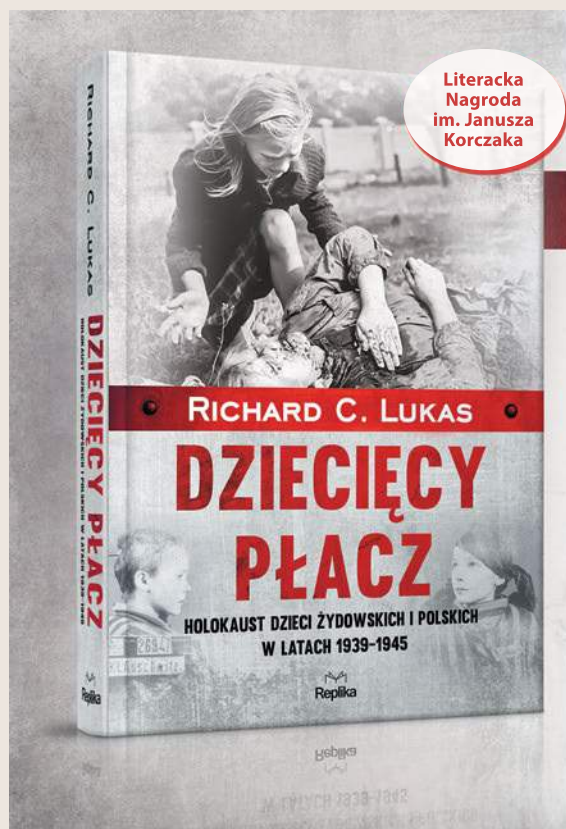
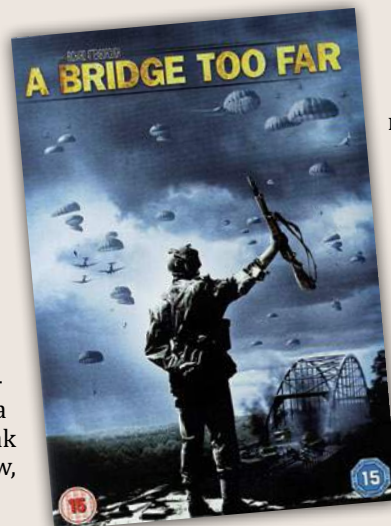
Reżyser zrezygnował z prób obrony Browninga – to jest jednak film o walce, a nie o planowaniu. Brytyjskiego gene-

rała można usprawiedliwić tylko częściowo – holenderski wywiad przeżarty był niemieckimi szpiegami tak dalece, że Brytyjczycy uznawali jego informacje za całkowicie niewiarygodne. Browning, co należy mu zapisać na plus, wskazywał przytomnie, że odległość między strefami lądowania

a mostem w Arnheim jest zbyt duża, co rzeczywiście stało się fatalne w skutkach.

Fiasko operacji miało jednak wielu ojców, również w najwyższym dowództwie alianckim. Zabawna, zapewne zamierzenie, jest zatem scena, w której dowódcy jednostek biorących udział w operacji zwalają winę „na tę mgłę” lub „na te opóźnione mosty pontonowe”. Rację miał „malkontent” Sosabowski – to w filmie wyartykułowano bardzo mocno.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



NIEMIECKIE ZBRODNIENIE NA DZIECIACH PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ

RICHARD C. LUKAS

DZIECIĘCY PŁACZ

Patroni medialni:

HISTORIA

HISTORIA

HISTORYKON.PL

EchoKatolickie

waterland

NIEZŁOMNI

TRAMWAJ

MHB

Replika

www.replika.eu

Tel. 61 868 25 37

Tel. 515 339 739



RYS. KRZYSZTOF WIRZYKOWSKI

Ochrona i zamach w Sarajewie



Mikołaj Iwanow

Czy zabójstwo Franciszka Ferdynanda zorganizowały służby carskiej Rosji? Tak twierdził generał przesłuchiwany w trakcie wielkiej czystki

Dnia 11 marca 1938 r. NKWD w ramach operacji polskiej aresztowało generała brygady (kombriga) Aleksandra Wierchowskiego, rzekomo mającego polskie korzenie i oskarżonego o działania na rzecz polskiego wywiadu. W okresie wielkiego terroru w wyniku podobnych oskarżeń śledztwo w takiej sprawie było przeważnie bardzo krótkie i wyrok zapadał prawie automatycznie. Jednak w czasie przesłuchań generała ujawniono wiele wyjątkowo ważnych informacji, które uniemożliwiły natychmiastową rozprawę.

Rozstrzelano Aleksandra Wierchowskiego dopiero 19 sierpnia 1938 r., po pięciu miesiącach wyjątkowo intensywnych przesłuchań, podczas których generał ujawnił zupełnie sensacyjne informacje. Według zeznań Wierchowskiego, który w 1914 r. był odkomenderowany do Serbii i pełnił funkcję oficera łącznikowego między rosyjskim sztabem generalnym a swoim odpowiednikiem w Serbii, zabójstwo następcy austro-węgierskiego tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego żony Zofii zostało dokonane 28 czerwca 1914 r. pod ścisłą kontrolą rosyjskiego wywiadu i dyplomacji rosyjskiej na Bałkanach.

Czołową rolę, jak zeznał Wierchowski, odegrał w operacji zamachowej rosyjski ambasador w Belgradzie Nikolaus von Hartwig, jeden z najbardziej doświadczonych dyplomatów rosyjskich. Ten niemiecki arystokrata w służbie rosyjskiej był twórcą tzw. bałkańskiego sojuszu – związku państw bałkańskich pod protektorem Imperium Rosyjskiego, który pozwolił ostatecznie wyprzeć Turcję z Europy. Hartwig w Serbii miał pozycję wyjątkową, praktycznie nic w tym młodym państwie nie mogło się wydarzyć bez sankcji

rosyjskiego ambasadora. Premier Nikola Pašić był jego posłuszną marionetką. Ruch serbskich nacjonalistów Wielka Serbia, którego głównym ideologiem był premier, powstał przy aktywnym poparciu Hartwiga.

Gwoli sprawiedliwości odnotujemy, że postawa niemieckiego arystokraty nie była czymś nadzwyczajnym dla ówczesnej Rosji. Wielu rosyjskich Niemców zapisało się w rosyjskiej historii jako skrajni nacjoniści rosyjscy, których można czasem określić jako bardziej rosyjskich od innych Rosjan.

Imperium Rosyjskie przed wybuchem I wojny światowej w życiu południowych Słowian zajmowało pozycję szczególną. Rosja kontrolowała życie finansowe Serbii. Hojne dotacje rosyjskie wspierały serbski budżet, a w przypadku Czarnogóry budżet państwowy prawie w 80 proc. składał się z rosyjskich dotacji. To wszystko pozwalało Rosji kontrolować wewnętrzną i zewnętrzną

politykę Serbii oraz Czarnogóry. Premier Serbii Nikola Pašić był jedynie realizatorem pomysłów i decyzji von Hartwiga.

Czarna Ręka

W Serbii na początku XX w. legalnie, przy cichym poparciu władz i z przyzwolenia von Hartwiga, działała organizacja Czarna Ręka, otwarcie wyznająca terroryzm jako środek wskrzeszenia Wielkiej Serbii obejmującej chorwackie, bośniackie, słoweńskie i macedońskie tereny. Na czele tej organizacji stał płk Dragutin Dimitrijević, pełniący obowiązki szefa służby wywiadu serbskiego sztabu generalnego. Pułkownik ten miał za sobą bogate doświadczenia spiskowo-terrorystyczne. To on stał na czele zamachu stanu w 1903 r., kiedy grupa serbskich oficerów pod jego dowództwem opanowała pałac królewski i zabiła niedostatecznie prorosyjskiego króla Aleksandra Obrenowicia, królową Dragę, premiera i ministra obrony kraju. Ten zamach umożliwił wejście na tron nowemu królowi Piotrowi Pierwszemu z dynastii Karageorgowiciów, monarsze całkowicie odpowiadającemu interesom Rosji. W 1911 r. płk Dimitrijević zorganizował już jako szef wywiadu wojskowego Serbii nieudany zamach na imperatora Austro-Węgier Franciszka Józefa.

Misja ambasadora

W 1914 r. Dragutin Dimitrijević nadal pełnił swoje obowiązki i, co jest najważniejsze, miał całkowite zaufanie rosyjskiego ambasadora Nikolausa von Hartwiga. Nie wiemy, komu pierwszemu z tych dwóch czołowych politycznych graczy na Bałkanach przyszła do głowy idea zamachu na życie następcy austro-węgierskiego tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda: von Hartwigowi czy płk. Dimitrijevićowi. Według Wierchowskiego zamach był inicjowany z serbskiej strony, ale Hartwig wyraził na to zgodę. Dlaczego?



Zamach w Sarajewie FOT. WIKIPEDIA

■ Stworzenie Wielkiej Serbii, takiej, jaka powstała w wyniku I wojny światowej i istniała prawie przez 70 lat do upadku komunistycznej Jugosławii, zawsze było jednym z priorytetów rosyjskiej polityki na Bałkanach. Czołowym pomysłodawcą tej idei i jej głównym realizatorem był Nikolaus von Hartwig, który uważał, że do jej realizacji wszystkie środki, z terrorem włącznie, są dozwolone. Dla Hartwiga przyłączenie do Serbii terytoriów Austro-Węgier zamieszkanych przeważnie przez inne południowo-słowiańskie narody było dziełem jego życia, swoistą *idée fixe*, dla której urzeczywistnienia nie szczędził wysiłków. Swojej wielkiej polityki na Bałkanach nie mógł jednak prowadzić bez uzgodnienia z Sankt Petersburgiem. Wysłał do Rosji zaszyfrowane depesze na ten temat. Jednak cała korespondencja między rosyjskim Ministerstwem Spraw Zagranicznych a Hartwigiem dziwnym trafem zniknęła z archiwum. Są przepuszczenia, że po przewrocie bolszewickim w październiku 1917 r. zniszczył ją osobiście wiceminister spraw zagranicznych Anatolij Nieratow w obawie, że dokumenty mogą być wykorzystane przez bolszewików do rozpoczęcia jeszcze większych represji przeciwko tym, którzy rozpętali I wojnę światową, nazwaną przez Lenina „wojną imperialistyczną”.

Nikolaus von Hartwig nie spodziewał się, że jego działania w Belgradzie mogą doprowadzić do wojny na niespo-

tykaną skalę, do wojny światowej. Cały plan zamachu był obliczony jedynie na pobudzenie słowiańskich mniejszości imperium Habsburgów do aktywizacji ich dążeń zjednoczeniowych z Serbią, na ewentualne pojawienie się na tych ziemiach ruchu powstańczego.

10 lipca 1914 r., dwa tygodnie po zamachu i dwa tygodnie przed wystosowaniem austro-węgierskiego ultimatum Serbii, w Belgradzie odbyło się oficjalne spotkanie między rosyjskim wysłannikiem na Bałkanach Nikolausem von Hartwigiem i ambasadorem Austro-Węgier w Belgradzie baronem Gozlem. Podczas spotkania austriacki ambasador ujawnił von Hartwigowi wyniki pierwotnego śledztwa w sprawie zabójstwa następcy austro-węgierskiego tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego żony Zofii. Austriacy śledczy mieli niezbitę dowody na to, że za zabójstwem stały oficjalne czynniki serbskie, że zabójstwo było zorganizowane przez serbski wywiad. Powiedział mu również, że rząd austriacki szykuje się do wystosowania wobec rządu Serbii ultimatum, którego jednym z paragrafów będzie zorganizowanie w stolicy Serbii eksterytorialnej placówki austriackiej policji, która zajmie się wyjaśnieniem wszystkich okoliczności zbrodni. Było jasno, że w razie przyjęcia podobnego ultimatum wyjaśnienie ścisłego zaangażowania osobistego von Hartwiga w zabójstwo będzie jedynie kwestią

czasu. Rosyjski dyplomata stracił przytomność z przerażenia i, prawdopodobnie, ze strachu przed konsekwencjami dla niego osobiście. 57-letni Nikolaus von Hartwig, rosyjski wysłannik na Bałkanach i jeden z głównych inicjatorów I wojny światowej, zmarł na zawał serca podczas rozmowy ze swym austriackim kolegą.

Kapsułki z cyjankiem

Innym świadkiem rosyjskiego zaangażowania był podległy von Hartwigowi Wiktor Artamonow, specjalny przedstawiciel wojskowego wywiadu rosyjskiego w Serbii. To on miał bezpośredni kontakt z Dimitrijewiczem, to on osobiście poinformował swych serbskich współpracowników o dokładnym czasie przyjazdu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, to on uzgadniał wszystkie detale zamachu, to on starał się zrobić wszystko, aby prawda o tym, co się stało 28 czerwca w Sarajewie, nigdy nie wyszła na jaw. Każdy z sześciu zamachowców miał w razie zagrożenia aresztem w żadnym wypadku nie dostać się w ręce policji i skończyć życie samobójstwem. Niektórzy, w tym główny zamachowiec Gawriło Princip, zastali zaopatrzeni w kapsułki z cyjankiem.

Po zamachu Wiktor Artamonow nigdy do Rosji już nie wrócił. Aż do 1918 r. pełnił funkcję przedstawiciela rosyjskiego



Gmach NKWD na Łubiance FOT. WIKIPEDIA

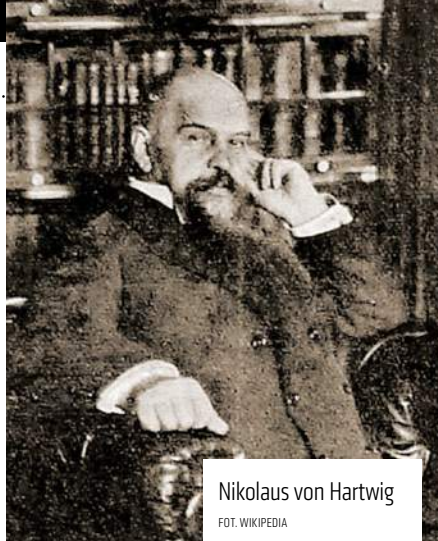
wywiadu wojskowego przy serbskim sztabie generalnym. Na szczęście nie trafił w ręce bolszewików po 1917 r., nie poznał okropnych przesłuchań przez śledczych NKWD na Łubiance. Przeżył długie życie na emigracji, nigdy nie ujawnił historii rosyjskiego zaangażowania w zamach na następcę austro-węgierskiego tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Został przyjęty do służby w armii Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców. W swej nowej ojczyźnie zajmował się tym, na czym znał się najlepiej – wywiadem wojskowym. Zmarł w wieku 75 lat, na początku II wojny światowej.

Zupełnie inny los spotkał głównego świadka zaangażowania Rosji w zabójstwo sarajewskie. W odróżnieniu od Artamonowa Aleksander Wierchowski w wojsku rosyjskim był znany z poglądów lewicowych. Jeszcze w 1905 r., po słynnej krwawej niedzieli, oświadczył, że nigdy nie wykona rozkazu strzelania do demonstrujących przeciwników caratu. Skreślono go z listy kadetów, uczących się w prestiżowej szkole oficerskiej, i jako podoficera skierowano na front japoński.

Po wybuchu I wojny światowej Wierchowski natychmiast wrócił do ojczyzny. Objął stanowisko dowódcy sztabu 3. Fińskiej Brygady Piechoty. W jej szeregach wziął udział w nieudanym natarciu na Prusy Wschodnie. We wrześniu 1914 r. w walkach pod Augustowem odznaczył się prawdziwym męstwem. Został ciężko ranny. Odznaczono go Orderem Świętego Jerzego.

Od marca 1916 r. Rosja szykowała się do opanowania Cieśniny Bosforskiej za pomocą operacji desantowej. Wierchowski w randze pułkownika stanął na czele sztabu specjalnej dywizji czarnomorskiej szykującej się do desantu w tureckich cieśninach. Operacja ta jednak nie została zrealizowana. Przeszkodziła rewolucja lutowa, która otworzyła przed Wierchowskim drogę do błyskotliwej kariery politycznej. W Sewastopolu, głównej bazie rosyjskiej marynarki wojennej na Morzu Czarnym, został obrany zastępcą przewodniczącego miejskiej rady deputowanych robotniczych i żołnierskich, która pełniła w Rosji w tym okresie funkcję tzw. drugiej władzy. Świadczyło to niewątpliwie o jego sporym autorytecie wśród marynarzy i żołnierzy.

Wkrótce Aleksandra Wierchowskiego nowy demokratyczny rząd Rosji zaprosił do Sankt Petersburga do pracy w nowym



Nikolaus von Hartwig
FOT. WIKIPEDIA

ministerstwie obrony kraju. We wrześniu 1917 r. awansował na generała-majora, a premier Aleksander Kiereński zaproponował mu stanowisko ministra obrony. Przyjmując urząd, Wierchowski od początku dał się poznać jako zwolennik stworzenia jednorodnego rządu socjalistycznego z udziałem umiarkowanych bolszewików. Była to propozycja kompletnie zgubna dla młodej rosyjskiej demokracji. Dlatego wiele badaczy historii wielkiej rewolucji rosyjskiej (październikowej) nie bez podstaw uważa Wierchowskiego za głównego winowajcę straszliwej porażki młodej demokracji rosyjskiej i zwycięstwa bolszewików. Sam Kiereński w swych wspomnieniach nazywa go naiwnym romantykiem, który nie widział ani nie rozumiał zagrożenia bolszewickiego.

Ta jego naiwność w końcu zaprowadziła go do bolszewików. W grudniu 1918 r. Wierchowski wstąpił do Armii Czerwonej i początkowo objął stanowisko dowódcy sztabu pietrogradskiego okręgu wojskowego. Bolszewicy jednak mu nie dowierzali. Maj–październik 1919 r. spędził w więzieniu. Jednak dzięki interwencji Lwa Trockiego, głównodowodzącego Armii Czerwonej, został zwolniony i skierowany jako wykładowca do nowo powstałej szkoły czerwonych dowódców.

U bolszewików Wierchowski wielkiej kariery już nie zrobił. Do partii bolszewickiej nigdy się nie zapisał, a to hamowało karierę. Krótko w latach 20. szefował Akademii Sztabu Generalnego. Został profesorem, wykładał w różnych akademiach wojskowych. Był autorem wielu cennych publikacji z dziedziny wojskowości. Niektóre jego koncepcje prowadzenia wojny do dziś zadziwiają badaczy przenikliwością, nieszablonością myślenia i fachowością analizowania. Wierchowski już w latach 20. XX w. przewidywał, że czas masowych milio-

nowych armii walczących na stałych mocno ufortyfikowanych pozycjach dobiega końca, a przyszłość wojskowości należy do wysoko wyspecjalizowanych jednostek wojskowych. Wojnę będą prowadzić nie miliony słabo przygotowanych zmobilizowanych na czas wojny żołnierzy, ale armie elitarne, w których każdy żołnierz będzie wyróżniał się głęboką wiedzą fachową i doskonałym przygotowaniem do walki.

Niewygodna prawda

Podczas pierwszej wielkiej czystki w Armii Czerwonej (wykrycie tzw. spisku marszałka Michaiła Tuchaczewskiego) oszczędzono Wierchowskiego. Natomiast operacja polska oznaczała kres jego romansu z bolszewikami, areszt, śledztwo z użyciem przestępczych środków przesłuchania i niechybną śmierć.

To, co wyznał Wojciechowski podczas przesłuchań w podwalach Łubianki, dziś brzmi jak rewelacja. Jednak czy jest nią rzeczywiście?

Naprawdę o ścisłym zaangażowaniu Rosji w zabójstwo sarajewskie dość sporo pisała prasa Austro-Węgier i Niemiec tuż przed rozpoczęciem wojny. Niemcy i Austriacy oskarżali imperium Romanowów o sprowokowanie wojny.

Państwa centralne jednak wojnę przegrały i jej historię pisali oraz piszą do dziś zwycięzcy, którym wcale nie zależy na ujawnieniu prawdy, że to ententa stoi za zabójstwem następcy austro-węgierskiego tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego żony Zofii, że to Rosja, jako jeden z czołowych uczestników przemyśla Francji, Wielkiej Brytanii i Imperium Rosyjskiego, pozwoliła na sprowokowanie światowej wojny na taką skalę, jakiej jeszcze nigdy nie doznała ludność naszej planety.

Dla Rosji ta wojna skończyła się fatalnie i pogrążyła kraj w czarnej otchłani totalitaryzmu na długie ponad 74 lata. Dlaczego Rosja zrobiła ten fatalny krok? Możemy przypuszczać, że w Sankt Petersburgu liczono na szybkie zwycięstwo nad Austro-Węgrami i odnowienie roli Rosji jako głównego żandarma Europy, rolę, jaką ten olbrzymi kraj odgrywał w pierwszej połowie XIX stulecia.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



rozmawia Piotr Zychowicz

Jak Izrael wypędził Arabów

PIOTR ZYCHOWICZ: „Ziemia bez ludzi dla ludzi bez ziemi” – to było główne syjonistyczne hasło na przełomie wieków XIX i XX. Czy w Palestynie naprawdę nie było wówczas ludzi?

PROF. ILAN PAPPÉ: Nie, to był mit. Ta ziemia nie była pusta. Kiedy pod koniec XIX w. do Palestyny zaczęli przybywać pierwsi syjoniści, mieszkało tam pół miliona Palestyńczyków. Żyli w około tysiącu wsi i 12 miastach.

Jakie plany mieli syjoniści wobec tej ludności?

Od samego początku istnienia ruchu syjonistycznego obecność Palestyńczyków w Palestynie stanowiła poważny problem dla wyznawców tej ideologii. Marzyli oni bowiem o stworzeniu żydowskiego państwa narodowego. Tylko dla Żydów. A co za tym idzie – szukali sposobów na usunięcie, pozbycie się arabskiej ludności.

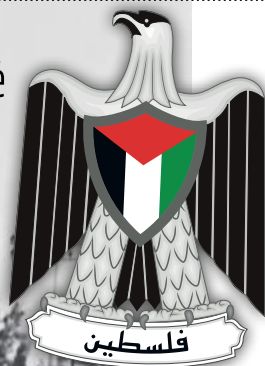
Jak to sobie wyobrażali?

Początkowo, gdy Palestyna znajdowała się pod brytyjskim mandatem (1918–1948), syjoniści mieli nadzieję, że Brytyjczycy zrobią to za nich. Czyli deportują Palestyńczyków do innych krajów arabskich. Gdy tak się nie stało, syjoniści postanowili wziąć sprawę w swoje ręce i rozwiązać „problem palestyński” własnymi rękoma. W 1948 r.

Z izraelskim historykiem prof. Ilanem Pappé



Wysiedlenie Palestyńczyków z żydowskiej części Jerozolimy FOT. GETTY IMAGES



zaś taka, że cel ten mógł zostać osiągnięty tylko siłą.

Jak wyglądała ta sytuacja demograficzna?

Była dla syjonistów niezwykle niekorzystna. Ponad dwie trzecie mieszkańców Palestyny było bowiem Arabami. Jeżeli zaś chodzi o ziemię, to z chwilą wygaśnięcia mandatu do Żydów w Palestynie należało... 5,8 proc. gruntów.

W 1947 r. Brytyjczycy ogłosili, że zrezygnują z mandatu nad Palestyną. ONZ zaproponowało wówczas podzielenie Palestyny na dwa państwa – żydowskie i arabskie. Arabowie jednak odrzucili ten plan. Dlaczego?

Palestyńczycy i cały świat arabski uważali syjonizm za ruch kolonialny. Nie widzieli żadnego powodu, dla którego mieliby oddać połowę swojej ojczyzny osadnikom z odległych krajów. Szczególnie że większość z nich przybyła do Palestyny trzy lata wcześniej, po zakończeniu II wojny światowej. Czy może pan sobie wyobrazić sytuację, w której Polacy zgodziliby się na oddanie połowy Polski jakimś przybyszom?

Rzeczywiście trudno mi to sobie wyobrazić.

Odmowa podziału Palestyny przez Palestyńczyków była więc w pełni uzasadniona.

W marcu 1948 r. przywódcy syjonistyczni zatwierdzili plan „Dalet”. Co się kryło pod tym kryptonimem?

Był to główny plan przygotowany przez syjonistów na moment wygaśnięcia brytyjskiego mandatu. Zakładał on, że w momencie gdy Brytyjczycy wycofają się z Palestyny, Żydzi wkroczą do akcji. Siłą opanują kraj i wyrzucą z niego jak najwięcej Arabów. Chodziło o urzeczywistnienie ideologicznej wizji Palestyny bez Palestyńczyków.

Czy plan „Dalet” został wdrożony w życie?

Niestety tak. Podczas dziewięciu miesięcy 1948 r. prawie wszystkie miasta Palestyny (oprócz dzisiejszego Zachodniego Brzegu Jordanu i Strefy Gazy) zostały opróżnione z arabskich mieszkańców. A połowa spośród tysięcy wiosek została zniszczona przez izraelskie siły zbrojne. Ich ludność została wypędzona. Procesowi temu towarzyszyły grabieże, ■

dokonali w Palestynie masowej czystki etnicznej, której ofiarą padła połowa palestyńskiej populacji.

Dlaczego syjoniści tak bardzo chcieli się pozbyć Arabów? Nie mogliby po prostu zamieszkać obok nich?

Ponieważ syjonizm jest kolonialnym ruchem osadniczym. Został wymyślony przez Europejczyków, którzy nie chcieli

już żyć w Europie, ale chcieli odtworzyć Europę na nowym terenie, ale bez rdzennych mieszkańców. Czyli schemat, który został zrealizowany wcześniej w Ameryce czy Australii. Ideologia syjonistyczna zakładała, że cały projekt odniesie sukces wyłącznie wtedy, jeżeli Żydzi będą jedynymi mieszkańcami Palestyny. Albo przynajmniej będą stanowić przytłaczającą większość. Sytuacja demografia była

akty przemocy, a nawet masakry ludności cywilnej. Dla Palestyńczyków była to wielka ludzka tragedia.

Jak odbywały się takie wypędzenia?

Szczegółowe wytyczne zostały zawarte w planie „Dalet”. Wioska była otaczana z trzech stron przez izraelskie siły, czwartą stronę pozostawiano ludziom do ucieczki. Izraelczycy w nocy lub nad ranem wkraczali do środka i brutalnie wyrzucali mieszkańców z domów. Czasami, aby ułatwić wypędzenie, rozstrzelali niektórych młodych mężczyzn. Osoby przeznaczone do egzekucji wskazywali arabscy agenci, którym w momencie deportacji – aby nie zostali rozpoznani – wkładano na głowy specjalne kaptury. Płóciennne worki z wyciętymi otworami na oczy. Na koniec operacji budynki były wysadzane w powietrze dynamitem, podpalane lub zrównywane z ziemią przy użyciu buldożerów. Tak aby ludzie nie mieli do czego wracać.

Wspomniał pan o masakrach.

Najbardziej znanym przypadkiem było zniszczenie wioski Dajr Jasín 9 kwietnia 1948 r. Ta położona w pobliżu Jerozolimy arabska miejscowość zawarła porozumienie o nieagresji z siłami żydowskimi. Kiedy jednak Dajr Jasín miała zostać zlikwidowana w ramach planu „Dalet”, porozumienie nie uchroniło jej mieszkańców przed tragedią. Gdy odmówili opuszczenia swoich domów, izraelscy żołnierze wpadli w amok. W ciągu kilku godzin zamordowali dziesiątki mężczyzn, kobiet i dzieci.

W swojej książce przedstawił pan również mrozące krew w żylach sceny, które rozegrały się w miastach.

Weźmy na przykład Hajfę. Najważniejszy port na północy Palestyny. Początkowo arabska ludność została poddana kampanii terroru i nękania. Żydowskie żołnierze wylewali na ulice ropę i ją podpalali. Gdy przerażeni ludzie wybierali na zewnątrz, Izraelczycy zasypywali ich gradem kul. Wreszcie, w kwietniu 1948 r., arabska ludność cywilna zgodziła się na opuszczenie miasta. Gdy szykowała się w porcie do ewakuacji, Izraelczycy zajmujący pozycje na zboczu góry Karmel rozpoczęli bombardowanie z moździerzy. Wywołało to straszliwe spustoszenie, ludzie wpadli w panikę, wielu z nich utonęło w morzu. Z 75 tys. arabskich

mieszkańców Hajfy w mieście zostało zaledwie kilka tysięcy! „Zabijać każdego napotkanego Araba – rozkazywał jeden z oficerów Mordechaj Maklef – podpalać wszystko, co łatwopalne i otwierać sobie drzwi dynamitem”.

Część izraelskich historyków twierdzi, że Palestyńczycy uciekali z domów dobrowolnie. Wezwanie takie wystosowali bowiem do nich arabscy przywódcy. Chodziło o oczyszczenie pola walki przed rozprawą z Żydami.

To nieprawda. Żaden człowiek na świecie nie opuszcza dobrowolnie swojego domu. Palestyńczycy nie byli tu żadnym wyjątkiem. Oni nie chcieli wyjeżdżać – zostali do tego zmuszeni. Wspomniane przez pana wezwanie do wyjazdu nigdy nie zostało przez arabskich przywódców wydane. To izraelska propaganda. Sprawdzam to ja, sprawdzał to inny izraelski historyk Benny Morris i sprawdzał to irlandzki dziennikarz Erskine Childers. Żaden z nas nie znalazł w archiwach najmniejszego śladu takiego apelu.

Według oficjalnej izraelskiej wersji historii Żydzi w 1948 r. walczyli o przetrwanie. Istniało bowiem zagrożenie „drugim Holokaustem”. Tym razem mieli go dokonać nie Niemcy, ale Arabowie.

Nie, to przesada. Oczywiście państwo żydowskie w maju 1948 r. było zagrożone. Rządy krajów arabskich wysłały wówczas oddziały wojskowe na pomoc Palestyńczykom i gdyby te oddziały zwyciężyły, zapobiegłyby ustanowieniu państwa żydowskiego. Problem w tym, że ich szanse na sukces militarny były znikome. Siły izraelskie pod każdym względem miały bowiem nad nimi przewagę. Były znacznie lepiej uzbrojone i wyćwiczone. Bez trudu pokonały siły arabskie. Było więc odwrotnie, niż twierdzili to syjonistyczni przywódcy – to nie Żydzi w 1948 r. znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, ale Palestyńczycy.

Czy plan „Dalet” zakończył się sukcesem?

Plan powiódł się w tym sensie, że z terenów, które w maju 1948 r. weszły

w skład państwa Izrael zniknęło 90 proc. Palestyńczyków. Reszta Palestyny, czyli obecny Zachodni Brzeg Jordanu, przypadła Jordanii. W sumie Izraelczycy wypędzili z domów połowę palestyńskiego narodu! 750 tys. z 1,3 mln ludzi. Skala tej czystki etnicznej była więc olbrzymia.

Ilu ludzi w jej trakcie zginęło?

Nie znamy dokładnej liczby ofiar śmiertelnych, ale szacuje się ją na ok. 15 tys.

W książce pisze pan, że mózgiem operacji „Dalet” był Dawid Ben Gurion. Legendarny ojciec założyciel i pierwszy premier Izraela. To może być szokujące dla wielu czytelników.

Tak, ludzie uważają Ben Guriona za szlachetnego człowieka, ale to on zaplanował czystki etniczne w Palestynie. A później narzucił surowy wojskowy reżim tym nielicznym Palestyńczykom, którzy uniknęli wypędzenia i pozostali w Izraelu.

Dlaczego zachodni świat w 1948 r. milczał. Czy było to związane z wyrzutami sumienia za Holokaust?

Pod wieloma względami tak. W efekcie doszło do sytuacji zdumiewającej. Pozwolono, aby przywódcy syjonistyczni stali się reprezentantami 6 mln zgładzonych Żydów i jednocześnie kolonizatorami Palestyny. Zgoda Zachodu na ujarzmienie Palestyny miała być moralną rekompensatą za horror Zagłady. Nikt na Zachodzie nie chciał też mówić o żydowskich zbrodniach tak krótko po Holokaucie. W efekcie Nakba – mimo swojej kolosalnej skali i brutalności – została wymazana, wyrugowana ze zbiorowej pamięci ludzkości. Zapanowała w jej sprawie zmowa milczenia.

Czyli za zbrodnie Niemców cenę zapłacili Palestyńczycy. Swoją książkę nazwał pan „Czystki etniczne w Palestynie”. Czy to jednak nie przesada?

Wystarczy sprawdzić definicję czystki etnicznej ustanowioną przez ONZ, amerykański Departament Stanu czy czołowych ekspertów w tej dziedzinie. To, co się wydarzyło w 1948 r., idealnie się w tej definicji wpisuje. Sprawa jest prosta. Kiedy jedna grupa etniczna usuwa drugą grupę etniczną z mieszanego etnicznie obszaru, mamy do czynienia z czystką etniczną. To, co działo się w 1948 r., było systematyczną kampanią przemocy,



ILAN PAPPÉ
„CZYSTKI ETNICZNE
W PALESTYNIĘ”

KSIĄŻKA I PRASA

realizowaną na podstawie ustalonego wcześniej planu.

Czy jakkolwiek izraelski żołnierz lub polityk był kiedykolwiek sądzony za zbrodnie wojenne popełnione w 1948 r.?

Nie, żaden z nich nie stanął przed sądem.

Co stało się z miejscami, w których kiedyś były arabskie wsie?

W miejscu niektórych wiosek Izrael zasadził lasy składające się ze sprowadzonych z Europy sosen. Chodzi nie tylko o zakamuflowanie ruin palestyńskich miejscowości, lecz także o uczynienie krajobrazu bardziej europejskim. Na pozostałościach innych wiosek zbudowane zostały osady żydowskie. Ich nazwy zhebraizowano. Na przykład arabska Lubia stała się żydowską Lavią. Chodzi o to, by pokazać, że nie mamy do czynienia z okupacją, lecz z odkupieniem starożytnych miejsc biblijnych. Chodzi o wymazanie wszelkich śladów historii kultury jednego narodu i zastąpienie jej fikcją na temat innego narodu.

A co się stało ze świątyniami?

Arabskie kościoły chrześcijańskie pozostały zazwyczaj nietknięte, ale meczety zostały niszczone lub przekształcone w restauracje.

Pańscy krytycy oskarżają pana o jednostronność. Zarzucają panu pomijanie antyżydowskich zbrodni popełnionych przez Arabów. Na przykład masakry w Hebronie z 1929 r., której ofiarą padło blisko 70 Żydów.

Przede wszystkim w swoich książkach piszę również o atakach na Żydów. Uważam jednak, że działania Izraelczyków w Palestynie to działania kolonialne. Zupełnie inaczej – choć nie bez krytycyzmu – należy oceniać przemoc „antykolonialną”, która jest przecież częścią walki wyzwoleniczej. Co więcej, w mediach głównego nurtu i na zachodnich uniwersytetach obraz wydarzeń na Bliskim Wschodzie jest wyjątkowo nieobiektywny. Oczywiście nieobiektywny na korzyść Izraela. Moja książka ma równoważyć te stronnicze głosy.

Palestyńczycy wypędzenia roku 1948 określają mianem „Nakby”. Czyli katastrofy. A jak państwo Izrael – po 70 latach – odnosi się do tych wydarzeń?



Dawid Ben Gurion, pierwszy premier Izraela FOT. ADOBE STOCK

Rząd Izraela neguje Nakbę. W kraju obowiązuje specjalne prawo, które zakazuje przedstawiania wydarzeń 1948 r. jako katastrofy. Jeżeli jakaś organizacja pozarządowa będzie chciała upamiętnić Nakbę, to natychmiast straci prawo do wszelkich funduszy publicznych. Istnieje natomiast pozarządowa organizacja Zochrot, która stara się edukować społeczeństwo na temat Nakby. Jej wpływ na opinię Izraelczyków – jak na razie – jest jednak znikomy.

Jakie są według pana długoterminowe konsekwencje wypędzeń z 1948 r.?

Głównym problemem jest to, że czystki etniczne – które były esencją izraelskich działań – wcale nie ustały w 1948 r. One przecież trwają do dziś na terenach okupowanych – w Zachodnim Brzegu Jordanu i w Strefie Gazy! Palestyńczycy nadal cierpią, a Izraelczycy nadal kolonizują palestyńską ziemię. Główną konsekwencją wypędzeń z 1948 r. jest jednak oczywiście problem uchodźców palestyńskich. Ludzie wypędzeni przez Izraelczyków i ich potomkowie żyją do dziś w obozach dla uchodźców na terenie Autonomii Palestyńskiej i sąsiednich krajów arabskich. Jest ich obecnie 5 mln. Ci uchodźcy mają prawo do powrotu do swoich domów i wiosek. Dopóki to prawo nie zostanie uszanowane, dopóty na Bliskim Wschodzie nie będzie pokoju ani pojednania.

Izrael robi jednak wszystko, żeby wyłączyć prawo do powrotu z procesu pokojowego. Dlaczego?

Robi to z dwóch powodów. Po pierwsze, byłoby to równoznaczne z przyznaniem się do popełnienia zbrodni przeciwko Palestyńczykom w 1948 r. A Izrael nie ma na to najmniejszej ochoty. Po drugie, napływ arabskich uchodźców radykalnie zmieniłby demografię państwa żydowskiego na korzyść Arabów. Według syjonistów byłoby to samobójstwo.

Obawiam się, że mają sporo racji. Gdyby Żydzi stali się mniejszością w państwie żydowskim, oznaczałoby to koniec Izraela. Co więcej, setki tysięcy Żydów musiałyby zwrócić swoją ziemię i domy powracającym Arabom. Czy „prawo do powrotu” jest więc realistycznym postulatem?

Całe życie spędziłem, mieszkając razem z moimi palestyńskimi braćmi i siostrami oraz z moimi żydowskimi braćmi i siostrami. Dzielimy ten kraj i chcemy go dzielić w przyszłości. To, co nas martwi, to perspektywa, że większość mieszkańców będą stanowili fanatycy, a nie Żydzi czy Arabowie. „Prawo do powrotu” jest więc realistycznym postulatem. Mieszane, arabsko-żydowskie, terytoria przecież istnieją. Choćby tu gdzie mieszkam – w Hajfie i w Galilei. Oczywiście to, o czym mówię, nie zdarzy się z dnia na dzień. Jak jednak pokazuje nam przykład RPA – gdzie apartheid został obalony – jest to możliwe.

Naprawdę wierzy pan, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, Palestyńczycy i Izraelczycy mogli żyć w jednym państwie w pokoju?

Tak, oczywiście, że w to wierzę. W wielu miejscach na świecie narody robiły sobie znacznie gorsze rzeczy, a teraz żyją razem w przyjaźni i harmonii.

Czy miał pan problemy w Izraelu z powodu pańskich poglądów?

Niestety tak. Straciłem pracę na uniwersytecie i nie mogę pracować w izraelskim środowisku akademickim. Mogę jednak występować publicznie i przekonywać ludzi do swoich racji.

Jeżeli Izrael został stworzony na krwi i łzach palestyńskich kobiet i dzieci, to być może cały projekt syjonistyczny był od początku niemoralny i niepotrzebny?

To jest bardzo złożona kwestia. Ruch syjonistyczny uratował dużą liczbę Żydów, ale dokonał tego kosztem rodzimej ludności Palestyny. Moim zdaniem mogło to być zrobione inaczej. Żydzi mogli przybyć do Palestyny jako imigranci, a nie jako osadnicy i kolonizatorzy. Ważne jest teraz zbudowanie nowego państwa opartego na równości wszystkich obywateli – Żydów i Arabów. Należy naprawić krzywdy przeszłości. Zgodzić się na powrót uchodźców, wypłacić im odszkodowanie za utraconą własność i pozwolić, aby mogli swobodnie czerpać z zasobów tego cudownego i pięknego kraju.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Arkadiusz Karbowski

/ Włosi użyli zabójczych gazów bojowych. Abisyńczycy kastrowali włoskich jeńców

Abisynia, dziś Etiopia, była jednym z dwóch krajów (drugim była Liberia) leżących w podzielonym między mocarstwa kolonialne kontynencie afrykańskim, którym dane było w latach 30. XX w. cieszyć się niepodległością. Jednak pod koniec 1934 r. nad krajem zaczęły gromadzić się groźne chmury zbliżającego się konfliktu. Zwiastowała go potyczka w Ual Ual. 5 grudnia 1934 r. doszło do wymiany ognia między oddziałami armii abisyńskiej a stacjonującym w tej osadzie 60-osobowym plutonem somalijskich dubatów, czyli najemników służących w nieregularnych formacjach podporządkowanych włoskim siłom zbrojnym. Efektem starcia, w którym wzięły udział włoskie samochody pancerne i lotnictwo, była śmierć 107 Abisyńczyków oraz 30 Włochów i Somalijszyków. Incydent w Ual Ual spowodował, że stosunki abisyńsko-włoskie zaczęły zmierzać w kierunku zbrojnej konfrontacji.

Plany dotyczące inwazji na Abisynię zaczęto we Włoszech opracowywać jeszcze w 1932 r. Szef rządu włoskiego Benito Mussolini zasugerował ministrowi ds. kolonii generałowi, późniejszemu marszałkowi, Emilio De Bono, podjęcie prac nad ewentualnym atakiem na Abisynię. Generał zareagował dość szybko i wkrótce przedłożył efekt swych analiz. Po latach tak wspominał: „Przyniosłem Mussoliniemu projekt ewentualnej akcji w Abisynii. Spodobał mu się. Jakby co, będę dowodził. Byłby to piękny łabędzi śpiew! Powinno być 35, ale boję się, że nie oszacowano dobrze kosztów i skutków. Zobaczymy”.

Według koncepcji De Bono do Abisynii miało wkroczyć 50 tys. erytrejskich najemników i 35 tys. Włochów. Te siły miały zająć całą prowincję przygraniczną Tigraj. Wsparcie dla atakujących miało stanowić lotnictwo. O konieczności jego użycia generał pisał do ministra Italo

1935–1936 / Wielka jatka na Czarnym Lądzie

Mussolini w Abisynii



Żołnierze włoscy w Abisynii

FOT. „L'ILLUSTRAZIONE ITALIANA”, 1936 R.

Wojna włosko-abisyńska 1935 r.

Balbo: „Dlatego konieczne jest, aby już w pierwszej chwili dysponować potężnym lotnictwem, które będzie w stanie sterroryzować stolicę i główne ośrodki władzy, wprowadzać zamieszanie i opóźnić zebranie się nieprzyjacielskiej armii, zbombardować ją i ostrzelać jej masy maszerujące po tych niewielu szlakach karawanowych oraz... siać panikę w armiach”.

Po wydarzeniach w Ual Ual te teoretyczne rozważania weszły w fazę konkretnych militarnych przygotowań. O tym, że tak się stało, zdecydował sam Benito Mussolini. Duce 30 grudnia 1934 r. skierował do najbliższych współpracowników notatkę. „Problem stosunków włosko-abisyńskich stał się problemem siły, problemem historycznym, który należy rozwiązać jedynym środkiem, jakim tego typu problemy były zawsze rozwiązywane, tj. przy użyciu wojska”.

Rewanż za Aduę

Zasadniczym powodem podboju Abisynii było dążenie do wzmocnienia prestiżu Włoch na arenie międzynarodowej. Zagarnięcie Abisynii miało być pierwszym krokiem na drodze budowy nowego rzymskiego imperium. Do przyczyn mniej istotnych należy zaliczyć chęć rewanżu za Aduę. W 1896 r. w bitwie pod tą miejscowością cesarz Abisynii Menelek II, nazywany „Zwycięskim Lwem Judy”, pokonał włoską armię dowodzoną przez gen. Oreste Baratieriego, zadając Włochom poważne straty. Rządzący państwem od 1930 r. cesarz Hajle Sellasje, stojąc w obliczu złowrogich sygnałów docierających z Rzymu, nie zamierzał kapitulować. Chciał powtórzyć sukces poprzednika.

Początkowo, szczególnie wśród dowódców wojskowych, nie było zbyt wielkiego entuzjazmu dla zaangażowania się w akcję militarną przeciw Abisynii. Jednym z oponentów był gen. Pietro Badoglio. Uważał, że armia włoska poniesie kolejną klęskę podobną do tej spod Aduy, a reakcja międzynarodowej opinii publicznej postawi Włochy pod pręgierzem krytyki i izolacji. Wydawało się, że w odniesieniu do tej drugiej kwestii sceptyczne oceny generała, po ujawnieniu przez media akceptacji przez państwa zachodnie znaczącego uszczuplenia terytorium Abisynii (pakt Laval-Hoare), co zaowocowało pod presją opinii publicznej

sprzeciwem Francji i Wielkiej Brytanii wobec ewentualnej inwazji, znajdują swoje potwierdzenie.

Tymczasem Mussolini uznał, że sytuacja zmusza go do przystąpienia do rychłych działań. Tym bardziej że 28 września 1935 r. cesarz Hajle Sellasje ogłosił mobilizację. Dzień wcześniej gazeta „Il Piccolo” napisała: „W Abisynii zakończyła się pora deszczowa. Być może niedaleki jest już dzień, kiedy uczestnicy genewskich dyskusji zostaną rozbudzeni grzmotem dział. Wtedy panowie ci zrozumieją, że Włochy rozpoczęły regulowanie swoich starych i nowych długów”.

3 października 1935 r. armie włoskie przekroczyły granice Abisynii. Atak nastąpił z dwóch stron. Główne siły pod wodzą gen. Emilio De Bono podjęły działania militarne od strony Erytrei, tworząc tzw. front północny (13 dywizji), pozostałe mniej liczne (trzy dywizje) pod dowództwem generała, późniejszego marszałka, Rodolfo Grazianiego rozpoczęły ofensywę od strony Somalii, tworząc front południowy.

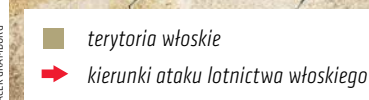
Oddziały włoskie nie napotkały podczas pierwszych dni walk wielkiego oporu. Po trzech dniach atakujący zajęli Aduę. Żołnierze byli zdziwieni wyglądem tego małego i brudnego miasta, które

pod koniec XIX w. stało się miejscem klęski królewskiej armii. Zajęciu Aduy nadano duży rozgłos. W związku z tym wydarzeniem powstała nawet pieśń o zdobyciu Adui. Była ona obok „Faccetta Nera” („Czarna Towarzyszka”) najbardziej znanym utworem muzycznym, który śpiewano w tamtym czasie tak na froncie, jak i w kraju.

Wojenny entuzjazm

We Włoszech wojna wywołała wybuch niezwykle, autentycznego, ale i sterowanego przez władze entuzjazmu. Zainicjował go, ogłoszony 18 grudnia 1935 r., La giornata della fede – Dzień Wierności. Władze zwróciły się do obywateli z prośbą o przekazanie na rzecz państwa dóbr osobistych w postaci złotych obrączek. W podzięcie każdy z darczyńców obdarowywany był obrączką żelazną. Jedną z kobiet tak się wypowiedziała na ten temat: „Ta obrączka jest dla mnie o wiele cenniejsza niż cokolwiek na świecie, ponieważ wiąże nas ze sobą ściślej niż najbardziej wartościowe złoto”.

FOT. JACEK GRAMBIŃSKI





Abisyńscy żołnierze podczas bitwy pod Aduą (1896 r.) FOT. WIKIPEDIA

Jako pierwsza swą obrączkę oddała podczas uroczystości pod pomnikiem Wiktora Emanuela królowa Helena. Cenne precjoza przekazali członek Włoskiej Akademii Nauk oraz laureat Literackiej Nagrody Nobla z 1934 r. Luigi Pirandello, który podarował noblowski medal, weteran I wojny światowej oraz inicjator zajęcia Fiume (Rijeki), Gabriele D'Annunzio, podarował miecz ze złotą rękojeścią, a kardynał Bolonii Giovanni Batista – łacuch arcybiskupi. Generalnie hierarchia kościelna zaaprobowała zbrojną akcję w Abisynii. Nuncjusz Angelo Roncalli, późniejszy papież Jan XXIII, pisał do swoich krewnych: „To, jak Duce wszystko się udaje, punkt po punkcie, bitwa za bitwą, bez żadnego oporu i przerwy, każe wręcz wierzyć, że jakaś niebiańska moc prowadzi Italię i jej strzeże. Być może jest to nagroda za to, że zawarł on pokój z Kościołem”. Kardynał Mediolanu Ildefons Schuster uważał, że za cenę krwi przelanej w Abisynii kraj ten stanie otworem przed wiarą katolicką i prawem rzymskim.

Wielu przywódców faszystowskich wzięło udział w wojnie. Późniejszy minister spraw zagranicznych Galeazzo

Ciano służył w Abisynii jako dowódca 15. Eskadry Bombowców (15. Squadriglia „La Disperata”), uczestnicząc w pierwszym dokonanym w czasie wojny nalocie na miasto Adowa. W szeregach włoskiego lotnictwa znaleźli się także dwaj synowie Mussoliniego – Vittorio i Bruno. Poza nimi na czele jednego z oddziałów „Czarnych Koszul” stanął znany faszystowski radykał Roberto Farinacci, członek Wielkiej Rady Faszystowskiej. Jako jedyny z faszystowskich liderów odniósł podczas abisyńskiej wojny poważny uszczerbek na zdrowiu, tracąc rękę, czego rekompensatą było stosowne odznaczenie. Jednak utrata kończyny nie nastąpiła w wyniku walki, ale na skutek wybuchu granatu, który Farinacci zdetonował podczas połowu ryb w jeziorze Ashianghi.

W pierwszej fazie wojny inwazyjne wojska włoskie posuwały się w bardzo powolnym tempie. Ta ostrożność była m.in. wynikiem dbałości gen. De Bono o życie i zdrowie podlegających mu żołnierzy. Krytycznie tę taktykę postrzegał Duce. Szef włoskiego rządu chciał z uwagi na uwarunkowania międzynarodowe rozstrzygnąć wojnę na swą korzyść w miarę szybko. Dlatego na

stanowisko głównodowodzącego frontem północnym wyznaczył gen. Pietra Badoglio. Zintensyfikował on działania armii królewskiej. Wojska włoskie miały olbrzymią przewagę w artylerii, broni pancernej i lotnictwie. Dlatego Włosi odnosili same sukcesy, rozgromiając w kolejnych bitwach siły abisyńskie. Czasami przybierały one formę istnych masakr walczących z niebywałą odwagą abisyńskich wojowników. Żołnierz 24. DP „Gran Sasso” wspominał: „Zdawało się, że więcej było wrogów, niż mieliśmy kul”.

Zbrodnie wojenne

Jedną z kontrowersyjnych kwestii związanych z konfliktem włosko-abisyńskim było użycie przez Włochów gazów bojowych. Zgodę na ich zastosowanie dał Duce jeszcze w październiku 1935 r.: „[...] aby przewyciężyć opór nieprzyjaciela w razie kontrataku”. 28 grudnia 1935 r. Mussolini rozszerzył swoją aprobatę na użycie „wszelkiego rodzaju miotaczy ognia i gazów bojowych”. Jednak już kilka dni wcześniej, 22 grudnia 1935 r., samoloty Regio Aeronautica

obrzucili oddziały abisyńskie bombami iperytowymi (gaz musztardowy) podczas bitwy na przełęczy Dembeguina. Do 29 marca 1936 r. włoscy lotnicy zrzucili 272 tony gazu musztardowego na froncie północnym, a 44 tony na froncie somalijskim, zarówno iperytu, jak i fosgenu. Podczas bitwy pod Amba Aradam dwa dywizjony artyleryjskie wystrzeliły 1367 pocisków arsenowodorowych. Wbrew często formułowanym opiniom gaz nie odegrał rozstrzygającej roli we włoskich zwycięstwach. Zastosowanie gazu dało natomiast powód do formułowania krytycznych opinii o niezwyklej brutalności włoskiej armii.

Wojna abisyńsko-włoska była konfliktem o dużym natężeniu brutalności. Udział w nakręcaniu spirali zbrodni mieli w pewnej mierze Włosi. Były przypadki celowego bombardowania przez Regio Aeronautica obiektów ze znakiem Czerwonego Krzyża. Nie rozgrzeszając Włochów, należy wspomnieć, że transporty humanitarne wysyłane głównie ze Skandynawii wypełnione były, jak zeznawał jeden z jeńców abisyńskich, nie tyle medykamentami, ile często bronią i amunicją. Mussolini, gdy przekazano mu te informacje, rozkazał przepędzenie obsługujących owe transporty szwedzkich misjonarzy.

Poza bombardowaniami ambulanów z pomocą humanitarną zdarzało się Włochom rozstrzeliwanie jeńców. Wskazuje na to relacja jednego z pułkowników 1. Dywizji Erytrejskiej: „Jeden z dziesięciu jeńców powiedział do innych: nie mówcie, jeśli mówicie, jesteście jak kobiety. Kazałem go natychmiast rozstrzelać. Po tym wszystkim pozostałych dziewięciu powiedział, że nic więcej już nie wie. Rankiem 6-tego kazałem rozstrzelać tych pozostałych dziewięciu”.

Brutalne zachowania nie były jednak wyłącznie domeną strony włoskiej, bo to głównie Abisyńczycy łamali reguły prawa wojennego na masową skalę. Przykładem takich zachowań były zbrodnie dokonywane na jeńcach włoskich. Do końca konfliktu niewolę przeżyło zaledwie 12 jeńców. Włosi po poddaniu się byli z reguły mordowani przez Abisyńczyków. Na ogół dokonywano ich dekapitacji, a nierzadko ich kastrowano. Najbardziej znanym, szeroko opisywanym przez włoską propagandę przypadkiem było morderstwo, którego 24 grudnia 1935 r. dopuszczono się na osobie por. Tito Minitiego. Odcięto

mu genitalia, a następnie głowę, którą nadziano na włócznię. W Italii Minitio został ogłoszony przez Mussoliniego bohaterem. Trzy dni po tej zbrodni w podobny sposób śmierć poniósł Passo Zabala. W styczniu 1936 r. wykastrowano dwóch żołnierzy jednej z dywizji „Czarnych Koszul” Francesco Pascalego oraz Teodora Manieriego. 20 stycznia 1936 r. snajper zastrzelił próbującego nieść pomoc rannym kolegom oznaczonym symbolami Czerwonego Krzyża sanitariusza 1. dywizji MSVN Andrea Bilego. Po bitwie pod Macalle spośród 44 znalezionych po walce poległych Włochów aż 25 jeszcze za życia odcięto organy płciowe. Głośnym echem odbił się także mord

74 włoskich robotników w miejscowości Mai Lahla, pracowników firmy Gondrand, budujących drogę między Asmarą a Addi Quala. Oprócz Włochów Abisyńczycy mordowali również Erytrejczyków, należących do Korpusu Kolonialnego (Regio Corpo di Truppe Coloniali).

Włosi w walkach z poddanymi cesarza Hajle Sellasje zaangażowali wojowników z nadgranicznego islamskiego plemienia Azebu Galla, mającego z Abisyńczykami rachunki do wyrównania. Nienawiść do nich przekładała się na okrucieństwo w postępowaniu z jeńcami, których poddawano kastracji. Obcięte członki stanowiły swoiste trofea wojenne.

9 maja 1936 Mussolini z balkonu Piazza Venezia – słuchało go ok. 500 tys. Włochów – ogłosił zakończenie wojny. Wywoływany aż 42 razy przez tłum powiedział wówczas m.in.: „Oficerowie! Podoficerowie! Żołnierze wszystkich armii państwa w Afryce i we Włoszech! Czarne Koszule rewolucji! Włosi i Włoszki w kraju i za granicą, słuchajcie! Dokonało się wielkie wydarzenie, los Abisynii od 9 maja XIV roku ery faszystowskiej został przypieczętowany. Wszystkie węzły zostały przecięte naszym połyskującym mieczem i zwy-



Cesarz Hajle Sellasje FOT. WIKIPEDIA



Benito Mussolini FOT. WIKIPEDIA

cięstwo w Afryce trwale wpisało się w historię naszej ojczyzny, zwycięstwo całkowite i czyste, takie, jakie wymarzyli sobie polegli legionści i ci, którzy nadal są wśród żywych. Włochy w końcu mają swoje imperium. Imperium faszystowskie, gdyż nosi niespieralne piętno faszyzmu”.

Tego dnia Wielka Rada Faszystowska ogłosiła przyłączenie Abisynii do Królestwa Włoch. Król Wiktor Emanuel otrzymał tytuł cesarza Abisynii. Powracających z Afryki weteranów traktowano z należnym szacunkiem. Jeden z nich Antonio D'Angelo tak wspominał ów czas: „Przyjęto nas entuzjastycznie, uczestniczyli-

śmy w licznych paradach. Mieszkańcy miasta żywili ogromny szacunek dla wojska, było wiele uścisków, całusów i kwiatów. Wszyscy częstowali żołnierzy jedzeniem i winem. Traktowano nas niczym bohaterów”.

Straty Królestwa Italii były niewielkie. Poległo 2213 Włochów (oraz 453 włoskich robotników), 1086 Erytrejczyków oraz 507 Libijczyków i Somalijszczyków walczących po ich stronie. Po wojnie władzę w Addis Abebie objął z tytułem wicekróla gen. Rodolfo Graziani. 19 lutego 1937 r., podczas tradycyjnej uroczystości rozdawania jałmużny biednym, stał się celem zamachu i został ciężko ranny. W odpowiedzi zarządzone bezwzględne represje. W samej stolicy zabitych zostało w akcji odwetowej ok. 3 tys. osób. Graziani przekazał gen. Mallettiemu informację, że podległe mu terytorium musi „być absolutnie ujarzmione oraz potraktowane ogniem i mieczem”. Według najnowszych danych ofiarami działań odwetowych miało paść aż 19 tys. Abisyńczyków.

W 1941 r. włoskie panowanie nad Abisynią zakończyła armia brytyjska, która zajęła ten kraj. Do władzy powrócił wówczas cesarz Hajle Sellasje, rządzący krajem aż do komunistycznego przewrotu w 1974 r.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Tomasz Stańczyk

W historiach o pomocy, której Polacy udzielali Żydom, jest bohaterstwo. Są też jednak szantaże i groźba denuncjacji

Władysław Szpilman (1911–2000). Pianista w Polskim Radiu, kompozytor muzyki filmowej oraz szlagerów, bohater filmu „Pianista” Romana Polańskiego.

Jako niezdolny do pracy trafił na Umschlagplatz, skąd odchodziły z terenu warszawskiego getta transporty do obozu zagłady w Treblince.

„Nagle usłyszałem czyjeś wołanie:

– Popatrz! Popatrz! Szpilman!

Jakaś ręka schwyciła mnie za kołnierz i zostałem wyrzucony poza kordon policji”.

Szpilman pracował później pod nadzorem Niemców w żydowskiej brygadzie budowlanej w Warszawie. Udało mu się nawiązać kontakt ze znajomym aktorem Andrzejem Boguckim. Ustalono, że Bogucki dnia wymknał się z placu budowy, gdy polscy robotnicy szli do domu. W umówionym miejscu czekał na niego Bogucki. Zaprowadził go do atelier kompozytora Piotra Perkowski.

Kolejne schronienia Szpilman znalazł w mieszkaniu inż. Gębczyńskiego, byłego dyrektora muzycznego Polskiego Radia, i w kawalerce udostępnionej przez kolegę z radia, dyrygenta Czesława Lewickiego. Gestapo poszukiwało jednak Lewickiego i mogło trafić do jego kawalerki. Lewicki miał przygotowany następny lokal dla Szpilmana. „Mimo to nie miałem zamiaru ruszać się stąd. Niech się dzieje, co chce. Lewicki ucieknie i gestapo go nie znajdzie. Wołałem w razie czego tu z sobą skończyć, niż ryzykować dalszą tułaczkę – po prostu brakowało mi już sił”.

Po kilku dniach Szpilmana odwiedził Gębczyński w towarzystwie technika radiowego Szałas, który miał dostarczać jedzenie. Szałas rzadko jednak przychodził, a w końcu zniknął. Na szczęście po dwóch tygodniach przyszła pani Malczewska, znajoma Lewickiego, i zaopa-

trzyła Szpilmana w żywność. Lokatorzy domu zauważyli, że nie jest zameldowany i się ukrywa. Bojąc się donosu, musieli uciekać. Jedynymi znajomymi w okolicy byli państwo Bołdokowia. Dali mu klucze do pustego mieszkania.

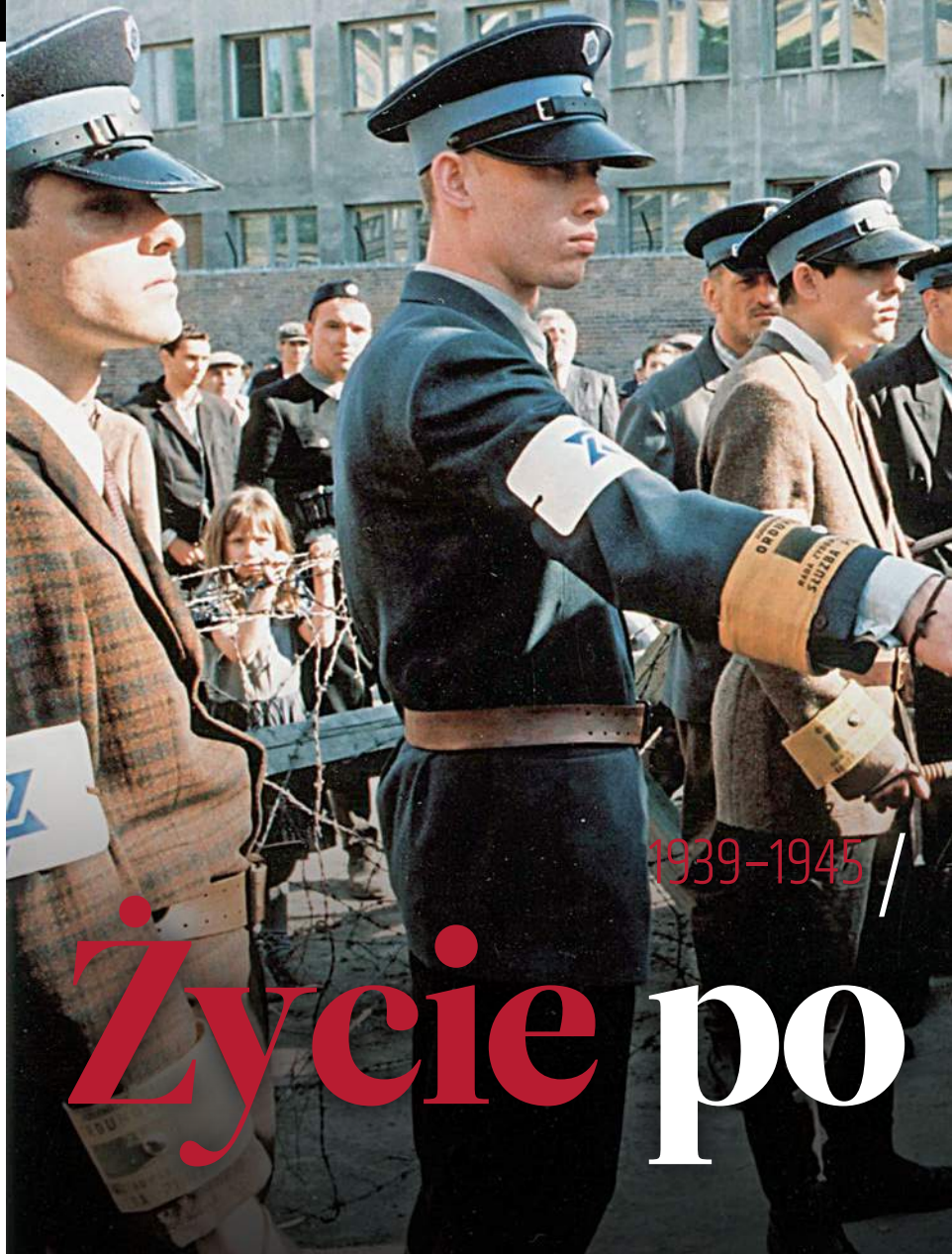
„Następnego dnia przyszedł po mnie mój kolega z radia – Zbigniew Jaworski, który postanowił przechować mnie przez kilka następnych dni u siebie. Znowu byłem więc uratowany. Przebywałem u miłych, życzliwych mi ludzi”.

Zofia Jaworska namawiała Szpilmana, by został, jak długo zechce. Nie chciał ich narażać, ale szukanie nowej kryjówki spełzało na niczym. „Nikt nie chciał ukrywać Żyda, gdyż groziła za to jedna tylko kara – kara śmierci. Znajdowałem się już w stanie skrajnej depresji, gdy los zesłał mi nagle, w ostatniej chwili, ratunek

w osobie pani Heleny Lewickiej – bratowej pani Zofii Jaworskiej”.

Udostępniła mu puste mieszkanie w alei Niepodległości. Ukrywał się tam przez rok. 1 sierpnia 1944 r. Lewicka chciała go stamtąd zabrać. Szpilman postanowił pozostać w mieszkaniu. „Moja opiekunka żegnała się ze mną jak z synem, ze łzami w oczach i zadławionym głosem, zadając ostatnie pytanie: – Władku, czy my się jeszcze kiedyś zobaczymy?”.

W zamkniętym mieszkaniu przeżył przeszukanie domu przez Niemców, którzy następnie podpalili budynek. Nie był w stanie przedrzeć się na teren miasta znajdujący się w rękach powstańców. Jego kryjówkę, po upadku powstania, odkrył niemiecki oficer Wilm Hosenfeld, lecz nie wydał go. Szpilman w nadzwyczaj



1939–1945 /

Życie po



Ocaleni znani Żydzi

getcie

Adrien Brody jako Władysław Szpilman w filmie „Pianista”

FOT. ALAMY/BEGW



Władysław Szpilman

FOT. NAC

ciężkich warunkach przeżył najgorszy czas – do opuszczenia Warszawy przez Niemców.

(Cytaty: Władysław Szpilman „Pianista”)

Izabela Czajka-Stachowicz, przed wojną Gelbard (1893–1969). Bywalczyni warszawskich salonów artystycznych, muza artystów, sportretowana w powieściach Witkacego i Uniłowskiego. Po wojnie pisarka.

Wspominała, że opłacony przez męża, Jerzego Gelbarda, gestapowiec wyprowadził ją z getta warszawskiego i zawiózł do getta w Otwocku, zapewniając, że nie będzie zlikwidowane. Paulina Sołowianiuk, autorka biografii Czajki-Stachowicz („Ta piękna mitomanka”), podaje jednak inne wersje ucieczki z getta. Miał w niej pomóc Stanisław Mazur, który posiadał prze-



Izabela Czajka-Stachowicz FOT. NAC

puszkę do dzielnicy żydowskiej, i to w jego mieszkaniu początkowo ukrywała się Izabela wraz z mężem i innymi Żydami. Według kolejnej wersji wydostała się na wozie przewożących zmarłych Żydów na cmentarz. Mazur miał jej załatwić schronienie w Dobrzyńcu, u kowala.

Inaczej jednak rzecz przedstawiała sama Czajka-Stachowicz, pisząc, że podczas likwidacji getta otwockiego udało się jej uciec z mieszkania, ale teren getta był otoczony zasiekami z drutu kolczastego. Zauważyła po drugiej stronie dziewczynę i zawołała ją. Usłyszała: „Ja jestem Danusia Kowalówna z Dobrzyńca, to jest 14 km stąd. Tata jest kowal, u nas w kuźni jest sekator. [...] Najdalej półtora będę z powrotem, przywiozę narzędzia, poprzecinamy te druty. Ja cię zabiorę”.

Wieczorem dotarły do Dobrzyńca. „Po trzech latach wojny, getta, likwidacji dowiaduję się, że czeka na mnie dom! [...] Wzięli mnie obcą, nieznajomą, posadzili za stołem, nakarmili chlebem i mlekiem – moją śmierć wzięli na swoje głowy... Jest Bóg! Odnalazłam Boga! Odnalazłam Człowieka!”.

We wspomnieniowej książce „Uratował mnie kowal” Czajka-Stachowicz nie wymienia jego nazwiska. Biogram Czajki-Stachowicz w „Polskim słowniku biograficznym” podaje, że był to Grzegorz Mazur ze wsi Repki.

Kowal wyrobił Izabeli fałszywe papiery. Jego matka miała nieślubną córkę, Stefanię Czajkę, ochrzczonej w Mińsku Mazowieckim. Kowal powiedział córce: „Weź, Danusia, rower i już cię nie ma. ■

■ Dwa złote dasz i metrykę z parafii przywieziesz”. Na podstawie metryki została wystawiona kenkarta.

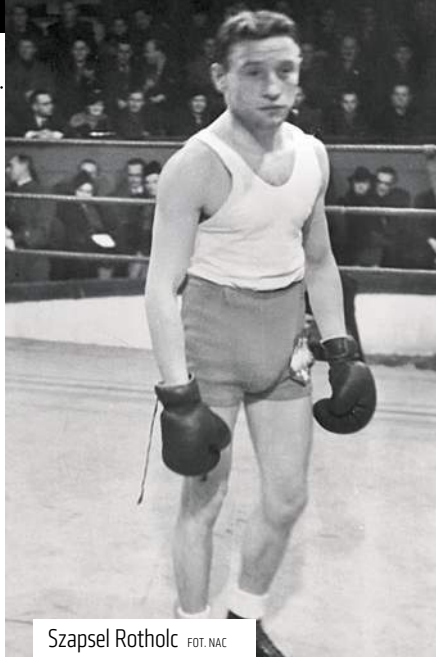
Pewnego dnia właściciel majątku w Dobrzyńcu, Rychłowski, powiedział kowalowi, że wie, iż ukrywa Żydówkę. Kowal usiłował go przekonać, że ma ona dobre papiery, a jest jak „zwierzę szczute”, które nie ma się gdzie ukryć. Rychłowski rozmawiał także z Izabelą. Oświadczył, że nie wyda jej Niemcom, ale musi szukać sobie innego schronienia, bo tu naraża życie innych ludzi.

Czajka-Stachowicz wspominała, że gdy Danusia dowiedziała się o tym, zaczęła krzyczeć: „Nie puszczę jej w świat samej. Bidota moja, znajda nieszczęsna!”. Danusia poszła z Izabelą szukać nowej kryjówki. Napotkały leśnicówkę w Różycach. Leśniczy chciał nawet je przechować – mówili, że ratują się przed wywózką na roboty do Niemiec – ale jego żona, która rozpoznała w Izabeli Żydówkę, kazała im się wynosić. Wróciły do Dobrzyńca. Izabela musiała stamtąd uciekać na wieść o obławie. Niemcy szukali u kowala Żydówki. Wypierał się: „To ten wróg mój, ten morderca Pasturczak – tylko on chce mnie zgubić. On tę denuncjacyję skutecznił. Rodzoną siostrę za Żydówkę poda!”.

Sąsiedzi potwierdzili, że u kowala była jego siostra, ale wyjechała. A granatowi policjanci z Kołbieli przyjęli, że donos był osobistą zemstą Pasturczaka.

Po tym incydencie kowal postanowił wysłać Izabelę z Danusią do Pochockiego, właściciela sklepu w Otwocku, z prośbą o wynajęcie pokoju dla jego chorej na płuca siostry Stefanii Czajki. W nowej kryjówce Danusia powiedziała jej: „Ty jako moja znajda, co to cię wyciągnęłam z samych pazurów śmierci, to mi teraz bliska jak siostra rodzona jesteś, ale po prawdzie ci powiem, że Żydów nie cierpię – oszusty, złodzieje. Dzieci na Wielkanoc łapią i krew ich do mac biorą. Nikt Żydów ścierpieć nie może i ja ich też nienawidzę”.

Wynajmująca pokój w tym samym domu kobieta zaczęła podejrzewać, że Izabela jest Żydówką. Na szczęście Izabela знаła siostrę jej koleżanki, Kazimierę Żuławską, która ukrywała w Warszawie Żydów. Na wszelki wypadek, uprzedziwszy ją, powiedziała kobiecie, by pojechała do Żuławskiej, która rozwieje wątpliwości co do jej żydowskiego pochodzenia. Wróciła „słodka jak miód, usługna, grzeczna”.



Szapsel Rotholc FOT. NAC

Po jakimś czasie podejrzenia powróciły i choć wynajmujący pokój Pochoccy ani słowem nie zdradzili, że chcą pozbyć się lokatorki, ani też nie dawali do zrozumienia, że wynajmują pokój Żydówce, Izabela musiała szukać innego schronienia. Doktorowa M. wynajęła jej pokój, a Danusię przyjęła jako służącą. Któregoś dnia doktorowa wróciła z książką meldunkową, którą przedstawiała w urzędzie do kontroli. Przy nazwisku „Stefania Czajka” był znak zapytania. Czując niebezpieczeństwo, Izabela uciekła.

Paulina Sołowianiuk pisze, że Izabela ukrywała się m.in. w Poniatowie i pracowała jako dojarka. Zadenuncjonowana przez rzeźnika z Karczewa, uciekła z chlewu, w którym gestapowcy zamknęli ją po przesłuchaniu i pobiciu. Później przyłączyła się do oddziału Armii Ludowej.

(Cytaty: Izabela Czajka-Stachowicz „Ocalił mnie kowal”)

Szapsel Rotholc (1913–1996). Bokser, mistrz Polski w 1933 r., zdobywca brązowego medalu w mistrzostwach Europy w 1934 r.

Był policjantem w warszawskim getcie. Przy wejściu do niego spotkał pewnego dnia Tadeusza Mańkowskiego, boksera, z którym zaledwie się znali. Rotholc postanowił uciekać z żoną Marią i synkiem Rysiem. Zdzisław, brat Tadeusza, wspominał: „Po tamtej żydowskiej stronie wszystko załatwił Stasiak. Rysia uspił środkami nasennymi, wsadził do walizki i przeniósł jak zwykły towar”.

Miriam (Maria) Rotholc i jej syn znaleźli pierwsze schronienie u Stanisławy Penczonek, której mieszkanie było punktem przerzutowym żywności do getta, obsługiwanym przez „Żegotę”. Później Maria

zamieszkała z Tadeuszem Mańkowskim. Podawali się za małżeństwo. Następnie Mańkowski zorganizował kryjówkę na poddaszu mieszkania przy ul. Grzybowskiej. „Musieli zgromadzić materiały budowlane: cement, cegły, drewno itp. i wnieść je tak, by nikt nie zauważył” – pisała Barbara Stanisławczyk w książce „Czterdzieści twardych”.

Rysio mieszkał ze Zdzisławem Mańkowskim i jego matką. Pewnego dnia bahnschutz wtargnął do mieszkania. Chociaż Rysio był blondynem o niebieskich oczach, Niemiec kazał go wyciągnąć z łóżka. „Wystarczyło, że uchylił spodenek i miał dowód, kim jest dziecko. Matka struchlała, wyciągnęła biżuterię i wszystkie pieniądze, jakie miała – razem około 30 tys. zł, które Tadeusz zarobił na handlu. Sporo jak na tamte czasy”.

Niemca nashał sąsiad Józef W. Mieli się podzielić łupem. Ostatecznie Niemiec, postraszony przez rzekomych agentów gestapo, znajomych Rotholca, oddał pieniądze i biżuterię.

W kryjówce przy Grzybowskiej ukrywało się kilkunastu Żydów. Zaopatrzeniowcem był Zdzisław Mańkowski.

Jesienią 1943 r. na Grzybowską wpadło kripo. Policjanci wzięli okup – 200 dol. Za tę sumę ukrywający się mogliby przeżyć rok.

Maria Rotholc nawiązała romans z Tadeuszem Mańkowskim. Zamieszkali pod Warszawą. Zostali aresztowani przez niemiecką żandarmerię na skutek donosu i rozstrzelani. Jej syn przebywał także pod Warszawą, jako wnuczek pani Penczonek. Szapsel Rotholc ukrywał się w jej warszawskim domu. Mieszkał tam także Zdzisław Mańkowski. Podczas powstania zostali wywiezieni do obozu pracy w Niemczech. Nie zdemaskowano Rotholca jako Żyda, gdyż miał załatwioną przez „Żegotę” kenkartę na nazwisko Stanisław Domański. Po wojnie Rotholc wrócił do Polski i odebrał syna od pani Penczonek.

Zdzisław Mańkowski mówił, dlaczego pomagał Żydom: „Bo byłem harcerzem, a harcerz chciał zagrać na nosie hitlerowcom. Bo z początku zaimponowała mi konspiracja. Zacząłem przez przypadek, przez brata, a później już nie mogłem się wycofać. O nie, miałem swój honor i dumę”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

(Na podstawie książki Barbary Stanisławczyk „Czterdzieści twardych”)



Sławomir Koper

Tajemnica okrywa śmierć Antinousa. Został złożony w ofierze czy popełnił samobójstwo?

Wśród władców Rzymu nie brakowało homoi biseksualistów. Jednak tylko w przypadku jednego możemy mówić o prawdziwym uczuciu do przedstawiciela tej samej płci. Cesarz Hadrian darzył ogromnym uczuciem swojego młodocianego kochanka, Antinousa, a jego śmierć była dla niego ogromnym ciosem.

Hadrian był kuzynem swojego poprzednika na tronie, Trajana, jednak większe znaczenie dla jego kariery miało małżeństwo z wnuczką siostry cesarza, Sabina. Ślub odbył się ok. 100 r., gdy Trajan już od dwóch lat zasiadał na tronie. Było to małżeństwo z rozsądku, dzięki któremu oboje uzyskali szanse na władzę w Rzymie. Nie pasowali kompletnie do siebie, różnili się charakterami, nigdy też cesarzowa nie zaszła w ciążę.

Hadrian przejawiał silne skłonności biseksualne. Nie był to wyjątek w kręgu wielbicieli kultury helleńskiej. Miłość grecka dotarła do Rzymu razem z greką filozofią i ze sztuką. Jednak cesarz zdecydowanie odróżniał się od innych homoseksualistów na tronie cesarskim. Pederastia była dla niego elementem stylu życia, a nie wyłącznie przeżyciem seksualnym. Sabina podobno także miała partnerkę (czy partnerki), jednak po pięciu latach panowania Hadriana (ok. 122 r.) wybuchł głośny skandal obyczajowy, który dotyczył kontaktów cesarzowej z mężczyznami.

Hadrian przebywał wówczas w Brytanii i stamtąd polecił zdymisjonować dwóch wysokich urzędników: prefekta pretorianów Septycjusza Klarusa i naczelnika sekretariatu korespondencji Swetoniusza Trankwillusa. W obu przypadkach zarzut był ten sam: zbyt poufale kontakty z cesarzową. Pozostaje tylko domniemywać, czy chodziło o romans



Otto Knille „Hadrian i Antinous” FOT. WIKIPEDIA

Starożytność / Grecka miłość rzymskiego cesarza

Kochanek Hadriana

■ czy po prostu o niewinny flirt? A może Hadrian uznał, że żona spiskuje za jego plecami z dostojnikami? Zbyt zażyłe kontakty z prefektem pretorianów mogły mieć niebezpieczne następstwa. Szef pretorianów był jedną z najważniejszych figur politycznych imperium. Niejeden cesarz zawdzięczał mu triumf czy upadek.

Warto natomiast przyjrzeć się bliżej drugiemu ze zdymisjonowanych urzędników. Gajusz Swetoniusz Trankwillus był autorem „Żywotów cesarzy”, jednej z najważniejszych pozycji źródłowych do historii starożytnego Rzymu. I pomyśleć, że człowiek, który tak drobiazgowo opisywał skandale obyczajowe poprzedników Hadriana, sam był zamieszany w niewyjaśnioną do końca sprawę. Ostatecznie skończyło się jednak tylko na dymisji obu urzędników, a cesarzowej nie spadł włos z głowy. Hadrian powiedział jednak, że gdyby był człowiekiem prywatnym, to rozwiódłby się z nią natychmiast, ale jako princeps musi dawać dobry przykład.

Chłopiec z Bitynion

W tym czasie cesarz poznał największą miłość swojego życia. Antinous pochodził z greckiego miasta Bitynion w Azji Mniejszej. Na dwór Hadriana trafił w wieku 12–13 lat. Władca zakochał się w nim bez pamięci. Nie wiadomo, kiedy faworyt został jego kochankiem. Nie wydaje się, by princeps czekał zbyt długo, ludzie antyku nie znali pojęcia „pedofilia” w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, więc Hadrian nie widział w związku z młodzieńkiem chłopcem niczego niestosownego. Chłopak towarzyszył Hadrianowi w jego licznych podróżach po prowincjach imperium, ale większość czasu kochankowie spędzali na zhellonizowanym Wschodzie. W tamtejszych prowincjach pederastia od wieków była bardzo popularna i nikt specjalnie się nie dziwił zachowaniu cesarza.

Antinous towarzyszył swojemu protektorowi w Atenach, w Azji Mniejszej i Jerozolimie. I w orszaku władcy trafił do Egiptu, który Hadrian od dawna planował odwiedzić. Albowiem poza relikami państwa faraonów Egipt miał do zaoferowania jeszcze coś, co zawsze

nęciło Rzymian. Był to grób Aleksandra Macedońskiego.

Hadrian nie chciał być nowym Aleksandrem, ale postać wielkiego Macedończyka zawsze imponowała władcom świata antycznego. Był to przecież człowiek, który podbił ogromne imperium perskie, dotarł do Indii i w ciągu kilkunastu lat zmienił cały otaczający go świat. W źródłach nie zachowały się wprowadzające informacje o cesarskiej wizycie u grobu Macedończyka. Jednak czy osobnik o podobnej ciekawości mógłby zrezygnować z takiej okazji? Tym bardziej że nawet cesarz August dotykał mumii Aleksandra i niechący odłamał jej nos.

Egipska stolica miała do zaoferowania władcy również słynny Musejon (Dom Muz) – kolejne miejsce, którego Hadrian nie mógł pominąć. Przez stulecia Aleksandria uchodziła za centrum kultury greckiej i niebawem w otoczeniu cesarza pojawiło się kilku uczonych z tego miasta.

Miłość i lwy

Hadrian, subtelny intelektualista, uwielbiał krwawe polowania, podczas których mógł popisać się odwagą oraz zręcznością ręki i oka. Oczywiście towarzyszył mu Antinous, co w pełni odpowiadało greckiemu ideałowi związku mężczyzny i chłopca. A łowy pozostawały chyba jedyną możliwością

popisów cesarza przed swoim kochankiem. W granicach imperium panował bowiem względny pokój, zresztą Hadrian i tak nie brałby osobistego udziału w walce. Polowanie nie mogło stać się substytutem bitwy.

Zachowały się przekazy literackie i zabytki ikonograficzne z egipskich polowań Hadriana. Na pomniku wystawionym przez cesarza w Rzymie wyryto

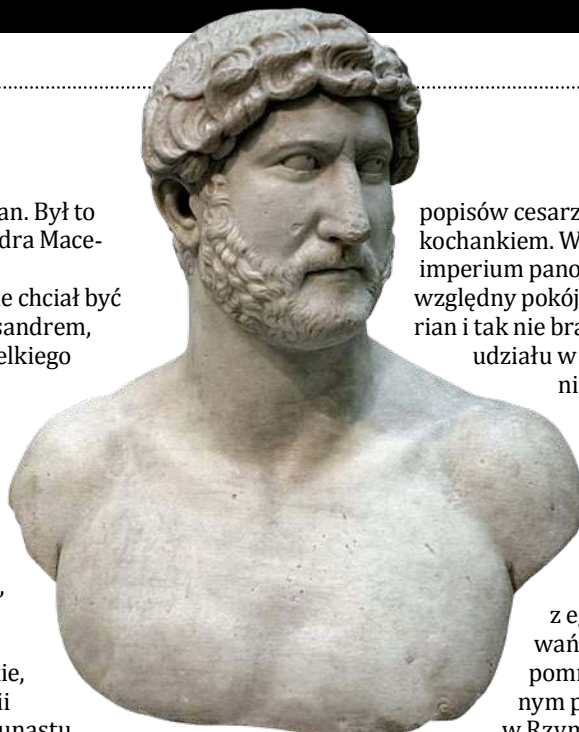
szczegóły życia fundatora.

Na kilku płaskorzeźbach zidentyfikowano Antinosa. Jeden z reliefów przedstawia scenę po polowaniu na lwy. W gronie osób stojących przed powalonym drapieżnikiem można bez trudu rozpoznać cesarza, natomiast młodzieniec po jego prawicy to zapewne Antinous. Obaj, jako jedyni, trzymają stopy na martwym zwierzęciu, co sugeruje, że to właśnie oni je powalili. Dokładne oględziny postaci kochanka władcy sugerują, że miał wówczas ok. 20 lat. Zniknęły gdzieś zmysłowe loki znane z innych portretów. Chłopak miał krótką, wojskową fryzurę i zaczątki zarostu na brodzie. Wiek i wygląd Antinosa mogą stanowić ważny ślad w rozwiązywaniu zagadki jego śmierci.

Odnaleziono fragmenty wiersza autorstwa Pankratesa z Aleksandrii. Był to człowiek mający za sobą zadziwiającą karierę, „prorok” potrafiący rzucać uroki i zsyłać sny (w tym na samego cesarza). Pisał wiersze, dzięki czemu posiadamy opis polowania cesarza i jego młodego kochanka.

Zachowane fragmenty utworu doskonale wpisują się w nurt miłości greckiej.

Polowanie odbyło się na egipskiej Pustyni Zachodniej, a lew miał podobno monstrualne rozmiary. Cesarz i Antinous polowali



Antinous. Powyżej:
Hadrian FOT. WIKIPEDIA

konno, Hadrian jako pierwszy cisnął oszczep, celowo tylko raniąc Lwa (cesarz nie mógł przecież tak zwyczajnie chybić). W ten sposób „chciał wypróbować celność przystojnego Antinousa”, ale faktycznie tylko rozdrażnił Lwa, który zranił wierzchowca młodzieńca. Cesarz czuwał jednak nad sytuacją. Dał partnerowi lekcję męskiej sprawności i powalił zwierzę ciosem w kark. Ocalił w ten sposób kochanka, a dogorywający drapieżnik został stracony przez konia Antinousa.

Podobno lew miał być prawdziwą bestią i terroryzować okoliczną ludność. A cesarz, jak na dobrego władcę przystało, osobiście uwolnił poddanych od problemu...

Cesarska rozpacz

W drugiej połowie października 130 r. płynąca w górę Nilu flotylla cesarska dotarła do miasta Hermopolis. 22 października obchodzono święto Nilu, a dwa dni później wspomniano śmierć utopionego w rzece boga Ozyrysa. Niewykluczone, że właśnie tego dnia utonął w Nilu Antinous.

Nie wiemy, jak do tego doszło. Znamy tylko efekty wydarzenia. Hadrian wpadł w rozpacz, „opłakując na sposób kobiety” kochanka. Cesarz był jednak przesiąknięty tradycją grecką, a w kulturze hellenńskiej publiczne okazywanie uczuć było powszechnie przyjęte. Hadrian posunął się zresztą dalej. Na sposób grecki uczcił pamięć partnera, zakładając w miejscu jego utonięcia miasto Antinoopolis – miasto Antinousa. Niewykluczone, że niejako „przy okazji” wypełniał swoje wcześniejsze zamiary, tworząc nowy ośrodek miejski, położony w połowie drogi między dwoma głównymi centrami hellenizmu na południu kraju. Nazwał go jednak na cześć zmarłego ulubieńca, natomiast w innym przypadku miasto zapewne nosiłoby miano Hadrianopolis.

Śmierć ulubieńca spowodowała ogromną liczbę plotek. Pojawiły się pogłoski o morderstwie. Podobno partner cesarza miał mieć zbyt duże znaczenie i dlatego został usunięty. To jednak wyłącznie plotki, Antinous nigdy nie interesował się polityką, zresztą Hadrian



Galeria pejzaży starożytnego Rzymu – mal. Giovanni Paolo Pannini FOT. WIKIPEDIA

nie był człowiekiem, który pozwoliłby wywierać na siebie wpływ. Odrzucano również pogłoski o nieszczęśliwym wypadku. Młodzieniec miał ok. 20 lat i wiedział, że Nil jest groźną rzeką. Pozostawały trzy wyjaśnienia i to właśnie one wzbudzały sensację.

Dobrze o tym wiedział cesarz, albowiem w swojej autobiografii (niestety zaginionej) oczyszczał się z zarzutów. Podobno tłumaczył, że jego ulubieniec wcale nie został złożony w ofierze! A to jest wystarczający sygnał potwierdzający pogłoski krążące o śmierci Antinousa.

W czasach wyprawy do Egiptu zdrowie Hadriana już szwankowało oraz princeps korzystał z pomocy magów i adeptów sztuki tajemnej. Kraj nad Nilem zawsze słynął ze swoich tajemnic, a cesarz z upodobania do tego rodzaju nauk. Przebywając w Egipcie, otaczał się astrologami, czarownikami i uzdrowicielami, a jednym z nich był wspomniany już wcześniej Pankrates z Aleksandrii. Jego podstawowym zajęciem była magia. Prezentował swoje umiejętności przed Hadrianem. I zapewne nie był jedyny. Z przekazów kronikarzy wynika bowiem, że cesarza w Egipcie otaczali specjaliści od „wrózbi i zaklęć”. Podobno uznali, że życie princepsa jest zagrożone i potrzebna jest ofiara. A zatem ktoś, kto dobrowolnie odda za niego życie. I tym kimś miał być Antinous.

Nie wydaje się jednak możliwe, by Hadrian złożył w ofierze ulubieńca. Cesarz wydawał się zbyt w nim zakochany, by tak po prostu utopić go w Nilu. Nawet jeżeli zgodnie z wierzeniami egipskimi miało to zapewnić chłopakowi nieśmiertelność.

Bardziej prawdopodobna wydaje się osobista inicjatywa Antinousa. Egzaltowany efeb mógł poświęcić się dla utytułowanego kochanka, rzucając się w wody rzeki. Ofiarą okupywał zdrowie Hadriana, zapewniając sobie życie wieczne. Wpisywał się w ten sposób w obraz idealnej miłości łączącej go z cesarzem,

a otoczenie uznało to za dobrowolną ofiarę, a nie samobójstwo.

Pozostaje jeszcze jedno wyjaśnienie jesiennej tragedii nad Nilem. Antinous zbliżał się wówczas do 20. roku życia i wyszedł już z wieku, jaki Grecy akceptowali dla związków chłop-

ców z dorosłymi mężczyznami. Dalsze utrzymywanie kontaktów erotycznych z Hadrianem oznaczałoby hańbę, to nie byłby już przejaw edukacji młodzieńca, ale zwyczajna rozwiązłość. Natomiast cesarz nie widział w tym chyba niczego niewłaściwego. Jeden z kronikarzy zarzucał mu „rozpustę z dorosłymi mężczyznami”, czego kultura hellenńska nie akceptowała. Antinous mógł znaleźć się w sytuacji bez wyjścia, jego kochankiem był przecież cesarz Rzymu, przed którym nie było ucieczki w cywilizowanym świecie. I popełnił samobójstwo.

A może na cały dramat złożyło się kilka przyczyn? Złe wróżby dla Hadriana, zły stan zdrowia cesarza, problemy Antinousa z miłością princepsa i depresja z tego powodu? W tej sytuacji spektakularne oddanie życia za swojego kochanka rozwiązałyby wszystkie problemy. A do tego w rocznicę utonięcia Ozyrysa i to w nurtach świętej rzeki.

Założenie miasta w miejscu utonięcia ulubieńca nie było jedynym spektakularnym gestem Hadriana na cześć faworyta. Antinous został uznany za bóstwo, w całym imperium wznoszono jego posągi (zachowało się ok. stu) i świątynie. Wreszcie jego imieniem nazwano jedną z gwiazd – podobno pojawiła się na niebie po śmierci efeba i powstała z jego duszy...

Posągi i świątynie nie wystarczały, powstawały hymny, wspomnienia wierszem i prozą, zestawiano go z Narcyzem i Hiacyntem. Podobno proponowano nawet zmianę nazwy lotosu na Antinous... I oczywiście porównywano go do bóstw nieśmiertelnych, a w szczególności do Hermesa. W tej sytuacji igrzyska na cześć nowego boga w Antinoopolis nie robią już większego wrażenia.

Ofiara bityńskiego efeba okazała się jednak daremna. Hadrian coraz bardziej zapadał na zdrowiu, zmarł w italskich Bajach w lipcu 138 r. Przeżył swojego kochanka o niespełna osiem lat.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

PRL / Komunistyczne represje

Andersowcy w kleszczach bezpieki



Marek Gałęzowski

**Zamiast kwiatami
zwykle witano ich
w PRL kajdanami.
Komuna zamieniała
życie żołnierzy
gen. Andersa
w koszmar**

Podpułkownik Karol Piłat mógł się poszczycić pewnym oryginalnym osiągnięciem, rzadkim nie tylko w 2. Korpusie gen. Władysława Andersa, lecz także w całych Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Z pozoru tylko nie było ono efektem zamierzenia, wszak żołnierz zwykle nie ma wpływu na to, gdzie go rzuci los. Piłat był jednak żołnierzem z wyboru. Jako 16-latek wstąpił do Legionów Polskich i w żelaznej II Brygadzie wziął udział w ostatnich walkach z Rosjanami na Wołyniu. Dziełąc następnie jej losy, walczył z dwoma kolejnymi zaborcami Polski – Austrią i Niemcami. Był obecny w słynnym zbrojnym przejściu przez Rarańczę i w bitwie pod Kaniowem. Później uczestniczył w wojnie o granice

Polski odrodzonej – z Ukraińcami i bolszewikami. A we wrześniu 1939 r. bronił południowej granicy Rzeczypospolitej najpierw przed Słowakami, a następnie przed niemiecką piechotą górską. Nie złożył broni po klęsce, stał pod Tobrukiem, tą „barykadą Egiptu”, przeciw Włochom i Niemcom. Zakończył ten chlubny szlak we Włoszech, bijąc się we wszystkich bitwach 2. Korpusu – znów z Niemcami.

Wracać?

Wyruszając na wojnę, Piłat zostawił w okupowanym kraju żonę i dwoje małych dzieci. Kiedy po zakończeniu wojny PSZ stanęły przed koniecznością demobilizacji, tak jak dziesiątki tysięcy innych, musiał rozstrzygnąć, czy wracać do opanowanego przez komunistów kraju, w którym mógł spodziewać się represji, czy pozostać na Zachodzie.

W tym czasie trwała już akcja propagandowa władz komunistycznych, wzywająca do powrotu wszystkich Polaków, którzy w wyniku wojny znaleźli się poza krajem. O ile początkowo dominowały w niej nuty odwołujące się do emo-

cji wychodźców, o tyle – jak zauważył znawca tej problematyki Janusz Wróbel – z czasem zaczęły w niej pobrzmiewać pogróżki, co skłaniało do ostrożności wobec „zapewnień o równym traktowaniu i szansach na spokojne życie. [...] Premier [Edward Osóbka-Morawski] raz jeszcze ostrzegł wszystkich, którzy do kraju nie wrócą na wezwanie władz, że »zamkną sobie drogę do ojczyzny i skażą się na beznadziejną tułaczkę i najniebezpieczniejszą roślinę na obczyźnie«. Z kolei w wigilijnym przemówieniu radiowym prezydenta [KRN] Bolesława Bieruta w 1945 r. skierowanym do Polaków za granicą padły niezwykle ostre słowa pod adresem części emigracji polskiej, włącznie z oskarżeniami o zdradę» (Janusz Wróbel, „Na rozdrożu historii. Repatriacja obywateli polskich z Zachodu w latach 1945–1949”, Łódź 2009).



FOT. KREJSTOF WARCZYKOWSKI

Słowa Bieruta wyrażały prawdziwy stosunek komunistów do znacznej części obywateli polskich, którzy znajdowali się poza krajem. „Propaganda, która do Polaków na Zachodzie docierała z kraju, odwoływała się do uczuć patriotycznych, ale w warstwie informacyjnej nasyciona była wieloma kłamstwami. Wysłannicy Polski Ludowej nie mówili prawdy na spotkaniach z rodakami na Zachodzie, gdy z udawanym oburzeniem zaprzeczali, jakoby sowieckie i polskie służby stosowały represje wobec przeciwników politycznych. Podobnie było, gdy w różowych barwach opisywali warunki czekające w kraju na repatriantów [...]. Przemilczali [...], iż każdy powracający z Zachodu znajduje się w polu zainteresowania tajnych służb komunistycznego państwa [...]. Przesłuchiwanie i aresztowanie powracających na punktach granicznych stały się tajemnicą poliszynela, ale władze [komunistyczne] stanowczo im zaprzeczały” (Janusz Wróbel).

Większość oficerów 2. Korpusu – na czele z gen. Władysławem Andersem i gen. Zygmuntem Szyszko-Bohuszem (pierwszym i drugim jego dowódcą) oraz bohaterami walk z Niemcami na froncie włoskim: generałami Bronisławem Rakowskim, Nikodemem Sulikiem, Bronisławem Duchem – opowiadała się przeciw kapitulacyjnej działalności uosabianej przez Stanisława Mikołajczyka, wgardliwie nazywanego kawalerem jałtańskim, a za kontynuowaniem walki o niepodległość Polski na uchodźstwie. Dlatego Anders o ewentualności powrotu mówił wprost: „Mocno i szczerze: ja nie radzę”. Słowa największego autorytetu dla żołnierzy 2. Korpusu były zarówno ostrzeżeniem przed komunistycznymi represjami, jak i rezultatem przekonania, że wojsko polskie będzie wkrótce potrzebne, gdyż wojna między państwami stanowiącymi trzon koalicji antyhitlerowskiej jest nieunikniona.

Opinia ta przeważała w środowisku polskiego uchodźstwa wojennego we Włoszech. Jak zauważył Norman Davies w „Szlaku nadziei”, dość powszechnie przewidywano, „że represje polityczne nasila się, gdy tylko Stalin wzmocni swoją władzę w Europie Wschodniej. Wiedzano już, co musiał przynести brytyjski minister spraw zagranicznych Ernest Bevin, iż „aneksja wschodniej Polski przez ZSRS oznaczała, że domy

większości andersowców znalazły się na terytorium kraju, z którego próbowali uciec przez ostatnie 5–6 lat”.

„Wyrzucony w trybie natychmiastowym”

Ci żołnierze gen. Andersa, którzy przeszli piekło „niehumanitarnej ziemi”, raczej podążali za głosem swojego dowódcy. Częściej skłonni byli natomiast wracać żołnierze, którzy wstąpili do 2. Korpusu we Włoszech – w czasie wojny lub po jej zakończeniu. Byli to Polacy pochodzący z ziem zachodnich Polski, przymusowo wcieleni do Wehrmachtu, w mniej-

wracać. Trudna to była decyzja. Nie bez lęku wysiadaliśmy na ląd. Port był obstawiony wojskiem. Nie dopuszczono do nas rodzin, które przyjechały nas powitać. Repatriantów ładowano do samochodów ciężarowych i wieziono do budynków za drutami. Dopiero po dwóch dniach, po pobraniu odcisków wszystkich palców, po sfotografowaniu, dopuszczono rodziny. Poczułam, że znów jestem w więzieniu. Chciałabym uciec, ale już nie było sposobu. Musiałam na nowo uczyć się żyć w ciągłym zagrożeniu”. Doczekała się jednak satysfakcji z dokonanego wyboru: „Dziś cieszę się, że dożyłam momentu, kiedy Polska odzyskała niepodległość i że mogłam napisać, co przeżyłam” (dalsze cytaty, o ile nie zaznaczono inaczej, pochodzą z: www.armiaandersa.pl).



Generał Władysław Anders (pierwszy z prawej na wieży czołgu Sherman) z oficerami 2. Korpusu FOT. NAC

szym stopniu jeńcy z września 1939 r., powstańcy warszawscy albo inne ofiary prześladowań niemieckich, oswobodzone z obozów na terenie III Rzeszy. „W sumie na powrót zdecydowało się zaledwie 14 tys. ochotników [...]. Wysłano ich do obozów przejściowych w Cervinara i Polisi koło Neapolu, skąd statkiem płynęli do Gdańska lub jechali koleją do Zembrzydowic” (Norman Davies).

Inni jednak też mieli rozterki. Dobrze oddają je słowa Haliny Wyrzykowskiej, która, tak jak wiele kobiet, przed służbą w armii gen. Andersa przeszła koszmar sowieckich łagrów: „Postanowiłam

Z reguły powracający żołnierze 2. Korpusu – wbrew zapewnieniom władz komunistycznych, jak w oświadczeniu premiera Józefa Cyrankiewicza, że czeka się na nich z „sercem otwartym i z gotowością udzielenia wszelkiej pomocy, na jaką stać nasz zniszczony kraj” (cyt. za: Janusz Wróbel) – doznawali represji i szykan. Pierwsze lata w kraju Fryderyka Stefańskiego z oddziału rozpoznania 10. Batalionu 5. Kresowej Dywizji Piechoty gen. Nikodema Sulika wspominała jego córka Iwona: „Na szczęście, poza ciągłymi wezwaniami do składania zeznań o powrocie ojca do Polski, potem zaś

wyrzuceniem w trybie natychmiastowym z Wojskowych Zakładów Szpotańskiego w Warszawie, w momencie kiedy doszukanano się faktu jego służby wojskowej za granicą, i niemożnością znalezienia innego zatrudnienia – nie dotknęły ojca bardziej dotkliwe represje. Po pewnym czasie otrzymał w końcu pracę w Wodociągach Miejskich w Warszawie. Ojciec pracował przy budowie różnych obiektów wodociągowych, wśród których najciekawszym była tzw. Gruba Kaśka – ujęcie wodne spod dna rzeki, gdzie zastosowano wiercenia poziome pod dnem Wisły”.

„Niech ci Anders pomoże”

Typowy dla wracających po latach tułaczki zdobywców Monte Cassino był los lekarza i oficera 2. Korpusu, uczestnika kampanii włoskiej, Bolesława Aleksandra Kucharskiego. W relacji spisanej przez zięcia, zmarłego niedawno historyka filozofii, profesora UJ Miłowita Kunińskiego, czytamy: „13 września 1947 r. nasz ojciec wraca do kraju z żoną i dwójką dzieci. Po zejściu ze statku na ląd zostaje aresztowany na 3 miesiące i poddany śledztwu, żona na około 3 tygodnie, a dzieci (trzyletni syn i trzymiesięczna córka) zatrzymane w sierocińcu na niespełna 2 tygodnie i wydane rodzinie żony.

Od chwili mobilizacji do czasu powrotu do ojczyzny minęło nieco ponad 8 lat. Do czasu przejścia na emeryturę pracował w różnych placówkach służby zdrowia. Najpierw na mocy nakazu pracy w Chrzanowie i Ozorkowie. A potem w Brzeszczach i od 1957 r. w Krakowie, po uzyskaniu zezwolenia na ponowne osiedlenie się w tym mieście, które przez pewien czas było zamknięte dla żołnierzy Armii gen. Andersa i generalnie dla osób, które w oczach władz komunistycznych były podejrzane i politycznie niepewne, a jeszcze nie znalazły się w więzieniu. Nakaz pracy poza Krakowem miał mu utrudnić kontakt z rodziną (matką i siostrami) i uniemożliwić pracę w placówkach służby zdrowia w mieście wojewódzkim, gdzie perspektywy pracy były znacznie szersze”. Dopiero w 1963 r. Bolesław A. Kucharski mógł obronić pracę doktorską na Akademii Medycznej w Krakowie.

Andersowcy spotykali się też często z szyderstwami ze strony komunistycz-

Cmentarz żołnierzy
2. Korpusu pod Monte Cassino FOT. WIKIPEDIA

nych aktywistów. „Ignacy Barwański przeżył piekło bitwy. [...] Słyszał 18 maja 1944 hejnał mariacki odegrany na ruinach klasztoru przez plutonowego Emila Czecha. Widział powiewającą biało-czerwoną flagę. Brał udział w zdobyciu Bolonii. Do Polski powrócił w grudniu 1945 r. [...] Opowiadał [...], że pracownicy Urzędu Gminy w Męce zakazali mu noszenia munduru 2. Korpusu i odznaczeń. Zaproponowali wstąpienie do MO lub ORMO. Odmówił. Często słyszał: »Niech ci Anders pomoże«. Nie pomógł, ale Ignacy Barwański przeżył życie z godnością” – pisała wnuczka tego artylerzysty 2. Korpusu i weterana września 1939 r. Zdzisława Świniarska.

„Lepiej nie przypominać”

Niełatwe były też w Polsce Ludowej losy kpt. Czesława Słuczanańskiego. Jak pisała jego córka, Magdalena Nowek:

„Żołnierze 2. Korpusu bali się wyjazdu do kraju ze względu na aresztowania i prześladowania. [...] Pod wpływem tych wieści i pamięci o trudnych przeżyciach na Syberii tato podjął naukę na Uniwersytecie Medycznym w Rzymie. Tak bowiem mówił o zesłaniu: »Dni na Syberii były makabryczne. Nie chcę mówić szczegółowo, jak zachowywali się tam bolszewicy. To była straszna ziemia! Człowiek żył tam tylko po to, aby się nad nim znęcano, a metody były takie, że nie sposób o nich opowiadać”.

Po dwóch latach studiów, nie mogąc dowiedzieć się niczego o żonie ani synu, którzy przebywali w Polsce, zdecydował się „osobiście sprawdzić sytuację w kraju. Przypłynął statkiem do Gdyni w maju 1947 r. [...] Znalazł ich w Brzeźnicy, pytając dzieci, gdzie zamieszkują Kawecy. Jakiś chłopiec z kurczakiem w rękach odpowiedział: »A ja wiem, a nie powiem« i natychmiast uciekł. Tato nie miał pojęcia, że właśnie rozmawiał z własnym synem Wojtkiem, którego zobaczył po raz pierwszy w życiu. Z Brzeźnicy koło Wałcza moi

nas pod »opiekę« ZSRR [...]. Przyszedł taki moment, że zaczęliśmy uparcie namawiać teścia, aby napisał o trudnych przeżyciach wojennych. Niestety tato nie miał ochoty!

Mówił do mnie: »Grażynko, nikt tego nie wyda. O Monte Cassino, o generale Władysławie Andersie

i o 2. Korpusie lepiej nie przypominać« – relacjonowała Grażyna Słuczanowska.

Podobnie układały się losy innych żołnierzy i oficerów – bohaterów kampanii włoskiej. Dowódca 17. Batalionu 5. Kresowej Dywizji Piechoty ppłk Mieczysław Baczkowski pracował jako kasjer gminny i pracownik biurowy szpitala w Staszowie – na taką tylko pracę władze komunistyczne pozwoliły bohaterowi spod Monte Cassino.

Podpułkownik Andrzej Hytroś, weteran bojów II Brygady, wojny z bolszewikami i kampanii wrześniowej 1939 r., nie pogodził się z klęską i przedostał do Francji, gdzie bił się w 1. Dywizji Grenadierów gen. Bronisława Ducha. Po służbie w 2. Korpusie i zakończeniu wojny osiadł w Jarosławiu. Dłuższy czas miał problem ze znalezieniem pracy. Lokalna wojskowa komisja weryfikacyjna, stwierdzając, że uczestniczył w wojnie z bolszewikami, za co otrzymał wiele odznaczeń, uznała go za „zaufanego i oddanego człowieka sanacji”, co w komunistycznej nowomowie oznaczało w istocie uczestnika działalności niepodległościowej. Był nim rzeczywiście, o czym świadczyły: Virtuti Militari, Krzyż Niepodległości, trzy Krzyże Walecznych.

Pod okiem bezpieki

Zdarzało się, że żołnierze 2. Korpusu padali ofiarą poważniejszych represji. Podoficerowi żandarmerii Janowi Gozdalikowi zarzucano rozgłaszanie informacji, uzyskanych z audycji zachodnich rozgłośni radiowych. Mimo braku dowodów sprawę skierowano do sądu, a w jej aktach znalazła się znamienna

dla komunistów opinia, że – cytując za Januszem Wróblem – „elementy takie, jak byli oficerowie i żołnierze Armii Andersa, nie przeszły na pozycje socjalizmu i w każdej chwili będą starały się nam szkodzić, przez rozsiewanie wrogiej propagandy i stwarzanie psychozy wojennej, chcąc tym samym zniechęcić społeczeństwo do pracy i hamować wykonanie planu 6-letniego”. W praktyce dopiero zmiany z 1956 r. spowodowały, że większość żołnierzy 2. Korpusu przestano utrudniać lub uniemożliwiać zatrudnienie i rozwój zawodowy. Różne szykany wobec żołnierzy 2. Korpusu, do czego należy zaliczyć trwające przez dłuższy okres PRL przemilczanie ich pełnych chwały czynów, były zwykłe regułą postępowania komunistów.

A ppłk Karol Piłat, od którego biografii zaczęliśmy naszą opowieść? Jego dalszą historię opisał znakomity znawca dziejów PSZ na Zachodzie Jerzy Kirszak. We wrześniu 1947 r. wrócił do kraju, gdzie oczekiwali go niewidziana od ośmiu lat żona i dzieci. Dopiero po kilku miesiącach dostał pracę w przedsiębiorstwie wodno-melioracyjnym, w którym zajął stanowisko kierownika Grupy Drobnych Robót Łąkarskich na powiat Ostrów Mazowiecka. Był oczywiście na cenzurowanym w PRL, czego świadectwem jest opinia wojskowej komisji weryfikacyjnej z 5 października 1949 r.: „Stary i zaufany legionista. Brał udział w walkach do 1920 r. przeciwko Związkowi Radzieckiemu [...] W 1941 r. przedostał się do PSZ, gdzie pełnił cały szereg poważnych stanowisk [...] Notowany jest jako podejrzany o współpracę z obcym wywiadem”. W sierpniu 1953 r. Informacja Wojskowa przekazała jego teczkę do UB w Ostrowi. Było to jednak już po śmierci Stalina i ostatecznie na pułkownika nie spadły żadne represje. Dziesięć lat później przeszedł na emeryturę. Ledwie wystarczała ona na życie, toteż bohater spod Rarańcy, Tobruku i Monte Cassino dorabiał, sprzedając jabłka z małego sadu przy swoim domu w Ostrowi Mazowieckiej. Wyszedłszy szczęśliwie z tyłu opresji, jesienią 1975 r. spadł z jabłoni i wskutek doznanych obrażeń zmarł kilka dni później.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, profesorem Uczelni Łąkarskiego.

rodzice przenieśli się do Siewierza, gdzie tato podjął pracę nauczyciela geografii w Liceum Ogólnokształcącym. [...] Życie taty nie było jednak całkowicie wolne od trosk, gdyż musiał kilkakrotnie jeździć do Krakowa na przesłuchania. Pytano, dlaczego tak późno wrócił do domu. Jednocześnie ukończył kierunek geografii w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. Często prosiliśmy tatę, by napisał wspomnienia, lecz nie chciał tego uczynić. Twierdził, że nie będą wydane, a rodzina mogłaby mieć z tego powodu problemy”.

W 1957 r. kpt. Słuczanowski otrzymał pracę nauczyciela geografii w Szczecinie. Jego synowa zapamiętała opowieści teścia, także te mniej związane z grozą wojny, choćby historię niedźwiadka Wojtka. „Tato bardzo ubolewał, że nie postawiono misiowi pomnika. Sądził, iż byłoby to dobre dla najmłodszego pokolenia. »Widocznie w Polsce nadal nie lubią tych spod Monte Cassino« – mówił z goryczą. Do końca życia nie mógł pogodzić się z tym, że nie zaproszono Polaków na uroczystą defiladę w Londynie i oddano

Adolf Hitler pokazuje Hermannowi Göringowi
obraz Hansa Makarta FOT. LIBRARY OF CONGRESS

Z tajnych archiwów / Finansowe malwersacje III Rzeszy

Protokoły pazernego Göring



Marian Zacharski

/ Marszałek Rzeszy do samego końca wierzył, że uda mu się ocalić swój majątek zбитy na rabunku Europy. Siedząc za kratkami, był przekonany, że alianci pójdą z nim na układ i pozwolą mu uciec do Ameryki Południowej

Kwiecień/maj 1945 r., Niemcy. Aresztowania oraz pierwsze przesłuchania przywódców, dostojników i generałów III Rzeszy. Głównym przesłuchującym był mjr Paul Kubala z VII armii amerykańskiej. Stosował rozmaite techniki wydobywania informacji. Jedną z nich zezwalała niemieckim dygnitarzom na wymianę poglądów w jego obecności. Tak było

np. w przypadku marszałka Rzeszy Hermanna Göring i szefa Kancelarii III Rzeszy ministra Hansa Heinricha Lammersa. W jednej z toczonych dyskusji między tymi dwoma więźniami marszałek Rzeszy stanowczo bronił swego poglądu, że wyznaczenie przez Hitlera adm. Karla Dönitza na jego następcę nie miało mocy prawnej. Cała ta ich wymiana zdań była swoistym chichotem historii. Obydwaj byli więźniami oczekującymi na procesy,

którzy – jakby nie zdając sobie z tego do końca sprawy – nadal toczyli boje o stanowiska w nieistniejącym rządzie i państwie nazistowskim.

19 maja 1945 r., centrum przesłuchań VII armii.

Göring do Lammersa: – Muszę ci coś powiedzieć. Jesteś szefem Kancelarii, podpisujesz wszystkie dokumenty. O zmianie sytuacji dowiedziałeś się przez przypadek, a nie drogą służbową. Dowiedziałeś się o tym dopiero po radiowej przemowie Dönitza. [Stąd można wnioskować, że] każdy może pojawić się jutro i oświadczyć: „Otrzymałem wiadomość drogą radiową. Jestem od tego momentu przywódcą państwa”. Ja mam dowód na piśmie [o nominacji na następcę] i kiedy obecnie [na tej funkcji] pojawia się Dönitz, to musi mieć jakieś rozkazy na piśmie.

Lammers: – Tak, to oczywiste; będzie musiał zaprezentować dowody w postaci dokumentów.

Göring: – Jeżeli ma jakiekolwiek, to musi o tym powiadomić naród niemiecki poprzez Reichsanzaiger [oficjalny rejestr aktów prawnych]. Mamy do czynienia z przywódcą państwa, który w rzeczywistości nim nie jest. Z drugiej strony ja jestem jedynym, który jako prawnie umocowany szef państwa mógłby w chwili obecnej zostać uznanym przez rząd amerykański i który mógłby negocjować. To jest największe potajemnie narzucone szachrajstwo. Prawny dokument z 13 IX 1934 r., którego oryginał mamy przed sobą, jest podstawą tej sprawy. Według tego dekretu Hitler może mianować tylko jednego następcę. Istnieje również dekret (z okresu) po ucieczce Hessa (dekret Hitlera z 29 VI 1941 r.).

Cytat: „W przypadku niemożliwości wypełniania przeze mnie obowiązków, nawet tylko okresowo, i braku możliwości wydania specjalnych dyrektyw w czasie mojej niedyspozycji wyznaczam marszałka Rzeszy wielkich Niemiec, Hermanna Göringa, na mojego sukcesora we wszystkich sprawowanych przeze mnie urzędach. Podpis: HITLER. Ten dekret anuluje dekret z 23 IV 1938 r. dotyczący sukcesora Hitlera. Koniec cytatu”.

Dalej panowie dyskutują na temat zamachu stanu, który Göring chciał przeprowadzić w dniach 22–23 kwietnia 1945 r. „Chciałem go, aby uniknąć dalszego rozlewu krwi”.

Lammers: – Rozkaz dotyczący sukcesora Hitlera otrzymałem od zastępcy szefa sztabu Wehrmachtu w następujący sposób. Generał Winter napisał: w załączniku przesyłam panu zawartość rozkazu, który otrzymał Wielki Admirał Dönitz – w miejsce marszałka Rzeszy Göringa Führer wyznacza pana, panie Wielki Admirale, na swojego sukcesora. Oficjalne dokumenty nadejdą. Od tej chwili podejmie pan wszelkie niezbędne środki, które są konieczne w obecnej sytuacji. Podpis: Reichsleiter Bormann.

Lammers uważał, że można było z tego wyciągnąć wniosek, iż Hitler już nie żył.

Göring: – Czy istnieje coś bardziej fantastycznego od tego oszustwa popełnionego przez Bormanna?

Do tej dyskusji dwóch więźniów włączył się też oficer przesłuchujący, pytając Göringa, czy zrezygnował ze swoich obowiązków z powodu złego stanu zdrowia czy z powodu innych nakazów. Göring



Medal z 1933 r. z podobizną Göringa. FOT. ARCHIWUM

odpowiedział, że Hitler zagroził mu rozstrzelaniem lub usunięciem od sprawowania wszystkich funkcji, z wyjątkiem wyznaczenia go sukcesorem. Göring dodał, że zawsze wiedział, iż w przypadku zniknięcia Hitlera jego życie w ciągu następnych 48 godzin znajdzie się w stanie zagrożenia. „Po tym czasie złożyłbym przysięgę i byłby to fakt prawny. W każdym bądź razie w ciągu 48 godzin aresztowałbym Bormanna. On o tym wiedział”. Dodatkowo Göring chciał wyrzucić ze stanowiska Ribbentropa. „To były moje dwa ciernie”. Po chwili zastanowienia w Göringu nagle obudził się duch demokracji i szybko dodał:

– Półtora roku temu powiedziałem bliskim mi gauleiterom, że jeżeli los wyznaczy mnie na następcę Hitlera, to sprawię, że Sąd Najwyższy będzie nade mną. Powiedziałem sobie też, że nikt nie może brać odpowiedzialności bez posiadania kogoś nad sobą... Dyktatura nigdy nie może się powtórzyć, bo ona nie działa. Widzimy to teraz. Dokąd człowiek jest dobry, jak Hitler był na początku, to wszystko układa się cudownie, ale po czasie pojawiły się skrajności.

Oświadczenia „wielkiego demokracji” marszałka Rzeszy Hermanna Göringa pewnie zaskoczyły amerykańskiego śledczego, który kontynuując przesłuchanie, zmienił temat, pytając Göringa, czy ten wierzy w śmierć Hitlera. Göring nie miał co do tego wątpliwości.

Göring: – Hitler zasnął wieczorem 22 IV z powodu sytuacji na frontach. Wszystko zaczęło się od mojego telegramu, w którym poprosiłem o swobodę działania w sprawach zagranicznych. Ponieważ przez tygodnie, czy nawet miesiące, mówiłem o negocjacjach z aliantami, to oni dokładnie wiedzieli, że

natychmiast, jeszcze tego samego dnia podejmę próby dialogu. Kilku generałów chciało się poddać.

W kolejnych zeznaniach Göringa pojawiły się pytania o jego źródła dochodów i pochodzenie gigantycznego zbioru dzieł sztuki. W świetle jednego z wczesnych założeń partii nazistowskiej, że nikt nie zarabia więcej niż 1000 RM miesięcznie, status ekonomiczny Göringa był groteską. Pytany o dochody, stwierdzał, że otrzymywał bardzo przyswoitą pensję jako premier Prus. Sam nie potrafił jednak ocenić swojego majątku. Jego oficjalne dochody usankcjonowane prawem wyglądały następująco:

<i>Pensja ministra lotnictwa</i>	<i>ok. 3500 RM miesięcznie</i>
<i>Pensja członka Reichstagu</i>	<i>1700 RM miesięcznie</i>
<i>Specjalny fundusz z Kancelarii Rzeszy</i>	<i>20 000 RM miesięcznie</i>
<i>Pensja premiera Prus</i>	<i>25 000 RM miesięcznie</i>

Zsumowane dochody w żadnym wypadku nie pozwalały mu na jednoczesne prowadzenie rozrzutnego stylu życia i gromadzenie wartych miliony marek skarbow kultury światowej.

Po aresztowaniu Amerykanie znaleźli w „zbiorach” marszałka Rzeszy dane o wpływach poważnych sum na jego konto bankowe w latach 1937–1942. W jednym z zestawów depozytów (głównie z Hamburga) całkowita suma zamykała się kwotą 5 901 000 RM. W innym wpływy wynosiły 1 450 000 RM. Jak zeznawał przed Amerykanami ówczesny minister przemysłu, a potem prezydent banku Rzeszy, dr Walther Funk, czełki z Hamburga pochodziły z firmy papierosowej Reemtsma, z której właścicielami Göring miał doskonałe relacje. Sprawa sądowa z tą firmą dotycząca 12 000 000 RM zaległych podatków została zarzucona, najprawdopodobniej dzięki wstawiennictwu Göringa. Jak dodał w składanych zeznaniach dr Funk, prezydent organu podatkowego w Hamburgu najprawdopodobniej zna tę sprawę i warto go o to zapytać. W latach 1940–1941 Göring otrzymywał czełki również z innych znanych firm niemieckich, takich jak Rheinmetall, Junkers Werke, Reichswerke Hermann G. czy Borsig. Ogólna suma znanych śledczym

■ przelewów osiągnęła 1 850 000 RM. Pieniądze te Göring otrzymał za uczestnictwo w pracach organów kontrolujących działalność tych przedsiębiorstw. Było to zgodne, jak twierdził, z wytycznymi planu czteroletniego. Göring przyznał śledczym,

że „prosił” wszystkie te firmy o okazjonalne transfery na konto osobiste, ponieważ zgodni z regulacjami partyjnymi pracownicy urzędów publicznych nie mieli prawa przyjmować wynagrodzeń za pracę w charakterze członków rad nadzorczych.

Lammers, jak przystało na porządnego urzędnika, stronił od pobocznych zasileń finansowych. Jednego tematu nie mógł jednak uniknąć. Otóż stał się słupem Hitlera, który ukrywał finanse wodza. To na nazwisko Lammersa zostało otwarte konto w Reichsbanku, na którym gromadzono datki słane dla Hitlera z różnych krajów. W sumie w ostatnich dniach wojny na koncie tym znajdowało się ok. 76 000 dol. w rozmaitych walutach i złotych monetach. Całość stosownej dokumentacji historii tego konta Lammers przekazał amerykańskiemu śledczym z VII armii. Lammers odpowiadał też za prowadzenie ksiąg rozmaitych funduszy Kancelarii Rzeszy.

Najciekawszy był fundusz na tzw. cele ogólne. Hitler używał zasobów tego funduszu w celu nagradzania finansowo swoich współpracowników wysokiej rangi. Zarówno cywili, jak i wojskowych. Wobec śledczych Lammers bronił tego zwyczaju, stwierdzając, że zarówno Fryderyk Wielki, jak i Napoleon przyznawali nagrody pieniężne swoim ważnym urzędnikom i wysokiej rangi wojskowym. Wśród nagrodzonych z tego funduszu Lammers wymienił m.in. marszałka polnego Rundstedta (250 000 RM), gen. płk. Heinza Guderiana (ok. 1 000 000 DM na zakup majątku na Pomorzu), marszałka polnego Wilhelma von Leeba (500 000 RM na zakup lasu w Bawarii).

Chociaż o Göringu krążyły plotki, że jest na wpół szalony, to odczucia amerykańskiego śledczego były odmiennie. Według niego Göring robił wrażenie człowieka wysoce inteligentnego i sprytnego, o czarujących manierach, dysponującego pewnym zakresem wiedzy w zakresie



Ława oskarżonych na procesie norymberskim. Göring pierwszy z lewej, w pierwszym rzędzie

FOT. ARCHIWUM

sztuki. Sprawa, za którą obstawał Göring, była straconą, ale przebiegły Hermann, nawet w tej sytuacji, myślał tylko o tym, co zrobić, aby uratować chociaż część prywatnej fortuny i wytworzyć przychylną wobec siebie atmosferę. Bez jakichkolwiek oporów oskarżał swojego dotąd umiłowanego Führera. Nie wstawił się za żadnym, żywym lub zmarłym, ze swoich podwładnych. W trakcie uduchowionych i często pełnych dowcipu konwersacji pozostawał nieustannie czujny, aby wykorzystać każdą nadarzającą się okazję do zaprezentowania siebie w korzystnym świetle. Lubił mówić i kiedy zaczął rozwijać swój ulubiony temat, trudno było go zatrzymać. W swoich zeznaniach twierdził, że nie miał zamiaru ukrywać niczego, co dotyczyło dzieł sztuki pozyskanych w obcych krajach. Swój gigantyczny zbiór wart grube miliony tłumaczył miłością do sztuki i chęcią transformacji swojej posiadłości Carinhall w muzeum narodowe.

Zeznając, stwierdzał: „W końcu jestem typem człowieka renesansu”. Dalej głosem niewiniątka tłumaczył, że niskie ceny biżuterii i dzieł sztuki w krajach okupowanych były jedynie naturalną chęcią do ich hurtowych zakupów. Dodał przy tym, że szczególnie był zaskoczony niską ceną brylantów w Paryżu w 1940 r. Od 1942 r. ceny dzieł sztuki gwałtownie wzrosły i od tego momentu musiał korzystać ze swojego sprytu oraz z podstępów, aby nie zostać „ukłuty” przez handlarzy. Inni zeznający stwierdzali, że poza egzemplarzami dzieł sztuki, które Göring sam zakupił, otrzymywał on inne cenne skarby w prezencie od członków partii, przemysłowców, miast (m.in. Norymbergi), dyplomatów, jednostek Luftwaffe, a nawet od Adolfa Hitlera. Rzekomo prowadził również handel wymienny niektórych egzemplarzy ze swojej kolekcji z dilerami i kolekcjonerami sztuki. W zeznaniach upierał się przy twierdzeniu, że tylko 1 proc. jego zbiorów pochodził z Francji i że niczego nie

zabrał z muzeów narodowych tego państwa. Wręcz przeciwnie – miał rzekomo pomagać Francuzom w zapewnianiu dostępu do specjalnie skonstruowanych schronów przeciwlotniczych, gdzie bezpiecznie mogli przechowywać swoje zbiory. Od powyższej reguły

nietykalności francuskich skarbów narodowych zrobił jeden ważny wyjątek. Wymienił dwie rzeźby i dwa obrazy na drewnianą rzeźbę i obraz, które spodały mu się w trakcie wizyty w Luwrze. „Negocjacje były długie i trudne, ale nie było nacisków z mojej strony” – oświadczył śledczym Göring.

W przypadku, gdy dzieła sztuki należały do prywatnych kolekcjonerów pochodzenia żydowskiego, zostały one najpierw zgromadzone na wystawie w Salle du Jeu de Paume, gdzie pozostały do wspólnym nadzorem przedstawicieli Rzeszy i Francji. Następnie na osobisty rozkaz Hitlera większość tych dzieł została przesłana do zamków Neuschwanstein i Hohenschwangau w Bawarii, do bunkra Führerbauten w Monachium oraz do siedziby Kancelarii Rzeszy w Berlinie i jej filii w Obersalzbergu. Ostatecznie miały one znaleźć swoje stałe miejsce w galerii narodowej w Linzu. Resztę zbioru artystów o korzeniach żydowskich sprzedano na publicznej aukcji. Oczywiście w jej trakcie marszałek Göring nabył wiele obrazów, rzeźb, gobelinów i antycznych mebli. Przyznał się, że przy zakupach korzystał z podpowiedzi eksperta francuskiego na co dzień pracującego w muzeum. Niestety, nie znalazłem w protokołach przesłuchań pytań do Göringa o zagrabione polskie dzieła sztuki. Najwyraźniej w tej fazie śledztwa alianci nie zawracali sobie głowy naszymi stratami dóbr narodowych.

W 1945 r., uciekając przed Rosjanami, Göring załadował zbiory na wagony kolejowe, które po części ukryto w nieukończonym tunelu w Berchtesgaden. Reszta wagonów ze skarbami Göringa pozostała na torach linii Berchtesgaden-Königssee. 18 maja 1945 r. więzień Hermann Göring „wspaniałomyślnie” złożył na piśmie przyrzeczenie o swojej gotowości zwrotu zgromadzonych skarbów kultury. Chodziło przede wszystkim o skarby francuskie.

Interesujące są też zeznania na temat osób, z którymi przez lata blisko współpracował. Jak już wspominałem powyżej, nie oszczędzał ich wizerunków. Więzień Göring zeznawał, że w przypadku, gdyby wojna trwała jeszcze trzy miesiące, Hitler gotów był odrzucić postanowienia konwencji genewskiej – wszyscy jeńcy z krajów alianckich zostaliby zlikwidowani. Kiedy plan ten stał się jawny dla generałów i dostojników partyjnych, wszyscy, jak jeden mąż, z wyjątkiem Goebbelsa, zaprotestowali. Zwrócono uwagę Hitlerowi, że w przypadku realizacji jego pomysłu zginą również niemieccy jeńcy przebywający w obozach alianckich. Hitler odparł, że te miliony Niemców nie były już przydatne dla wysiłku zbrojnego III Rzeszy. Hitler dalej stwierdzał, że dzięki temu drastycznemu rozwiązaniu nie będzie już więcej chętnych do dezercji z szeregów armii niemieckiej. Według Göringa Hitler w końcowej fazie wojny powstrzymywał się przed użyciem broni chemicznej. Bał się odwetu aliantów. Żałował jednak, że nie zezwolił na ataki gazowe w pierwszej fazie wojny. Nie zrobił tego, bo był przekonany, że wygra wojnę za pomocą środków konwencjonalnych.

W trakcie zeznań Göring nie unikał zgłaszania protestów przeciwko traktowaniu go jak „zwykłego” więźnia. Jest w zwyczaju – jak twierdził – że marszałek ma swoją osobną willę. W przypływach rozsądku wydawał się brać jednak pod uwagę to, że jako piastujący wysoką funkcję nazista musiał być „wystarczająco usatysfakcjonowany” takim samym losem jak inni niemieccy jeńcy w stopniach oficerów. Göring nie wahał się przypominać przesłuchującemu go oficerowi, że w momencie poddania się Amerykanom zwrócił się do nich z prośbą o udzielenie mu wolnego przejazdu do jednego z wybranych krajów.

Rozważał kontynuację życia w Chile lub Argentynie. Według zeznań ministra Rzeszy Funka Göring miał już poza granicami poważne kwoty nielegalnie wywiezione z Niemiec. Podejrzewano, że szmuglerem pieniędzy był Medel, partner w koncernie bankowym WITZIG. Medel był Niemcem i natu-

SECRET

Ref Co SAIC/JL
28 May 45

NEWMAN was a publisher of insurance periodicals. GORDING reportedly befriended him a great deal. The connections with the other firms are unknown.

During 1940/41 there are following transfers of larger sums:

Date	From	To	Sum
30 Oct 1940	WITTENBERGER (CHRONICLE)	MARKS AND GORDING	100,000.
30 Oct 1940	JORDAN'S SERVICE	"	"
6 Nov 1940	MARKS AND GORDING	"	100,000.
8 Nov 1940	WITTENBERGER (NEWMAN)	"	500,000.
19 Nov 1940	REICHENBERGER MARK GORDING	"	150,000.
3 Jan 1941	REICHENBERGER MARK GORDING	"	50,000.
3 Jan 1941	MARKS (WITTENBERGER)	"	50,000.
7 Apr 1941	JORDAN'S	"	100,000.
28 Apr 1941	MARKS AND GORDING	"	100,000.
30 Apr 1941	WITTENBERGER (CHRONICLE)	"	150,000.
16 Aug 1941	JORDAN'S SERVICE	"	100,000.
28 Sep 1941	MARKS GORDING SERVICE	"	100,000.
20 Nov 1941	MARKS GORDING SERVICE	"	250,000.
		TOTAL	\$M 1,850,000.

Thus GORDING received nearly 2 million marks within two years through his connections with these plants under the Four-Year Plan. GORDING admitted that he had "banked" all these plants to transfer some funds provisionally to his personal account, since under Party regulations members in public offices were not allowed to accept remunerations for services as board members.

29 May 1945

SEVENTH ARMY INTERROGATION CENTER

Paul K. Kohn,
Capt. USA,
Maj. H.
Gordonling.

[illegible][illegible][illegible]

ralizowanym Holendrem, który poślubił Szwajcarkę. Pracował dla Göringa, kiedy ten potrzebował zrealizować szmerne transfery. Tuż przed zakończeniem wojny Medel wraz z poważnymi walorami należącymi do Göringa miał odlecieć samolotem do Hiszpanii. Cenne „bagaze” najprawdopodobniej miały zostać lub zostały zdeponowane w Portugalii lub Ameryce Południowej. W tym miejscu warto wspomnieć, że więzień Göring regularnie podpytywał przesłuchującego go oficera amerykańskiego o to, gdzie według niego są lepsze warunki do życia – w Chile czy Argentynie. Sam nie potrafił podjąć decyzji co do kierunku swojej wyimaginowanej podróży.

W swoich zeznaniach składanych 19 maja 1945 r. Göring twierdził, że starał się powstrzymać Hitlera od rozpoczęcia kampanii przeciwko Polsce. Korzystając z okazji, że ani Francja, ani Anglia nie przystąpiły natychmiast do wojny z III Rzeszą, zasugerował Hitlerowi błyskawiczne pokojowe rozwiązanie konfliktu.

Między 1 a 3 września 1939 r. niemieckie wojska, bez wypowiedzenia wojny, posunęły się w miarę głęboko w terytorium Polski. 3 września w południe Göring przez swojego kuriera ze Szwecji otrzymał informację od lorda Halifaxa, który raz jeszcze i po raz ostatni, zanim będzie za późno, zwrócił się z prośbą o wstrzymanie walk. Göring zasugerował Hitlerowi zatrzymanie agresji i złożenie przywódcom Francji i Anglii oferty pokojowej.

III Rzesza, jak miała głosić oferta, gotowa była zawrzeć pokój, ale pod warunkiem, że zagwarantowane jej zostanie przejęcie okupowanych w ciągu trzech dni walk obszarów stanowiących dotąd część terytorium Polski. W praktyce, według Göringa, oznaczałoby to likwidację korytarza i przejęcie ziem, na których od lat tak bardzo zależało Niemcom. Göring ocenił, że Francja i Anglia przyjęłyby tę propozycję, bo w tak ukształtowanej konstelacji Polska nadal stanowiłaby cenny dla aliantów bufor między Niemcami a Rosją. Hitler za długo rozmyślał nad propozycją swojego marszałka. Jeszcze tego samego dnia Francja i Anglia wypowiedziały wojnę III Rzeszy. Jej skutki były straszliwe dla wielu narodów.

Wywiad / Z Jochenem Böhlerem, autorem książki „Wojna domowa. Nowe spojrzenie na odrodzenie Polski”



rozmawia Piotr Włoczyk



Bój na zgliszczach imperiów

PIOTR WŁOCZYK: Lata 1918–1921 kojarzą się Polakom z okresem walk o niepodległość i granice. Pan mówi o „wojnie domowej”.

JOCHEN BÖHLER: Staram się pokazać inne niż stereotypowe spojrzenie na proces odzyskiwania niepodległości. Gdy Polacy rozmawiają na temat odrodzenia swojego państwa, mówi się w zasadzie tylko o olbrzymiej patriotycznej fali, która parla do odtworzenia niepodległej Polski. Oczywiście patriotyzmu nie brakowało, ale to nie jest pełen obraz tej historii.

Czego panu w nim brakuje?

Ten polski patriotyzm był, rzecz jasna, olbrzymi, ale trzeba uzupełnić ten obraz doświadczeniem prostych ludzi z tamtych czasów, którzy od pokoleń żyli w wielkich imperiach. Wielu z nich nie mieściło się w głowie narodzenie się państw narodowych. Czy bowiem naród polski istniał w 1918 r. w takim zakresie, jak wyobrażamy sobie to dziś? Oczywiście elity miały silną świadomość narodową, te uczucia rozlewały się coraz bardziej na

masy, ale czy chłopska ludność z terenów pogranicza albo zamieszkujący te ziemie słabiej wykształceni ludzie, którzy mówili po polsku i byli katolikami, co do zasady uważali się w 1918 r. za należących do narodu polskiego? W mojej książce skupiam się właśnie na tych ludziach z terenów pogranicznych, które w latach 1918–1921 przechodziły z rąk do rąk, o które różne narody Europy Środkowo-Wschodniej toczyły boje. Myślę, że obraz, jaki się z tego wyłania, może być zaskakujący dla czytelnika.

ników przyzwyczajonych do stereotypowego spojrzenia na odrodzenie Polski.

Pan nazywa to stereotypem, ale zapewne wielu naszych czytelników uważa przedstawianie budowy Polski z lat 1918–1921 jako wielkiego narodowego zrywu za rzetelny opis historii.

Weźmy zatem wspomnienia wybitnego polskiego historyka Marceliego Handelsmana, który latem 1920 r., służąc w 5. Pułku Piechoty Legionów na kresach północnych, napisał takie oto słowa: „Pamiętną mi będzie rozmowa z chłopem litewskim w Ogrodnikach. Mówił mi, że mieszka tu, w Ogrodnikach, a jego szwagier tam, w Bereźnikach, tu jest, mówił, teraz Litwa, a tam Polska. Dawniej to było jedno, a teraz między Bereźnikami a Ogrodnikami ciągnie się granica: jest wojna. Czy to tak być powinno, czy to nie do jednego kościoła chodzimy, czy to nie jest kłeska, że bracia są podzieleni i walczą?”.

Chyba łatwo byłoby też znaleźć wypowiedzi ludzi z pogranicza, którzy nie mieli żadnych wątpliwości co do swojej przynależności narodowej.

Oczywiście tacy ludzie też byli, ale ten fragment dobrze oddaje główny zamysł mojej książki: pokazanie doświadczeń tych ludzi z pogranicza, którzy czuli się w tym wszystkim zagubieni. Przez pokolenia mieszkali obok siebie wymieszani – m.in. Polacy, Litwini, Ukraińcy, Czesi – i nagle upadek imperiów, w których żyli, oznaczał, że musieli się opowiedzieć za konkretną stroną konfliktu. Nie wszystkim przychodziło to łatwo. To naprawdę nie było tak, że wszyscy ludzie, którzy mówili po polsku, nagle po zakończeniu I wojny światowej ruszyli masowo do walki o budowę niepodległej Polski.

Poza tym ta „wojna domowa” to nie mój wymysł. Trafiłem na takie stwierdzenia we wspomnieniach ludzi z pogranicznych obszarów, a także w zapiskach z tamtych lat ich dotyczących. Przebija z nich poczucie bezradności i zdumienie – ludzie nie rozumieją, jak to jest, że nagle sąsiedzi muszą się określać po danej stronie, że przez ich rodzinne ziemie przerzucane są teraz granice. Mieli wrażenie, że to wszystko jest jak bratobójczy konflikt. Chłopi nie rozumieli, o co chodzi.

Tylko dlaczego używa pan pojęcia „wojna domowa” m.in. w stosunku do konfliktu polsko-czeskiego o Śląsk Cieszyński? To był konflikt między dwoma państwami.

Zgadzam się, że takie stawianie sprawy – tak jak w ogóle tytuł mojej książki – jest nieco prowokacyjne i może budzić zdziwienie. Nie patrzę jednak na „wojnę domową” pod kątem formalnej definicji, ponieważ faktycznie walczyły wówczas ze sobą państwa. Używam tej nazwy, ponieważ chodzi mi o pokazanie doświadczenia ludzi, którzy mieszkali tam, gdzie dochodziło do tych wszystkich konfliktów. Jestem przekonany, że te starcia pomogły ostatecznie scementować biorące w nich udział narody. Przyjrzyjmy się pod tym kątem Górnemu Śląskowi. 20 marca 1921 r. odbył się tam kluczowy plebiscyt.

Przy frekwencji 98 proc. zakończył się on 60-procentowym zwycięstwem strony niemieckiej, chociaż aż 60 proc. mieszkańców Górnego Śląska stanowiła ludność polskojęzyczna. Stąd wiadomo, że wielu ludzi, którzy mówili po polsku, głosowało za Niemcami. Dlaczego tak się stało? Dla głosujących narodowość odgrywała pewną rolę, ale w grę musiały wchodzić też inne czynniki: ludzie zastanawiali się, który kraj będzie im oferował bezpieczeństwo, gdzie się będzie dostatniej żyło. Mieszkańcy Śląska wiedzieli już, jaki standard życia oferują Niemcy, a dla wielu z nich niepodległa Polska kojarzyła się jednak z pewnym ryzykiem – zastanawiali się, czy Polska w ogóle przetrwa.

Odpowiedzią na wynik plebiscytu było trzęsienie powstanie śląskie. W trakcie lektury pańskiej książki zastanawiało mnie, dlaczego używa pan tu cudzołóstwa.

Proszę mnie nie zrozumieć źle – w mojej książce nie odbieram zasług powstańcom, absolutnie nie chcę umniejszyć w ten sposób rangi tych wydarzeń. Rozumiem, że „powstanie śląskie” może



Plakaty plebiscytowe na Górnym Śląsku FOT. BN, WBC

irytować część czytelników, ale jako historyk nie mogę nie używać tu cudzołóstwa. Górny Śląsk nie był częścią Polski od XIV w. Tymczasem powstanie robi się na własnym terenie przeciwko okupantowi. W przypadku Górnego Śląska tak po prostu nie było – to nie było polskie terytorium okupowane przez Niemców.

Taka interpretacja raczej się nie przyjmie w Polsce... Jeżeli to nie było powstanie, to jak to nazwać?

To była wojna domowa! To wszystko, co się działo na Górnym Śląsku w latach 1919, 1920 i 1921, to typowy konflikt bratobójczy. Ludzie byli tam bardzo wymieszani, trudno powiedzieć, kto był Polakiem, a kto Niemcem.

Nawet rodziny były mocno pomieszanymi. Czasem ojciec był bliżej Polski, ale już syn bardziej się czuł Niemcem. Oprócz tego istniała też osobna górnośląska kategoria świadomości narodowej. W wielu przypadkach określenie się po jednej czy po drugiej stronie było po prostu niemożliwe.

Zwykle staramy się pokazać dzieje naszych państw w jak najlepszym świetle. Podczas rozmów z Polakami uderzało mnie, jak często słyszałem, że walki, które prowadziła Polska w latach 1918–1921, były dobre – prowadziły do wyzwolenia ludzi. Z kolei wszyscy przeciwnicy Polski byli źli. Przykład Górnego Śląska pokazuje, że ten podział chyba nie do końca ma sens.

W przypadku wojny z bolszewikami nie ma pan chyba wątpliwości.

Oczywiście, że nie mam, ale czy faktycznie wszyscy przeciwnicy Polski byli „źli”? Mam wrażenie, że w procesie budowy państw narodowych między Niemcami a Rosją w tamtych latach



JOCHEN BÖHLER „WOJNA DOMOWA. NOWE SPOJRZENIE NA ODRODZENIE POLSKI”

ZNIAK HORYZONT



Naczelną Komendę Wojska Polskiego, Lwów, 22 listopada 1918 r. FOT. WIKIPEDIA

■ trudno mówić, co było dobre, a co złe. Proponuję spojrzeć na to jako na proces transformacji dokonujący się na terenie olbrzymiej próżni powstałej po „śmierci” imperiów. Mieszkały tam przeróżne narody i każdy chciał stworzyć swoje państwo. Nie można zapominać, że każdy z tych narodów miał prawo do swojego państwa – m.in. prezydent Wilson tak to widział i Polska skorzystała z tego prawa.

Społo miejsca poświęca pan w książce zbrodniom popełnionym w latach 1918–1921. „Notoryczną i najbardziej widoczną formą przestępczości polskich żołnierzy w relacjach z ludnością cywilną było bicie, grabienie i mordowanie Żydów w biały dzień, na oczach i przy częstym współudziale lokalnych społeczności – pisze pan. – Pod tym względem Polacy nie stanowili smutnego wyjątku. Wszystkie strony uczestniczące w walkach w Europie Środkowo-Wschodniej zabijały Żydów”. Równocześnie podaje pan liczbę ok. tysiąca Żydów, którzy zostali zabici w tych latach przez polskich żołnierzy i chłopów.

Nie chciałem przez to sugerować, że Polacy popełniali takie same zbrodnie jak sąsiedzi. W tym samym bowiem czasie na Ukrainie w ok. 1,5 tys. pogromach zabitych zostało od 50 do 60 tys. Żydów. Odpowiadały za to oddziały białogwardyjskie, czerwonoarmistów i atamańskie.

Na samej Ukrainie zamordowanych zostało nawet 60 razy więcej Żydów, a jednak nikt na Zachodzie o tym nie mówił. W tym okresie w zachodnich gazetach widać było falę oburzenia na Polskę. Można sprowadzić te wszystkie artykuły do myśli: „Tylko odzyskali niepodległość i już zabijają Żydów!”. Pojawiały się wręcz sugestie, że w Polsce rozpoczęto państwowy program eliminacji Żydów.

Już sto lat temu Polacy mieli fatalną prasę pod tym względem...

Myślę, że trzeba to tłumaczyć antypolskimi stereotypami na Zachodzie. Tym-

czasem w USA szalał wówczas konflikt rasowy, ludzie byli zabijani na ulicach. Wielkie mocarstwa nie interesowały się jednak zbrodniami popełnianymi w swoich koloniach czy wręcz na własnym terytorium. Co innego Europa Środkowo-Wschodnia, a zwłaszcza Polska...

Rozdział pańskiej książki na temat grzechów Polaków popełnionych w latach 1918–1921 wobec ludności pogranicza jest pokaźny. O tych ciemnych kartach rzadko się mówi, ale czy ich skala powinna nas przerażać w kontekście wielkiego przedsięwzięcia, jakim jest budowa państwa?

Nie jestem przekonany, czy dało się tego wszystkiego uniknąć. W konfliktach etnicznych zawsze pojawiają się morderstwa dokonywane na cywilach, tylko pytanie o skalę tych zjawisk. Myślę, że mimo wszystko proces budowy Polski nie był jakoś wyjątkowo krwawy. Co nie znaczy, że nie mamy pamiętać o złych rzeczach, które się wówczas działy.

Prawdę mówiąc, moja książka miała początkowo wyglądać inaczej. Naprawdę nie wiedziałem, na co trafię w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie. Co miałem zrobić jako historyk z tymi wszystkimi grubymi teczkami pełnymi dokumentów opisujących przestępstwa popełniane przez polskich żołnierzy lub dezertków, m.in. grabienie mienia, palenie zabudowań, a czasem także morderstwa? Te dokumenty były efektem śledztw prowadzonych na bieżąco przez Wojsko Polskie.

Co z tych materiałów szczególnie pana zdziwiło?

Na przykład taka historia: do miasteczka na kresach wkraczają dowórcy – żołnierze z Wielkopolski – i zaczynają rabować żydowskie sklepy. Za moment wkraczają do tego miasteczka żołnierze Stanisława Bułak-Bałachowicza i zaczynają Żydów... mordować.

Widząc to, dowórcy idą z pomocą Żydom i dochodzi do starć z ludźmi Bułak-Bałachowicza. Swoją drogą lektura dokumentów stworzonych przez oficera łącznikowego przy Bułak-Bałachowiczu sprawia, że włosy momentami jeżą się na głowie. Oficer ten pisze wprost o zbrodniach, jakie ta jednostka popełniała na cywilach. To był duży problem dla dowództwa, bo zdawano sobie sprawę, co takie historie robią z wizerunkiem odbudowującej się Polski.

Wojsko samo prowadziło śledztwa w tych sprawach i niestety nie były to przypadki odoosobnione. Nigdy nie zrozumie się historii, jeżeli zawsze będzie się pisać tylko o jednej stronie.

Tylko pytanie, którą stronę będziemy mocniej akcentować.

Proszę mnie źle nie zrozumieć – absolutnie nie chcę zepsuć Polakom dumy z odzyskania niepodległości. Chciałem po prostu pokazać, że poza niewątpliwymi blaskami jest w tej historii też trochę cieni, o których też warto pamiętać.

Generalnie jednak w latach 1918–1921 w całej Europie Środkowo-Wschodniej tak to właśnie wyglądało – był olbrzymi problem z egzekwowaniem dyscypliny w szeregach wojska. Polska nie była pod tym względem wyjątkiem.

Inna kwestia, czy dowództwo reagowało na sygnały o zbrodniach i przestępstwach żołnierzy.

Dowództwo w Warszawie badało takie przypadki i starało się nim przeciwdziałać. Zwłaszcza – to warto podkreślić – gdy chodziło o zbrodnie przeciwko Żydom. Józef Piłsudski doskonale rozumiał, że przemoc antyżydowska szkodzi odradzaniu się Polski, więc ostro interweniował, by powstrzymać wszelkie takie ekscesy. To nie była jednak norma – zdecydowana większość żołnierzy polskich nie miała takich rzeczy na sumieniu, za to dobrze się przysłużyła niepodległej II RP.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jochen Böhrer

jest niemieckim historykiem specjalizującym się w najnowszych dziejach polsko-niemieckich. Jedną z jego najbardziej znanych książek są „Zbrodnie Wehrmachtu w Polsce. Wrzesień 1939 r.”.

Juliusz Burgin, redaktor naczelny „Głosu Ludu”, gratuluje uczestnikom wyścigu kolarskiego, 1948

Źródło: FOT. PAP

PRL / Dziwne przypadki płk. Burgina

Psychoza czerwonego pułkownika



Paweł Sztama

„Czuję się głęboko obrażony w mej dumie i godności komunisty” – pisał rozżalony płk Juliusz Burgin do władz. Dlaczego system nagle zwrócił się przeciw byłemu szefowi wywiadu PRL?

wszystko przebiegało po myśli podróży. Jednak gdy prowadzący auto udał się do budynku Wojsk Ochrony Pogranicza, aby odebrać paszporty, sytuacja zaczęła się komplikować. Oficer WOP powiedział kierowcy, że istnieje podejrzenie, iż wywozi on z PRL materiały historyczne z okresu II wojny światowej, dlatego otrzymał rozkaz z Warszawy, aby przeprowadzić szczegółową kontrolę auta. Prowadzący samochód był zdziwiony tą informacją i początkowo próbował wyperswadować żołnierzowi zamiar rewizji. Oficer był jednak nieugięty. Ponadto kierowca poprosił o możliwość kontaktu telefonicznego z Warszawą. Prawdopodobnie całą sytuację chciał wyjaśnić z ówczesnym sekretarzem Komitetu Centralnego PZPR Edwardem Ochabem. Na to również nie chciał się zgodzić funkcjonariusz WOP. W związku z zaistniałą sytuacją obaj mężczyźni przeszli do auta, którego nie opuszczała żona kierowcy. Jej również nie spodobał

się pomysł rewizji. Niemniej kontrola została przeprowadzona. Celnicy dość skrupulatnie, przez ponad dwie godziny, przeglądali rzeczy podróżnych – bagaże, odzież, portfele. Bardzo dokładnie przeszukali również ich auto. Pomimo że żadnych materiałów nie udało się znaleźć, podróżni zrezygnowali z dalszej drogi i wrócili do Warszawy.

Osobami kontrolowanymi byli były szef wywiadu PRL i wysoki funkcjonariusz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego płk Juliusz Burgin oraz jego żona Maria Wierna, piastująca wówczas stanowisko dyrektora generalnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Rewizja nie była oczywiście przypadkowa i wynikała z działalności Burgina jako prezesa Spółdzielni Wydawniczej „Książka i Wiedza”.

Burgin urodził się 17 marca 1906 r. w Otwocku, w żydowskiej rodzinie rzemieślniczej. W wieku 19 lat związał się z ruchem komunistycznym. Początkowo

Dnia 2 sierpnia 1962 r. w miejscowości Kudowa-Zdrój na granicy polsko-czechosłowackiej został zatrzymany samochód, którym jechały dwie osoby. Początkowo

■ był członkiem Związku Młodzieży Komunistycznej i Komunistycznego Związku Młodzieży Polski. W 1927 r. został przyjęty w szeregi Komunistycznej Partii Polski. Zaangażował się również bardzo mocno w działalność tzw. Czerwonej Pomocy, czyli Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom. Ponadto z ramienia KPP pełnił funkcję sekretarza generalnego młodzieżówki Polskiej Partii Socjalistycznej „Lewica”. W okresie II Rzeczypospolitej był za swoją działalność kilkakrotnie zatrzymywany i więziony.

Po wybuchu II wojny światowej uciekł z aresztu i wyjechał do Brześcia Litewskiego. Tam zorganizował komunistyczną Gwardię Robotniczą i stanął na jej czele. Wtedy też nawiązał kontakt z oddziałem kontrwywiadu sowieckiej 4. Armii. Od tamtej pory datowana jest jego współpraca z NKWD, a później z NKGB. Przebywając w Brześciu, Burgin szefował także działowi ekonomicznemu propagandowego pisma „Sztandar Wolności”.

W połowie 1941 r., już po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, przyszedł pułkownik został wcielony w szeregi Armii Czerwonej. Następnie wyznaczono go na funkcję redaktora rozgłośni im. Tadeusza Kościuszki w Moskwie, a we wrześniu 1941 r. Sowieci skierowali go do szkoły Kominternu w Kusznenkowie. Pobyt na tej placówce nie zakończył się dla Burgina dobrze. Towarzysze partyjni oskarżyli go bowiem o kradzież, za co został ze szkoły odwołany.

Gdy w połowie 1943 r. Sowieci rozpoczęli formowanie 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, Burgin dołączył do tej jednostki na własną prośbę. W jej szeregach przeszedł cały szlak bojowy do Warszawy, piastując w niej funkcje polityczno-wychowawcze. Służbę w bezpiecze rozpoczął w 1945 r. W latach 1946–1947 kierował wywiadem, później był redaktorem naczelnym „Głosu Ludu”, a w 1948 r. wrócił do MBP i został dyrektorem gabinetu ministra Stanisława Radkiewicza.

Rok później został z tego stanowiska zdjęty i pełnił wiele zdecydowanie mniej istotnych funkcji. Był m.in. ambasadorem Polski Ludowej w Chinach i Korei Północnej, wiceministrem transportu drogowego i lotniczego, prezesem Książki i Wiedzy oraz redaktorem naczelnym tygodnika „Nowe Drogi”.

Jego problemy z SB rozpoczęły się w 1962 r. Dwa lata wcześniej, jako

najważniejsza osoba w Książce i Wiedzy, rozpoczął współpracę z młodym pisarzem Thomasem Harlanem. Harlan był obywatelem Federalnej Republiki Niemiec, a w swojej twórczości zajmował się głównie tematyką zbrodni III Rzeszy. Pisarz starał się odnajdywać i demaskować zbrodniarzy niemieckich, którym udało się uniknąć sprawiedliwości po zakończeniu działań wojennych. Według informacji przekazanej SB przez tajnego współpracownika o ps. Julian Harlan miał zorganizować i koordynować działalność placówek naukowych w Anglii, we Francji, w Polsce, RFN, USA, we Włoszech i w ZSRS. Ośrodki te skupiały się w swojej działalności na prowadzeniu kwerend archiwalnych, dzięki którym można było przygotować i wydać obszerną, bo liczącą ok. 700 stron, rozprawę zatytułowaną „IV Rzesza”.

Archiwa należące do najważniejszych znajdowały się oczywiście w Polsce. W rozmowie z „Julianem” Niemiec ocenił, że „w Polsce ma 60 procent materiałów potrzebnych do całego dzieła i dlatego jest bardzo zadowolony z pobytu w Polsce”. Placówka Harlana została ulokowana w warszawskiej siedzibie Książki i Wiedzy, a nadzór nad nią sprawowali Harlan oraz Burgin.

Działalność Niemca prawdopodobnie nie wzbudzała początkowo żadnego niepokoju. Zmieniło się to, gdy w 1961 r. „Julian” doniósł, że wedle jego oceny praca wykonywana przez Harlana mogła być tylko przykrywką dla szpiegostwa. Z tego powodu zaczęto się jej bliżej przyglądać, a sprawę przejął Wydział VI Departamentu II MSW odpowiedzialny za działania kontrwywiadowcze wobec obcokrajowców. Zaniepokojenie wzbudzała nie tylko opinia „Juliana”, lecz także rosnące koszty utrzymania Harlana w Polsce, jego liczne wyjazdy do różnych państw oraz częste spotkania z Burginem.

Działania operacyjne zostały rozkręcone na dobre w 1962 r. Wydział VI zainteresował się nie tylko Harlanem, lecz także grupą osób z jego najbliższego otoczenia. W związku z tym na widelcu SB znalazł się również Burgin.

Wydział VI zaczął kontrolować korespondencję byłego funkcjonariusza. Ponadto sprawdzono osoby, z którymi prezes Książki i Wiedzy często się spotykał. Przejrzano również dość dokładnie jego akta paszportowe, wyodrębniając szczególnie wszystkie jego zagraniczne

wyjazdy i zastrzeżenie na opuszczenie kraju. Pieczętowanie czytano także jego akta osobowe, szukając jakichś kompromitujących elementów w jego biografii. SB uaktywniła także swoich donosicieli, którzy informowali aparat bezpieczeństwa o różnych działaniach i spotkaniach, które Burgin odbywał np. podczas licznych zagranicznych wypadów. Jednym z elementów prowadzonej inwigilacji była wspomniana na początku artykułu kontrola jego samochodu w Kudowie. Co więcej, oprócz działań podjętych przez SB do Książki i Wiedzy weszły specjalna komisja KC PZPR oraz grupa inspekcyjna Najwyższej Izby Kontroli.

Całość podjętych przeciwko Burginowi działań wzbudziła jego spore zaniepokojenie. „Jakim prawem Służba Bezpieczeństwa ingeruje w sprawy wydawnictwa partyjnego [...]” – miał pytać w dobrze znanym sobie towarzystwie. Jako były oficer aparatu represji doskonale zdawał sobie sprawę z tego, w jaki sposób służby specjalne funkcjonowały. Co więcej, poszczególne posunięcia SB i napływające do niego informacje tylko ten niepokój zwiększały.

W listopadzie 1962 r. SB wysłała do redakcji Książki i Wiedzy dwóch funkcjonariuszy, którzy bez porozumienia z prezesem wydawnictwa zażądali informacji o kilku jego pracownikach. Takie działanie aparatu bezpieczeństwa spowodowało jeszcze większe napięcie Burgina. Okazało się jednak, że aktywność funkcjonariuszy na terenie Książki i Wiedzy nie była związana z rozpracowaniem Burgina, choć on sam mógł przecież tak pomyśleć. Tymczasem esbecy poszukiwali po prostu osób, które biegle znały języki obce...

W tym samym czasie byli funkcjonariusze zaczęli podejrzewać, że jego osobą zainteresowała się Prokuratura Generalna PRL. Takie myśli przeszły mu przez głowę, ponieważ otrzymał niepokojący sygnał z bardzo wysokiego, partyjnego szczebla. Otóż prominentny członek Rady Państwa, a prywatnie dobry znajomy Burgina – Leon Chajn – poinformował go o dziwnej telefonicznej rozmowie, którą odbył z byłym, jeszcze przedwojennym wojewodą tarnopolskim Kazimierzem Moszyńskim. Moszyński uważał, że przed 1939 r. został przez rządzącą wówczas sanację poszkodowany, i żądał jakiegoś zadośćuczynienia od Rady Państwa. Chajn stwierdził, że reprezentowana

przez niego instytucja nie mogła uznać roszczeń byłego wojewody. Niemniej zaproponował Moszyńskiemu, aby ten zwrócił się w tej sprawie do NIK albo do Prokuratury Generalnej. Z tego właśnie powodu Moszyński umówił się na spotkanie z prok. Stefanem Rakowskim. Podczas wymiany zdań Rakowski miał zapytać byłego wojewodę: „Czy w związku z jego sprawą był u niego płk Burgin z Milicji i czy proponował mu współdziałanie w zamian za korzyści materialne?”. Tak postawione pytanie wzbudziło niemałe zdziwienie Moszyńskiego, tym bardziej że ten Burgina zupełnie nie kojarzył, ale na tyle dobrze zapamiętał całe zdarzenie, że opowiedział o nim Chajnowi.

Po otrzymaniu sygnału od Chajna Burgin poprosił o wyjaśnienie całej sprawy przez Centralną Komisję Kontroli Partyjnej (CKKP), a także powiadomił o zajściu ówczesnego przewodniczącego Rady Państwa Aleksandra Zawadzkiego oraz ministra sprawiedliwości PRL Mariana Rybickiego.

W wyżej wymienionej sprawie wyjaśnień od Prokuratury Generalnej zażądała CKKP. Komisji odpowiedział ówczesny zastępca prokuratora generalnego Henryk Cieśluk, który w piśmie wyjaśniającym stwierdził, że rozmowa między Moszyńskim a Rakowskim rzeczywiście się odbyła. Niemniej wedle wyjaśnień prokuratorów temat Burgina został w niej poruszony w zupełnie innym kontekście. Mianowicie z opowiadań Moszyńskiego wynikało, że znał on wiele korupcyjnych grzechów sanacyjnej elity. Informacja ta dość mocno zaniepokoiła Rakowskiego, który zasugerował byłemu wojewodzie, aby ten przygotował wspomnienia.

Po zakończonym spotkaniu prokurator rozmawiał o opowieściach Moszyńskiego z wysokim oficerem Milicji Obywatelskiej płk. Gałęckim. Ten ostatni obiecał, że postara się zainteresować całą sprawą Burgina, którego dość dobrze znał. Jak wynika z relacji przekazanej przez Rakowskiego, pomysł napisania przez Moszyńskiego wspomnień na tyle



Dokumenty dotyczące sprawy Juliusza Burgina. Fot. IPN

Wielokrotnie służyłem w różnych władzach państwa, nie miałem nigdy żadnych kontaktów z Moszyńskim. Władze państwa wykonały wszystkie czynności przewidziane w sprawie postępowania prokuratorskiego. Wskazano mi na brak dowodów na przestępstwo. Wskazano mi na brak dowodów na przestępstwo. Wskazano mi na brak dowodów na przestępstwo.

zaniekawił prezesa Książki i Wiedzy, że ten poprosił o skontaktowanie go z byłym wojewodą. Po jakimś czasie Rakowski ponownie spotkał się z Moszyńskim. Podczas ich drugiej rozmowy prokurator miał przekazać byłemu politykowi prośbę Burgina i nic ponad to. Dodatkowo Cieśluk kategorycznie stwierdził, że Prokuratura Generalna nie prowadziła wtedy żadnej sprawy przeciwko byłemu funkcjonariuszowi, a zachowanie Burgina określił jako „wyraz wyjątkowej hysterii i braku jakiejkolwiek równowagi psychicznej człowieka”.

Nerwy Burgina w związku z zaistniałymi faktami musiały być rzeczywiste, ale dość mocno nadzarpnięte, jednak prawdziwy cios miał dopiero nadejść. 8 stycznia 1963 r. Biuro Polityczne Komitetu Centralnego PZPR zarekomendowało odwołanie go z funkcji prezesa

Książki i Wiedzy, co stało się faktem tego samego dnia. W najbliższym mu otoczeniu szeptano, że wpływ na tę decyzję mógł mieć rosnący wówczas w siłę wiceszef resortu spraw wewnętrznych gen. Mieczysław Moczar. Sam Burgin uważał natomiast, że za całą sprawą stał jeden z jego bliskich współpracowników z wydawnictwa.

Rozżalony pułkownik zaprotestował tak przeciwko odwołaniu, jak i wobec działalności SB. Przygotował nawet swoisty memoriał, który skierował do Aleksandra Zawadzkiego. „Czuję się głęboko obrażony w mej dumie i godności komunisty, obywatela i żołnierza i nie godzę się, aby w moim kraju traktowano mnie jak złoczyńcę” – pisał w jednym z akapitów. Co więcej, zwrócił także kilka wysokich odznaczeń państwowych, przyznanych mu na przestrzemi kilkunastu lat za działalność komunistyczną. Wśród nich były m.in. Krzyż Komandorski, Krzyż Oficerski i Krzyż V klasy Orderu Odrodzenia Polski.

Po odejściu z Książki i Wiedzy kłopoty Burgina się nie skończyły. W maju 1963 r. CKKP udzieliła mu nagany z ostrzeżeniem za niegospodarność przy przygotowywaniu „IV Rzeszy”. Ponadto o finansową rozrzutność przy zawieraniu różnych umów wydawniczych oskarżyli go także funkcjonariusze SB. Posądzano go również o to, że pomógł Harlanowi przejrzeć dokumenty zgromadzone w archiwum Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, a także próbował mu załatwić zgodę na przegląd dokumentów zgromadzonych w archiwum MSW. Dodatkowo byłemu oficerowi zarzucono utrzymywanie kontaktów z osobami podejrzanyymi o działalność wywiadowczą na terenie PRL, a także ustalono, że za granicą przebywali jego bracia. Informacje te nie miały jednak żadnych konsekwencji prawnych.

Niemniej Burgin, już jako redaktor naczelny niszowej gazetki „Nowe Czasy”, pozostawał praktycznie do śmierci w zainteresowaniu SB. Najbardziej intensywny okres tego zainteresowania przypadł lata 1968–1973, kiedy to aparat bezpieczeństwa zajął się nim w ramach kampanii antysemitkiej. Jest to jednak już zupełnie inna opowieść.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

Joseph Goebbels podczas uroczystości z okazji „Dni filmu młodzieżowego”, 1939 r. FOT. NAC



III Rzesza / Sensacyjne wspomnienia z serca reżimu

Spowiedź sekretarki Goebbelsa



Marcin Bartnicki

„Przecież niczego nie zrobiłam oprócz pisania na maszynie u pana Goebbelsa” – wspomina Brunhilde Pomsel. Twierdzi, że nie wiedziała o Holokauście ani innych zbrodniach



FOT. MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA BELONA

Pprzed wejściem do budynku zgromadziła się ogromna kolejka. Ponad stu ludzi stoi w idealnym porządku. Wszyscy cierpliwie czekają na swoją kolej. Ludzie zajmujący ostatnie miejsca są podenerwowani, nie mają pewności, czy wszyscy zostaną dziś obsłużeni. Dla niektórych to drugie lub trzecie podejście.

W kraju jest 6 mln bezrobotnych, ale nie jest to kolejka do urzędu pracy czy taniej jadłodajni. Niemcy pogrążone są w największym kryzysie od I wojny światowej, tymczasem mieszkańcy berlińskiej dzielnicy Südende to ludzie dobrze sytuowani i nawet po załamaniu się gospodarki radzą sobie nieźle. Kolejka ruszyła i przesuwają się szybko dzięki sprawnej organizacji. Dziś wszyscy dostaną to, czego pragną. Kolejny udany

dzień w lokalnej siedzibie NSDAP. Partia zyskała właśnie ponad stu nowych członków.

Jednym z nich jest Brunhilde Pomsel – przyszła sekretarka Josepha Goebbelsa. Za zapisanie się do NSDAP musi zapłacić 10 marek – to ok. 10 proc. jej pensji, suma niebagatelna w kraju trawionym kryzysem. Miesięczna składka to kolejne dwie marki. Do tego partia wymaga regularnej pracy na jej rzecz, m.in. udziału w ulicznych zbiórkach funduszy. Mimo to w 1933 r. legitymacja NSDAP jest najbardziej pożądanym towarem w Niemczech.

Niedzielną nazistką

Gdy współpracownik słynnego zbrodniarza pod koniec życia przerywa milczenie, zwykle w jego relacji znajdzie-

my pikantne szczegóły z życia prywatnego byłego szefa, nowe tajemnice czy chociażby zaskakujące plotki. Brunhilde Pomsel, sekretarka i stenotypistka Goebbelsa, postanowiła opowiedzieć swoją historię w wieku 102 lat (!). Najbardziej interesujące w jej wspomnieniach jest jednak to, czego w nich brakuje.

„W gazecie pisano dużo o różnych wydarzeniach, ale w naszej okolicy było bardzo spokojnie – mówi Pomsel o pierwszych miesiącach władzy Hitlera. – Trzymało się fason. Te awantury były na głównej ulicy, na Steglitzer Strasse, tam odbywały się pochody nazistów. Ale tam się nie zatrzymywało. Toteż wcale nas to w zasadzie nie dotykało. A to, że moi bracia poszli do Jungvolku i nosili te brązowe koszule – no po prostu tak wtedy było. Coraz więcej SA biegało po ulicach. Ale nam nie przeszkadzali”.



Brunhilde Pomsel i Joseph Goebbels FOT. ARCHIWUM

22-letnia Brunhilde pracowała wówczas na część etatu u swojego sąsiada – Żyda zajmującego się ubezpieczeniami. „No, jemu oczywiście nie powiedziałam, że 30 stycznia wiwatowałam Hitlerowi. Tego nie zrobiłam, jednak byłam dostatecznie taktowna, żeby tego nie zrobić biednemu Żydowi. Czegoś takiego się nie robiło” – wspomina Pomsel.

W długiej opowieści o latach młodości zaznacza, że nie interesowała się polityką. Do NSDAP się zapisała, bo zasugerował jej to znajomy nazista, który zatrudnił ją w państwowym radiu. Nie miał żadnych kwalifikacji do pracy w takiej instytucji, był po prostu jednym z ludzi z nadania politycznego, którzy zastąpili zarząd składający się głównie z Żydów. Przez brak kwalifikacji nie utrzymał się długo na stanowisku, ale Brunhilde została. Razem z innymi pracownikami radia musieli chodzić na nazistowskie uroczystości, ale – jak twierdzi – starała się tego unikać. Podobnie jak wolontariatu dla NSDAP.

Mimo że młoda kobieta była w centrum wydarzeń politycznych – pracowała w państwowym radiu, najważniejszym medium III Rzeszy – nadal nie interesowała się polityką. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, jakiej sprawie służy. „Wolne słowo już nie istniało. Wszystko było nadzorowane i przesłuchiwane” – wskazuje Pomsel. O euforii związanej z olimpiadą w Monachium pisze: „To było święto, które Pan Bóg podarował Führerowi”.

Oczywiście informacje o wszystkich wydarzeniach były odpowiednio przedstawiane przez propagandystów pracujących w radiu.

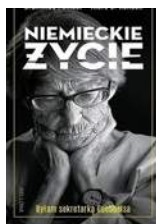
„O anszlusie [Austrii – przyp. red.] pisano z emfazą, jakby cały naród niemiecki był w to zaangażowany. Ludziom z radia całkiem dobrze to wychodziło – wspomina sekretarka Goebbelsa. – Zawsze wszystko naginano pod polecenia, a dzięki tysiącom chętnych pomocników i wiwatujących, którzy w ogóle nie rozumieli, o co chodzi, było to możliwe. Wszyscy oni byli równie głupi jak ja”.

Kolejne wydarzenia wzbudzają w młodej kobiecie już więcej refleksji i poruszają emocje, zwykle trwa to jednak dość krótko. Noc kryształowa – pogrom, w którym zginęło 91 Żydów, spalono 171 synagog i zniszczono tysiące żydowskich sklepów – zwróciła jej uwagę na to, że Żydzi z jej otoczenia zaczęli znikać. Obozy koncentracyjne uznawała za miejsca, gdzie „wsadza się tylko ludzi, którzy powiedzieli coś przeciwko rządowi albo spowodowali bójki”. Była przekonana, że obozy mają służyć resocjalizacji. Nawet

gdy ze względu na skłonności homoseksualne trafił tam prezenter radiowy Jule Jaenish.

Gdy zaczęła się wojna, niemiecka propaganda, wyolbrzymiając krzywdy doznawane przez Niemców, prowokowała coraz większą brutalność niemieckich żołnierzy. Dla Pomsel przykrymi wydarzeniami były przede wszystkim informacje o korespondentach wojennych, których poznała, nim wysłano ich na front. Tak wspomina 1 września 1939 r.: „A potem się zaczęło. Pamiętam lato 1939 r. i dokładnie ten dzień, kiedy wybuchła wojna. Widzę jeszcze, jak stoję w rozgłośni, w biurze przy drzwiach, i przez głośnik słyszę, że rankiem niemieckie jednostki zareagowały na polską napad”.

Najbardziej zdumiewająca w opowieści Brunhilde Pomsel jest jednak obojętność na los najbliższych. W 1936 r. poznała Gottfrieda Kirchbacha, grafika i ilustratora. Jego matka była Żydówką, przez co zgodnie z ustawami norymberskimi w III Rzeszy był uznawany za Żyda. Zakochali się w sobie. Sam Gottfried nie był poddawany represjom, ale wyjaśniał swojej kochance, co naziści zamierzają zrobić z Żydami. Aby uniknąć prześladowań, jeszcze w 1936 r. wyjechał do Amsterdamu. Brunhilde zaszła z nim w ciążę, ale za namową lekarza usunęła dziecko. Przechodziła ciężką chorobę płuc i – jak twierdzi – donoszenie ciąży miało być dla niej niebezpieczne. Od-



**BRUNHILDE POMSEL,
THORE D. HANSEN**
**„NIEMIECKIE ŻYCIE. BYŁAM
SEKRETARKĄ GOEBBELSA”**

BELLONA

Wiedziała kochanka jeszcze kilka razy w Amsterdamie, ale później ich kontakt się urwał. Kirchbach zmarł w 1942 r. W tym samym czasie Brunhilde Pomsel przyjęła propozycję przeniesienia do ministerstwa propagandy i oświecenia publicznego III Rzeszy. Rok później zniknęła jej żydowska przyjaciółka, która, jak się później okazało, zginęła w komorze gazowej.

Auto-perswazja

Usprawiedliwienie się stwierdzeniami „byliśmy głupi” i „nie interesowałam się polityką” można by przyjąć w odniesieniu do pierwszych lat rządów Hitlera. Trudno je jednak uznać w kontekście ostatnich lat wojny, gdy Pomsel została sekretarką Goebbelsa. Nadal była jedną z wielu stenotypistek, miała jednak dostęp do tajnych dokumentów (twierdzi, że nigdy do nich nie zajrzała), była zapraszana na ważne uroczystości NSDAP, a nawet na prywatne kolacje w domu Goebbelsów.

Politolog Thore Hansen, który opatrzył komentarzem wspomnienia Pomsel, przytacza anonimowe badania z lat 90., w których 40 proc. Niemców pamiętających wojnę przyznało, że przed zakończeniem konfliktu wiedzieli, iż Żydzi są masowo mordowani w obozach koncentracyjnych. Co więcej, w badaniach prowadzonych w kwietniu 1946 r. 37 proc. Niemców mieszkających w amerykańskiej strefie okupacyjnej deklaroowało, że wymordowanie Polaków i Żydów było konieczne. Respondenci wiedzieli, że zleceńodawcą badań jest amerykańska administracja wojskowa, która odpowiada również za przydział kartek żywnościowych. Trudno uwierzyć, że pracownicy państwowego radia i ministerstwa propagandy byli zupełnie nieświadomi, co się dzieje. Na tę amnezję nakłada się inne znaczące zjawisko.

„Część młodych ludzi wówczas od czuwała to po prostu jako wyzwolenie – wspomina dojsie Hitlera do władzy. – Moi bracia mogli wieczorem posiedzieć w knajpie, czego wcześniej by nie zrobili.



Adolf Hitler z małżeństwem Goebbelsów i ich dziećmi. FOT. ARCHIWUM

Byli w Hitlerjugend, poza domem, wśród takich jak oni. Gdzieś tam chodzili, gdzieś tam robili wycieczki. Wyrwali się od rodziców. W każdym razie było wiele rzeczy, które nagle się poprawiły. Trzeba było wręcz powiedzieć: a co mi tam, to wszystko jest przecież wspaniałe!”

Po przejściu do radia pensja młodej kobiety wzrosła dwukrotnie, a w ministerstwie zarabiała już czterokrotnie więcej. Szczególnie istotne było też poczucie elitarności, jakie dawała praca w radiu, a następnie w ministerstwie. W tym czasie sześciomilionowa armia bezrobotnych stopniała niemal do zera.

To skutecznie zagłuszyło wyrzuty sumienia wielu Niemców. Brunhilde Pomsel twierdzi, że nie była nazistką, na pewno nie można jej uznać za fanatyczkę. Poczucie obowiązku kazało jej jednak wytrwać w bunkrze pod ministerstwem aż do kapitulacji. Tuż przed upadkiem Berlina przedostała się do rodziców mieszkających w Poczdamie. Postanowiła jednak wrócić i dołączyć do propagandy Goebbelsa. Do końca wystukiwała na maszynie to, co jej podyktowano, i wierzyła, że armia Wencka uderzy na Sowieci, ratując Berlin i III Rzeszę. Za naiwność zapłaciła wysoką cenę.

Sowieci nie ścigali tak niskich rangą pracowników ministerstw, Pomsel nie musiała więc obawiać się denazyfikacji. Zatrzymana z grupą innych urzędników służących do samego końca, trafiła do obozów NKWD w Buchenwaldzie,

Hohenschönhausen i Sachsenhausen, w których spędziła łącznie pięć lat.

Przesłanie wspomnień Pomsel zawartych w książce „Niemieckie życie” oraz filmie dokumentalnym o tym samym tytule można streścić w słowach Edmunda Burke’a: „Dla triumfu zła potrzeba tylko, żeby dobrzy ludzie nic nie robili”. Tym właśnie utartym już tropem idzie autorka wspomnień, a także Thore Hansen, który dokonał ich analizy, próbując odnieść relacje sekretarki Goebbelsa do współczesnej polityki. Hansen ostrzega przed rodzącą się dyktaturą Erdoğan w Turcji, fali przemocy wobec obcokrajowców w Niemczech, Donaldem Trumpem czy „dekonstrukcją demo-

kracji” w Polsce i na Węgrzech. Mimo że szczególnie w przypadku Turcji niektóre odniesienia mogą być trafne, a bierność opinii publicznej jest niepokojąca, takie ujęcie tematu spłyca interpretację zjawiska, z którego działania sama Pomsel nie zdaje sobie sprawy. Sama bierność i konformizm nie wyjaśniają, jak przez lata miała dobre samopoczucie i niezachwianą wiarę w zwycięstwo Niemiec.

Przez 12 lat pracy dla nazistów straciła z ich powodu ukochanego, kolejne przyjaciółki, znajomych i sąsiadów. Przemową Goebbelsa o wojnie totalnej była autentycznie przerażona. Wiedziała, jak propaganda manipuluje Niemcami. Mimo to wykonywała wszystkie zadania dobrowolnie. Nie przymuszał jej aparat przemocy, nie musiała ratować siebie ani rodziny. Służyła nazistom do ostatniej chwili, aż trafiła w ręce Sowieci. 70 lat po tych wydarzeniach uważa, że rozumie już swoje błędy, ale nie czuje się winna. „Przecież niczego nie zrobiłam oprócz pisania na maszynie u pana Goebbelsa. Nie, poczucia winy w sobie nie wzbudzę. [...] Natomiast jestem oczywiście winna w sensie głupoty”. To pokazuje, że człowiek pracujący dla reżimu, w odpowiednich warunkach, jest w stanie usprawiedliwić przed samym sobą niemal wszystkie świnstwa, których się dopuścił, nie zdając sobie sprawy, że powoli daje się łamać. I to jest najbardziej przerażające przesłanie Brunhilde Pomsel.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. SEVERIN STALDER/WIKIMEDIA COMMONS



Łukasz Czarnecki

Większość obiegowych opinii o Murze to bajki. Obalenie największego mitu wstrząsnęło niedawno całymi Chinami

Wielki Mur Chiński to najbardziej rozpoznawalny symbol Państwa Środka. Ten największy stworzony przez człowieka system fortyfikacji widnieje na pocztówkach, występuje w roli bohatera filmów przygodowych i podręczników szkolnych, a wejście na niego jest gwoździem programu każdej wycieczki odwiedzającej Pekin.

Chiny / Prawdziwa historia vs mity

Tajemnice Wielkiego Muru



Wielki Mur w grafice

FOT. ARCHIWUM

■ Od czasu otwarcia się Chińskiej Republiki Ludowej na świat zewnętrzny Wielki Mur Chiński odwiedziły miliony przybyszów z Zachodu. Dominowali wśród nich zwykli turyści, ale spacer po leżącym na północ od Pekinu odcinku fortyfikacji odbyło też ponad 400 polityków z Europy, Azji i obu Ameryk, kontynuując trend zapoczątkowany przez Richarda Nixona. Chiński rząd organizuje wycieczki dla uczniów ze szkół całego Państwa Środka, podążając za myślą przewodniczącego Mao, który w jednym ze swych wierszy twierdził, że „nie jest prawdziwym człowiekiem, kto nie dotrze do muru”.

Zarówno Chińczycy, jak i ludzie Zachodu mają głowy wypełnione niezwykłymi informacjami o fortyfikacjach. Ich budowę zapoczątkował pierwszy cesarz zjednoczonych Chin – Qin Shi Huangdi. Chroniły one cywilizowanych Chińczyków przed najazdami barbarzyńskich plemion koczowników, a ciągnący się przez tysiące kilometrów sznur umocnień widać z kosmosu. Najbardziej sensacyjnym i zaskakującym faktem dotyczącym Wielkiego Muru jest jednak co innego – wszystkie te popularne wyobrażenia z rzeczywistością mają bardzo niewiele wspólnego.

Przykład? Proszę bardzo: wszyscy wiedzą, że dawne Chiny były otoczone najdłuższym zbudowanym przez człowieka murem. Zdanie to wydaje się prawdziwe. Są tylko dwa szkopy – po pierwsze, fortyfikacje nie obejmowały całego Państwa Środka i skupiały się na jego północnej flance, po drugie Wielki Mur Chiński nie jest jedną budowlą – to konglomerat dłuższych i krótszych murów oraz twierdz. Co więcej, owe umocnienia w wielu przypadkach zupełnie nie przypominają tego, co staje

nam przed oczami, gdy słyszymy nazwę owego kompleksu. Wspaniale odnowiony odcinek pod Pekinem bynajmniej nie jest reprezentatywny, ponieważ długie partie murów są zrujnowane.

Tłumy turystów truchających z podziwem po odrestaurowanych fragmentach mają do czynienia z potiomkinowską wioską. Dlatego wydaje się, że sensowniejsze byłoby mówienie nie o Wielkim Murze, lecz o „długich murach”, tak bowiem dosłownie można przetłumaczyć chińską nazwę fortyfikacji. Sam termin „Wielki Mur” nie jest zresztą nawet koncepcją chińską, lecz został wymyślony przez Europejczyków, a następnie dopiero w XX w. przejęty przez rodaków Konfucjusza.

Skoro już ustaliliśmy najważniejszy fakt naszych rozważań, to czas ruszać dalej. Pora obalić najbardziej popularne mity dotyczące tych największych w dziejach ludzkości fortyfikacji.

Cesarz budowniczy

Ile lat ma Wielki Mur? W powszechnym przekonaniu jest równie stary co państwo chińskie. Człowiekiem, który rozkazał jego budowę, miał być rzekomo założyciel dynastii Qin – cesarz Qin Shi Huangdi. O rozpoczętym przez tego okrutnego despotę programie budowy fortyfikacji krążą legendy: w trakcie wznoszenia muru śmierć miało znaleźć milion ludzi, a ciała zmarłych robotników zakopywano w fundamentach umocnień. Mur wzniesiono rękami skazańców z całego Państwa Środka. Okrucieństwo cesarza nie ominęło nawet jego najbliższej rodziny, pierworodny syn tyrana – księżę Fusu – także został zesłany na północ, by

kierować budową. Chińscy chłopci po dziś dzień opowiadają legendy o tamtych czasach, a ludowa tradycja przypisuje Qin Shi Huangdi moce czarnoksięskie, dowodząc, że tak wielkie dzieło mogło powstać tylko dzięki pomocy magii.

Opinia łącząca powstanie Wielkiego Muru z osobą Pierwszego Cesarza ma korzenie historyczne – informacje o zainaugurowaniu budowy umocnień przez Qin Shi Huangdi znaleźć możemy w „Zapiskach historyka” Sima Qiana, który nazywany bywa chińskim Herodotem. Jest tylko jeden szkopyt, pomijany przez autorów szkolnych czytanek – dziejopis nie rozwija tej myśli. O tej pierwszej inkarnacji Wielkiego Muru wiemy bardzo niewiele. Wspaniałe fortyfikacje, które dziś turyści podziwiają pod Pekinem, pochodzą dopiero z XVI w., z czasów dynastii Ming, i nie mają nic wspólnego z Pierwszym Cesarzem. Najprawdopodobniej dopiero w epoce rządzącej od XVII w. dynastii Qing wyobraźnia ludowa, w której zatarły się okoliczności powstania umocnień, połączyła je z twórcą cesarstwa. Znany z megalomanii i wielkich projektów budowlanych imperator wymienienie nadawał się na bohatera mitycznej opowieści o powstaniu Wielkiego Muru. Tymczasem, jak dowodzi m.in. brytyjski historyk John Man, owe najdawniejsze fortyfikacje były o wiele mniej imponujące niż to, co oglądamy dzisiaj, właściwie trafniejszą nazwą niż



Cesarz Qin Shi Huang

FOT. ARCHIWUM

mury byłyby „wały”. Użytym do ich stworzenia materiałem budowlanym byłby bowiem nie kamień ani cegły, lecz ubita ziemia.

Podróżnicy i bazarze

Komu zatem zawdzięczamy rozpowszechnienie się przekonania, że Wielki Mur ma ponad dwa tysiące lat? Odpowiedź jest bardzo prosta – europejskim podróżnikom odwiedzającym Państwo Środka. Pierwsze wieści o imponujących chińskich fortyfikacjach dotarły na Stary Kontynent za pośrednictwem jezuitów działających na cesarskim dworze. Kiedy w roku 1793 do Chin przybyło brytyjskie poselstwo, jego uczestnicy, podróżując wzdłuż Wielkiego Muru do rezydencji chińskiego imperatora w Jeholu (dzisiejsze Chéngdē), wymusili na swej eskorcie zatrzymanie się pod umocnieniami i zwiedzili ich (będący zresztą w ruinie) odcinek. Brytyjczycy, widząc smutny stan umocnień, uznali, że muszą być one starożytne i gdy wrócili na Wyspy, opisali na potrzeby swych rodaków Wielki Mur jako liczący sobie dwa tysiące lat artefakt sprzed początków naszej ery.

Człowiekiem, który przyczynił się do umocnienia legendy o rzekomo pradawnym charakterze chińskiego kompleksu, był późniejszy odkrywca Troi – Heinrich Schliemann, biznesmen, podróżnik, łowca przygód i poszukiwacz skarbów, który w latach 60. XIX w. odwiedził Chiny i zwiedził Wielki Mur. W jednej ze swoich książek określił go później mianem „dzieła przedpotopowych gigantów”. Stwierdzenie to zostało przyjęte przez zachodnią opinię publiczną jako fakt i powtarzane w dziesiątkach popularnych publikacji zaczęło żyć własnym życiem.

Kosmiczna bzdura

Istnieje też inne stwierdzenie dotyczące Wielkiego Muru, które zrobiło międzynarodową karierę. Mit ten zrodzony na Zachodzie, opuściwszy matecznik, zatoczył szeroki łuk i objawszy swym zasięgiem cały świat, dotarł do Chin, trafiając tam do podręczników szkolnych. Co gorsza, ów fałszywy pogląd jest chyba najbardziej znanym „faktem” dotyczą-

cym ogromnych chińskich fortyfikacji i przychodzi na myśl każdemu, kto o nich słyszy. Mowa mianowicie o pokutującym wciąż przeświadczeniu, że Wielki Mur widać z kosmosu.

Jeżeli ktokolwiek uważał, że mieszkający na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej astronauta mogą podziwiać przez bulaje sławne umocnienia, to czas pozbyć się złudzeń – z okołoziemskiej orbity Wielkiego Muru nie widać. Sprawdził to empirycznie płk Yang Liwei, który w roku 2003 jako pierwszy Chińczyk w dziejach poleciał w przestrzeń kosmiczną. Gdy dzielny astronauta powrócił na Ziemię, jedno z zadanych mu przez dziennikarzy pytań dotyczyło tego, jak prezentuje się Wielki Mur z wysokości orbity. Nieco zażenowany swą rolą burzyciela narodowej mitologii pułkownik wyznał wówczas, że w trakcie swej kosmicznej podróży przekonał się, iż wbrew temu, czego uczy się chińskie dzieci w szkołach podstawowych, najśłynniejszy zabytek Państwa Środka nie jest widoczny z przestrzeni kosmicznej. Słowa te odbiły się szerokim echem w ojczyźnie Konfucjusza i wymusiły nawet na przedstawicielach ministerstwa edukacji wydanie oświadczenia przeproszającego za wprowadzanie pokoleń uczniów w błąd.

Wielki Mur i Marsjanie

Skąd jednak wzięła się opowieść dotycząca rzekomych kosmicznych koneksji Wielkiego Muru? Cóż, w tej sprawie swoje macki nurzali akurat mieszkańcy Marsa, których rzekomym odkryciem ekscytowali się europejcy i amerykańscy astronomowie w XIX w.

W roku 1877 ówczesny świat naukowy obiegrała sensacyjna informacja o dostrzeżeniu na powierzchni Czerwonej Planety tajemniczych linii mających jakoby być kanałami nawadniającymi zbudowanymi przez zamieszkujące tam-

tejszy glob istoty inteligentne. Teoria o istnieniu Marsjan stała się szalenie popularna i choć z czasem okazało się, że rzekome kanały są złudzeniem optycznym, sporo namieszała w wiktoriańskim społeczeństwie.

Jednym z efektów „odkrycia” marsjańskich linii irygacyjnych było to, że zainspirowało ono XIX-wiecznych naukowców do zastanowienia się, jakie to dzieła rąk ludzkich mogą obserwować przez swe lunety ich koledzy po fachu z Marsa. I tak w roku 1893 w jednym z ówczesnych periodyków naukowych pojawił się artykuł mówiący, że Wielki Mur widoczny jest z kosmosu. Empirycznie się tego w tamtych czasach oczywiście sprawdzić nie dało, ale teoria ta brzmiała tak chwytnie, że została podchwyciona zarówno przez wiktoriańskich astronomów, jak i zwykłych zjadaczy chleba. Fantastycznemu stwierdzeniu dawano całkowitą wiarę, a za prawdę objawioną uznano je w latach 30. XX w., gdy rysownik Robert Ripley opublikował książeczkę zawierającą podane w humorystyczny sposób „fakty naukowe”. Od tego czasu owa kosmiczna bzdura została już powielona i powtórzona miliony razy na kartach wszelkiego rodzaju przewodników turystycznych, a nawet poważnych opracowań dotyczących kultury i historii Chin.

Jak widać, wokół wybudowanego przez dawnych chińskich cesarzy słynnego kompleksu fortyfikacji, znanego jako Wielki Mur, przez lata narosło wiele przekłamań i kompletnie nieprzystających do rzeczywistości legend. W żaden sposób nie umniejsza to majestatu ani wyjątkowości owego zabytku. Jeśli więc kiedyś zawitają państwo do Pekinu, to koniecznie zobaczcie umocnienia dynastii Ming. Pamiętajcie tylko, by nie wierzyć bezkrytycznie we wszystko, co przeczytacie w przewodniku.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor pragnie serdecznie podziękować towarzyszącej wyprawy do Chin – pani Joannie Kisielak i panu Sebastianowi Łakomemu.



Chiński miecz
FOT. ARCHIWUM

Wywiad

/ Z Laurence'em Reesem, autorem książki „Holokaust. Nowa historia”

Ostatni rozdział Zagłady



rozmawia Piotr Włoczyk

/ Żydzi błagali aliantów o zniszczenie infrastruktury śmierci w Auschwitz-Birkenau. Dlaczego Amerykanie i Brytyjczycy odmówili?

PIOTR WŁOCZYK: Alianci nigdy nie zbombardowali komór gazowych ani krematoriów w Auschwitz. Dlaczego?

LAURENCE REES: Niewątpliwie byłby to wspaniały gest wobec mordowanych Żydów, ale musimy pamiętać o kilku ważnych argumentach. Najpierw odpowiedzmy sobie na pytanie: Kiedy alianci się dowiedzieli o działaniu fabryki śmierci w Auschwitz-Birkenau? Mówimy o późnej wiosnie 1944 r., gdy zdecydowana większość ofiar Holokaustu została już wymordowana. Gdy alianci zaczęli się zastanawiać nad wykonalnością takich planów, ponad 400 tys. węgierskich Żydów zostało już zamordowanych.

Wciąż jednak komory gazowe i krematoria pracowały. Można było spróbować coś z tym zrobić.

Tak, ale gdy przyjrzymy się temu problemowi, widać, jak wiele tu pytań. Pierwsze: Jak można było precyzyjnie zbombardować tylko krematoria i komory gazowe, bez narażania na ryzyko baraków więźniów? Pamiętajmy, że mówimy o realiach II wojny światowej, gdy precyzyjne zbombardowanie kilku konkretnych budynków było kolosalnym problemem. Pytanie, co by się stało, gdyby doszło do błędu – co było bardzo prawdopodobne – i bomby spadły na baraki? Doszłoby do masakry, za którą odpowiedzialiby alianci. Nawet jednak gdyby wysłano samoloty w tak nieprawdopodobnie trudną misję i zakończyłaby się ona sukcesem, czy zrównanie z ziemią komór gazowych i krematoriów zatrzymałoby mordy?

Komory gazowe nie były najbardziej efektywną metodą masowej eksterminacji?

Tak, były, ale Niemcy mieli już przećwiczone inne skuteczne metody mordowania. Choćby w Babim Jarze w Kijowie zabili dziesiątki tysięcy ludzi za pomocą broni maszynowej. To samo powtórzyło się podczas operacji „Dożynki” na terenie dystryktu lubelskiego w GG. Myślę, że nawet gdyby udało się przeprowadzić

taką misję bombową, to w ostatecznym rozrachunku nie pozwoliłoby to na uratowanie nawet jednego życia.

A jednak Winston Churchill – w przeciwieństwie do prezydenta USA – poważnie brał to pod uwagę. Gdy w lipcu 1944 r. Światowy Kongres Żydów w Genewie apelował o zniszczenie komór gazowych, Churchill napisał do Anthony'ego Edena: „Niech pan uzyska od sił powietrznych, ile się da, a w razie potrzeby powoła się na mnie”. Dlaczego dobre chęci Churchilla okazały się tu niewystarczające?

Ponieważ brytyjskie ministerstwo lotnictwa przedstawiło te wszystkie wątpliwości, o których już wspominałem. Pojawiła się sugestia, żeby zajęli się tym Amerykanie, którzy byli wyspecjalizowani w przeprowadzaniu nalotów w dzień – jak wiadomo, taką operację trzeba byłoby przeprowadzić za dnia. Amerykanie jednak nie wykazali tu dużego entuzjazmu. Poza brakiem wiary w wykonalność tego przedsięwzięcia amerykański Departament Wojny uważał, że taka misja niepotrzebnie angażowałaby bombowce uczestniczące w ważniejszych – z punktu widzenia prowadzenia wojny – misjach. Tutaj dochodzimy do kluczowej kwestii.



LAURENCE REES
„HOLOKAUST. NOWA HISTORIA”
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Z dokumentów wynika, że według aliantów najlepszym sposobem na zatrzymanie masowych mordów było po prostu pokonanie Hitlera. To był nadrzędny cel i tak to wówczas tłumaczono.

Zbombardowanie torów do Auschwitz nie było bardziej realnym celem niż zniszczenie komór gazowych i krematoriów?

To też nie jest taka prosta sprawa, jak by się wydawało, ponieważ Niemcy mogli łatwo poprowadzić transporty innymi szlakami. Ten słynny tor przechodzący przez bramę Birkenau, który jest doskonale wszystkim znany, został położony stosunkowo późno po to, by ułatwić zgładzenie węgierskich Żydów. Wcześniej naziści nie mieli problemu ze zmuszeniem ludzi do maszerowania kilometrami do komór gazowych. Poza tym wszyscy



Brama obozu Auschwitz
FOT. WIKIPEDIA



Lotnicze zdjęcie obozu
Auschwitz-Birkenau FOT. ARCHIWUM

■ chyba mamy w głowach obrazy Żydów prowadzonych w marszach śmierci pod sam koniec wojny. Widać więc, że to nie był dla nazistów większy problem.

Można jednak było przynajmniej spróbować coś zrobić w tej sprawie. David Ben Gurion, przewodniczący komitetu wykonawczego Agencji Żydowskiej, spytał w lipcu 1944 r. o Auschwitz-Birkenau: „Czy postąpilibyście tak samo, gdyby zamiast Żydów co dzień torturowano tutaj, palono żywcem i duszono gazem tysiące angielskich, amerykańskich czy rosyjskich kobiet, dzieci i starców?”.

To oczywiście trudne słowa, bo czy ktokolwiek wierzy, że Brytyjczycy nie przeprowadziliby choćby najbardziej ryzykownej operacji, z minimalnymi szansami na powodzenie, gdyby w Auschwitz-Birkenau byli mordowani Brytyjczycy? Oczywiście, że doszłoby do takiej operacji choćby dlatego, by pokazać, że nam zależało. To byłby gest dobrej woli. Najwyraźniej alianci uznali jednak, że wykonanie takiego gestu w stosunku do Żydów byłoby zbyt kosztowne.

Trudno nam dziś powiedzieć, co decydenci z obozu aliantów naprawdę myśleli na temat apeli o przeprowadzenie operacji, które mogłyby pomóc uratować część Żydów. Alianci potępiali Zagładę, obiecywali, że po wszystkim pociągną morderców do odpowiedzialności, ale twierdzili, że szybkie rozgromienie Niemiec to najlepsza metoda ratunku. Na ile sami w to wierzyli? Bardzo trudno nam na to pytanie odpowiedzieć. Moim zdaniem cała ta debata na temat bombardo-

wania infrastruktury przemysłu śmierci to trochę temat zastępczy, ponieważ nazisci naprawdę udowodnili, że mają wiele sposobów na zabijanie ludzi.

Waląca się w gruzu III Rzesza mordowała na masową skalę do samego końca, ale widać tu pewne wyjątki. Co się stało z fanatyzmem Himmlera pod koniec wojny?

Nie ulega wątpliwości, że Hitler chciał zabijać Żydów bez względu na okoliczności. Jednak już Himmler inaczej to widział. Szef SS wyobrażał sobie bowiem świat po upadku hitleryzmu. Dlatego wszedł w bardzo dziwne negocjacje ze Szwedami, by wypuścić małą liczbę Żydów. To był czysty pragmatyzm. Hitler nigdy tak na to nie patrzył. Jego Rzesza miała być zwycięska albo upaść w płomieniach, razem w ludźmi, których uważał za śmiertelnych wrogów.

Trzeba pamiętać, jaki wpływ miała I wojna światowa na Hitlera. Ten człowiek szczerze wierzył w niedorzeczną teorię spiskową, że Niemcy przegrały z powodu Żydów. I że Żydzi na tym skorzystali. Przegrana wojna była dla Hitlera potężnym wstrząsem, ponieważ dopiero w okopach znalazł dla siebie cel w życiu. To wyjaśnia, dlaczego potem z taką determinacją szukał zemsty na Żydach. W końcu podjął decyzję, że nawet jeżeli Niemcy przegrają wojnę, to „Żydzi na niej nie zarobią”. Mieli zginąć. Do samego końca tak myślał. Himmler nie zamierzał jednak stracić życia w zgłiszczach po III Rzeszy.

Przecież ta przeraźliwa PR-owska kampania Himmlera podjęta w ostatnich miesiącach wojny wygląda na absurd. Alianci mieli zapomnieć o tym, co szef SS robił wcześniej?

Himmler uważał, że to nie będzie

wielki problem. Tworząc filmy dokumentalne o II wojnie światowej, poznałem wielu nazistów. Myślałem, że kontakty z nimi będą trudne, ponieważ w czasie wojny nasze kraje były wrogami. Tymczasem odkryłem, że większość z nich autentycznie uwielbiała Brytyjczyków.

Co ciekawe, nawet po latach odbierali wojnę między oboma naszymi państwami jako katastrofę. To przecież nigdy nie był element planu Hitlera. Wielka Brytania miała być partnerem Niemiec. My mieliśmy królować na morzach i oceanach, cieszyć się swoim światowym imperium, natomiast Niemcy mieli być potęgą na kontynencie europejskim.

Jeden z byłych esesmanów powiedział mi lata temu: „Jaka szkoda, że toczyliśmy wojnę. Wasze imperium rozleciało się z tego powodu, dziś nasz kraj jest podzielony, a bolszewicy wygrali”.

Himmler wiedział, że przyszłość to walka Zachodu ze Stalinem. Był przekonany, że alianci będą potrzebowali potężnych Niemiec, by wygrać ten konflikt. Uważał, że będzie więc niezbędny. Myślał, że antykomunizm będzie wystarczającym argumentem, by puścić w niepamięć zbrodnie przeciwko Żydom. Z naszego punktu widzenia to absurdalny pomysł, ale on miał inne zdanie.

W swojej książce używa pan bardzo często słowa „naziści”. Tymczasem wielu Polaków uważa, że w kontekście zbrodni lepiej mówić o „Niemcach”...

Wszędzie tam, gdzie mówię o twórcach tej zbrodniczej polityki, używam słowa „naziści”. Przecież Hitler i Himmler byli członkami partii nazistowskiej.

Używa pan jednak tego słowa również w stosunku do np. strażników obozowych.

Rozumiem to, że Polacy są na tym punkcie bardzo wyczuleni, i to szanuję. Mnie też denerwują bardzo krzywdzące określenia w stylu „polskie obozy śmier-

ci”, które pojawiają się czasem w mediach. Mam nadzieję, że uda się wyeliminować w przyszłości te rzeczy.

Jeżeli jednak mówilibyśmy w kontekście Holokaustu o „Niemcach”, to tworzylibyśmy inne problemy. Przecież znaczna liczba strażników w obozach zagłady była pochodzenia ukraińskiego. Nie da się też powiedzieć, że „Niemcy” odpowiadają za wszystkie ofiary Einsatzgruppen – w krajach bałtyckich większość morderców to nie byli Niemcy, tylko lokalni mieszkańcy.

Myślę, że słowo „naziści” – choć często również ono nie jest do końca precyzyjne – lepiej się sprawdza w przypadku opisu sprawców Holokaustu.

Gdybyśmy cały czas mówili w tym kontekście tylko o „Niemcach”, to zdejmowalibyśmy tym samym odpowiedzialność ze sprawców innego pochodzenia. Co np. z tymi Austriakami, którzy odegrali potworną rolę w zbrodniach? Na czele z samym Hitlerem?

Wielu Polaków uważa jednak, że zbyt częste używanie słowa „naziści” sprawi, iż te wszystkie zbrodnie przestaną się w końcu kojarzyć z Niemcami...

Rozumiem to. Gdybym był Polakiem, to pewnie tak właśnie bym się czuł: „Świat jest przeciwko nam i nie rozumie tej skomplikowanej historii”. Opowiem panu pewną historię. Jakś czas temu byłem na festiwalu literackim.

Siedziałem obok bardzo znanej brytyjskiej aktorki. Ta kobieta była pochodzenia żydowskiego. W trakcie rozmowy



Heinrich Himmler FOT. NAC

napomknąłem, że napisałem książkę o Holokauście. Odpowiedziała na to, że jej ojciec zawsze powtarzał jej: „Polacy są najgorsi ze wszystkich”... I rozwinęła myśl: „Niemcy nigdy nie dokonaliby tego wszystkiego, gdyby nie antysemityzm w Polsce. To przecież dlatego wszystkie obozy śmierci były w Polsce”. Ręce mi opadły. „Czy ma pani pojęcie, jak bardzo się pani myli?” – próbowałem jej przemówić do rozumu. Wywiązała się z tego kłótnia. Przywoływałem liczbę Polaków, którzy w czasie wojny pomagali Żydom w Warszawie, narażając swoje życie i życie własnych rodzin. Wyjaśniłem jej, że to

na Litwie i Ukrainie miejscowa ludność brała udział w masowym mordowaniu Żydów, a w Polsce nie było widać niczego podobnego na taką skalę. Pytałem, czy słyszała o cierpieniach obywateli Polski, którzy nie byli pochodzenia żydowskiego. Tłumaczyłem jej, że wielu Polaków ginęło razem z Żydami w Auschwitz-Birkenau.

Co pan usłyszał w odpowiedzi?

„Nie wierzę w te rzeczy. Ufam zdaniu mojego ojca”. Nie jestem Polakiem, a mimo to byłem pełen oburzenia. Dlatego potrafię sobie wyobrazić, co czują Polacy, gdy słyszą od ludzi z zagranicy takie straszne słowa.

Równocześnie jednak nie wierzę, by używanie słowa „naziści” sprawiło, że świat zapomni o tym, kto stał za zbrodniami. Mówienie o „nazistach” nie zdejmie odpowiedzialności z Niemców. To nie jest w ogóle problem. Niemcy generalnie nie wypierają się zbrodni popełnionych w czasie II wojny światowej. Tylko bardzo nieliczni wybielają III Rzeszę.

Wie pan, gdzie jest z tym problem? Kiedyś robiłem filmy dokumentalne na temat udziału Japonii w wojnie. W Japonii przerażająco wielka liczba obywateli nie pogodziła się z przeszłością i umniejsza skalę zbrodni reżimu w Tokio. To jest prawdziwy problem! Jednak po części jest to wina samych aliantów – pozwolili bowiem cesarzowi, który przewodził japońskiemu narodowi, kiedy popełniane były te potworne zbrodnie, by pozostał nim również po wojnie! Dla mnie to absolutny skandal.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

TA KSIĄŻKA ZMIENI BIEG HISTORII

100 LAT
BELLONA
www.bellona.pl

NOWA KSIĄŻKA
CHRISTOPHERA
MACHTA,
AUTORA
BESTSELLEROWEJ
SPOWIEDZI
HITLERA!

patronat medialny

H
HISTORIA

HISTORIA
RECENZJE

DEMOTYWATORY.PL

HISTORIA
ORG.PL

LUBIE
CZYTAĆ

{ opetani
czytaniem }

MIESTRZOSTWACH

II WOJNA ŚWIATOWA
WARSZAWA

1918–1922 / Jak Piłsudski tworzył zręby polskiej demokracji



Józef Piłsudski w drodze na inauguracyjne posiedzenie Sejmu Ustawodawczego FOT. NAC

Wielki człowiek małej konstytucji



Maciej Rosalak

/ – Piłsudski demokratą?
– Wolne żarty!
– To nie żarty, ale fakty.
Dowody przyniosły pierwsze chwile Niepodległej

Podczas dotychczasowych i trwających przecież nadal obchodów 100-lecia niepodległej Polski może już niezbyt liczni, ale nadspodziewanie zajadli krytycy Józefa Piłsudskiego próbują jego osiągnięcia pomniejszyć bądź przypisać je komuś innemu. I tak słyszałem np., że po powrocie z Magdeburga Piłsudski

wręcz zmusił gen. Tadeusza Jordana Rozwadowskiego do ustąpienia ze stanowiska dowódcy Polskiej Siły Zbrojnej podległej Radzie Regencyjnej, a następnie z dowodzenia na froncie galicyjskim. Zapewne z zawiści. Jest to tak nieprecyzyjne, że po prostu nieprawdziwe. Otóż od 24 października 1918 r., czyli po dymisji generalnego gubernatora warszawskiego Hansa von Beselera ze stanowiska zwierzchnika Polskiej Siły Zbrojnej, kierowała nią Rada Regencyjna przy pomocy szefa sztabu tego wojska gen. Rozwadowskiego. Nazajutrz po powrocie Piłsudskiego z Magdeburga Rada Regencyjna sama, i to chętnie, oddała mu wojsko pod komendę. Dlatego od 11 do 14 listopada Józef Piłsudski był, używając oficjalnego nazewnictwa, naczelnym dowódcą Wojsk Polskich Królestwa Polskiego (następnie – do 14 grudnia 1922 r. – Republiki Polskiej i II Rzeczypospolitej).

Przypomnijmy przy okazji, że – wbrew opiniom o tym, że 11 listopada nie wydarzyło się nic na tyle szczególnego, by tego dnia obchodzić święto niepodległości – to właśnie wtedy Warszawa (i nie tylko) wyzwoliła się spod okupacji wojska niemieckiego. Stało się tak dzięki Piłsudskiemu, który ewakuację Niemców ustalił podczas negocjacji z ich Radą Żołnierską. Rozbrojenie i wyjazd garnizonu przebiegły – poza incydentami w ratuszu i na Cytaдели – dość spokojnie. A przecież Niemcy mieli w Królestwie 60 tys. uzbrojonych po zęby żołnierzy, natomiast Polska Siła Zbrojna liczyła dokładnie 9373 żołnierzy, co nawet po połączeniu z oddziałami rządu Ignacego Daszyńskiego w Lublinie (11,5 tys.) i resztkami I Korpusu Polskiego (150) dawało siłę niemal trzykrotnie mniejszą. W Galicji istniały wprawdzie jeszcze oddziały Polskiej Komisji Likwidacyjnej (8250 żołnierzy), lecz na gwałt były one potrzebne do obrony Lwowa przed ukraińską agresją.

Po odsieczy i wyzwoleniu Lwowa czekało Polaków jeszcze pół roku walk z wojskami Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, które do połowy marca 1919 r. czatowały zresztą tuż pod Lwowem. Ogromną zasługą gen. Rozwadowskiego były ówczesna obrona miasta i utworzenie w Galicji polskiego frontu. Jego odwołanie i powierzenie dowództwa gen. Wacławowi Iwaszkiewiczowi-Rudoszańskiemu – który zresztą z zadaniami dobrze się wywiązał – było związane z powierzeniem Rozwadowskiemu niezwykle odpowiedzialnej funkcji szefa Polskiej Misji Wojskowej w Paryżu, gdy ważył się tam kształt naszych granic. Ustosunkowany, ceniony i niezwykle zdolny generał przysłużył się wtedy ojczyźnie jeszcze bardziej niż na froncie. A jego talent wojskowy naczelną wódz docenił chyba najstosowniej, gdy uczynił zeń 22 lipca 1920 r., gdy bolszewicy parli na Warszawę, szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

Krytycy widzą w Piłsudskim polityka nad wyraz bezwzględny, a wojskowego dowódcę jako samouka, któremu sprzyjało szczęście. Natomiast autokratyzm jego pomajowej władzy rzutują bezrefleksyjnie również na czas, gdy był naczelnikiem państwa (do 20 lutego 1919 r. – tymczasowym). Mówią zresztą, że sam się nim uczynił, jakby objął ten urząd w wyniku jakiegoś zamachu stanu. A tu niespodzianka: rzadko w naszej historii zdarzali się mężowie stanu tak oddani republikańskiej idei, samej istocie demokracji, jak Józef Piłsudski w latach 1918–1922. Poniżej kilka faktów naprawdę godnych uwagi.

Naczelnik Państwa

Rada Regencyjna rozwiązała się 14 listopada 1918 r., cedując na Józefa Piłsudskiego swe uprawnienia i upatrując w nim męża opatrnościowego, który zapobiegnie rewolucji robotniczej, a jednocześnie scali naród i państwo oraz podoła jego obronie. Wzorem Tadeusza Kościuszki, który – jako Najwyższy Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej sprawował zarazem najwyższą władzę wykonawczą – Piłsudski wydawał dekrety. Pierwszy z nich, wydany już 14 listopada, zmieniał nazwę państwa na: Republika Polska. Dekretem z 22 listopada – który wszedł w życie 29 listopada – Józef Pił-

sudski uczynił Tymczasowego Naczelnika Państwa najwyższą władzą Republiki Polskiej. Ustalony w tym akcie ustrój republikański potwierdził (1919) Sejm Ustawodawczy w nazwie Rzeczypospolitej Polskiej.

Powierzenie władzy Piłsudskiemu okazało się wyborem najtrafniejszym z możliwych, zwłaszcza że Piłsudski nawiązał rychło kontakt z założonym przez Romana Dmowskiego Komitetem Narodowym Polskim w Paryżu, uznanym od ponad roku przez aliantów zachodnich za reprezentanta interesów polskich. W styczniu 1919 r. Naczelnik wysłał doń swych przedstawicieli i odtąd komitet stał się oficjalnym przedstawicielstwem Rzeczypospolitej na paryskiej konferencji pokojowej.

„Państwo Polskie powstaje z woli całego narodu i opiera się na podstawach demokratycznych. Rząd Polski zastąpi panowanie przemocy, która przez sto czterdzieści lat ciążyła nad losami Polski...” – to słowa z noty wysłanej 16 listopada 1918 r. przez Piłsudskiego do głów państw zwycięskiej koalicji zachodniej. Nadano ją z nieuszkodzonej stacji radiotelegraficznej, którą Niemcy pozostawili w Cytadeli warszawskiej, rozpinając antenę między dwoma masztami 70-metrowej wysokości oraz ukrywając w kazamatach działobitni nadajnik iskrowy firmy Telefunken. Następnego dnia Piłsudski powołał rząd socjalisty Jędrzeja Moraczewskiego, bardziej akceptowanego przez prawicę narodową

od kilkudniowego premiera Ignacego Daszyńskiego. Rząd ten, który rozpoczął urzędowanie 18 listopada, powtórzył główne zapowiedzi poprzednika, zarówno socjalne, jak i ustrojowe, które były po myśli szerokich warstw społecznych. 23 listopada – na mocy dekretu Tymczasowego Naczelnika Państwa – wprowadził przede wszystkim ośmiogodzinny dzień pracy i 46-godzinny tydzień pracy (w soboty trwała ona sześć godzin). Za pierwsze dwie godziny nadliczbowe płacono po 150 proc. stawki, a za następne – po 200 proc.

Natomiast czynne i bierne prawo wyborcze przyznał kobietom dekret Tymczasowego Naczelnika Państwa o ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego z 28 listopada. W art. 1 stanowił: „Wyborcą do Sejmu jest każdy obywatel państwa bez różnicy płci”, a w art. 7: „Wybieralni do Sejmu są wszyscy obywatele(łki) posiadający czynne prawo wyborcze”. Dzięki temu w Sejmie (notabene mieszczącym się do 1928 r. w dawnym Aleksandryjsko-Maryjskim Instytucie Wychowania Panien) zasiadło osiem niewiast. Były to: 48-letnia doktor botaniki, reprezentantka narodowców – Gabriela Balicka; działaczki oświatowe ludowców – 44-letnia Jadwiga Dziubińska oraz 40-letnia Irena Kosmowska; działaczka narodowców, nauczycielka i feministka – 33-letnia Maria Moczyłowska; socjalistka i działaczka Ligi Kobiet Polskich (prywatnie żona byłego już premiera) – 46-letnia Zofia Mora-



■ czewska; niepodległościowa działaczka pomorska, przedstawicielka narodowców, a potem ludowców – 37-letnia Anna Piasecka; współzałożycielka wielkopolskich organizacji narodowych i oświatowych 41-letnia Zofia Sokolnicka; oraz aktywistka narodowa i niepodległościowa z Wielkopolski 39-letnia Franciszka Wilczkowiakowa. Jak widzimy, wszystkie miały doświadczenia działalności publicznej, a większość (pięć) stanowiły reprezentantki ugrupowań endeckich...

Warto przypomnieć, że przed Polską pełne prawa wyborcze przyznały w Europie kobietom tylko kraje skandynawskie (ale Szwecja dopiero w 1921 r.), w 1918 r. – Litwa, Niemcy i Austria (Wielka Brytania tylko częściowe; pełne 10 lat później), natomiast Portugalia i Hiszpania w roku 1931, Francja – w 1944, a Włochy – w 1946. W Rosji prawa wyborcze przyznał kobietom demokratyczny rząd po rewolucji lutowej 1917 r. Bolszewicy utrzymali je, z tym że wszyscy obywatele i tak głosować mogli tylko na nich. Prawa te we wszystkich stanach USA zaczęły zaś obowiązywać po wprowadzeniu do konstytucji 19. poprawki w 1920 r.

Socjalistyczny rząd Moraczewskiego podał się do dymisji 16 stycznia, gdyż Naczelnik chciał pełnego porozumienia z prawicą, reprezentowaną w kraju przez silne stronnictwa narodowe (ogólnie zwane endecją), a w Paryżu, gdzie znalazło się na konferencji pokojowej centrum polityki światowej, przez Komitet Narodowy Polski, założony przez Romana Dmowskiego już latem 1917 r. Obecnie komitet stał się oficjalnym przedstawicielstwem rządu polskiego na konferencję pokojową. Porozumienie Piłsudskiego z Dmowskim, zawarte „ponad podziałami”, umocniło nowy gabinet pod przewodnictwem Ignacego Jana Paderewskiego, pełniącego też obowiązki szefa dyplomacji. Spośród 16 ministerstw 10 przypadło ministrom bezpartyjnym lub powiązanim z prawicą, a pozostałe – członkom PPS, PSL „Lewica” i „Piast”. Jako pierwsze uznały rząd polski 30 stycznia USA; Rada Najwyższa Mocarstw Sprzymierzonych dokonała tego 21 lutego.

Już 18 stycznia w Paryżu rozpoczęła obrady konferencja pokojowa. Polskę reprezentowali jako delegaci pełnomocni Roman Dmowski i Kazimierz Dłuski – socjalista, wysłany do KNP przez Piłsudskiego (zastępował on na początku



Pierwsza sala Sejmu II RP. FOT. NAC

konferencji premiera Paderewskiego). Jako ekspert do spraw gospodarczych i finansowych do polskiej delegacji dołączył Władysław Grabski. Natomiast do Komitetu Narodowego Polskiego weszli inni przedstawiciele Naczelnika: Leon Wasilewski, Michał Sokolnicki, Stanisław Patek, Antoni Sukowski, Stanisław Thugutt, Medard Downarowicz, Herman Lieberman, Władysław Baranowski, Stanisław Hempel.

Aklamacja Sejmu

Rozpisanie już w końcu listopada 1918 r. wyborów do Sejmu było możliwe dzięki wcześniejszemu przygotowaniu ordynacji przez pracowników Rady Regencyjnej. Piłsudski musiał tylko sięgnąć do szuflady, aby wyjąć dokumenty. Sięgnął jednak po nie i uczynił je obowiązującymi stosownym dekretem – już dwa tygodnie po objęciu urzędu Naczelnika. Dlatego pierwsze w odrodzonej Polsce wybory do Sejmu Ustawodawczego odbyły się 26 stycznia 1919 r. Triumfowały wolność i upodmiotowienie obywateli – jak za Rzeczypospolitej szlacheckiej, lecz teraz w prawdziwie demokratycznym systemie, obejmującym wszystkich cywilnych mieszkańców ziem polskich, którzy ukończyli 21 lat.

Nie na wszystkich ziemiach było wtedy możliwe przeprowadzenie wyborów, dlatego – w miarę obejmowania ich przez polskie władze – przeprowadzano tam wybory uzupełniające.

Frekwencja w poszczególnych okręgach wyniosła od 60 do 94 proc. Narodowa Demokracja zdobyła najwięcej głosów (34,2 proc.) i stała się najsilniejszym ugrupowaniem politycznym w Sejmie. Na koniec kadencji Sejm liczył 442 posłów, z czego 364 wybrano w pięcioprzymiotnikowych wyborach zarządzonych przez władze polskie, 20 – po włączeniu parlamentarzystów z Sejmu Litwy Środkowej, 28 – z izby poselskiej austriackiej Rady Państwa, siedem – z niemieckiego Reichstagu (w tym: narodowca Wojciecha Trąmpczyńskiego, adwokata bardzo zasłużonego dla sprawy polskiej), a sześciu posłów – po kompromisie wyborczym na Śląsku Cieszyńskim.

Józef Piłsudski otworzył obrady Sejmu Ustawodawczego 10 lutego 1919 r. uroczystym przemówieniem oraz mianowaniem Ferdynanda Radziwiłła marszałkiem seniorem. 14 lutego na marszałka Sejmu zostaje wybrany Wojciech Trąmpczyński. Natomiast 20 lutego Sejm przyjmuje przez aklamację uchwałę o powierzeniu Józefowi Piłsudskiemu urzędu Naczelnika Państwa (wcześniej – Tymczasowego...). Oto treść krótkiej



Sejmu, powoływał rząd i ponosił wraz z nim odpowiedzialność za sprawowanie urzędu przed Sejmem. Stało się to – proszę adwersarzy Naczelnika o uwagę – na mocy jednomyślnego postanowienia przedstawicieli całego społeczeństwa...

Do najważniejszych ustaw uchwalonych przez Sejm należą – poza tą małą konstytucją – oczywiście konstytucja z 17 marca 1921 r., Statut Organiczny Województwa Śląskiego z 15 lipca 1920 r. i szeroki pakiet ustaw socjalnych.

Piłsudski skrupulatnie przestrzegał swych praw i obowiązków Naczelnika Państwa aż do 14 grudnia 1922 r., kiedy w samo południe z najwyższym szacunkiem składał ten urząd na ręce demokratycznie wybranego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej – Gabriela Narutowicza. Uroczystość odbyła się w Belwederze, a Piłsudski wygłosił toast zakończony słowami: „Panie Prezydencie! Jako jedyny oficer polski czynnej służby, który dotąd przed nikim nie stawał na baczność, staję oto na baczność przed Polską, którą Ty reprezentujesz, wznosząc toast: Pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej niech żyje!”

Były to słowa godne tej chwili i obu mężów stanu w demokratycznym państwie. Mówiąc je, Piłsudski miał zapewne satysfakcję z zakończenia najważniejszego etapu swej służby dla ojczyzny. Kule, które dwa dni później śmiertelnie ugodziły prezydenta Narutowicza, boleśnie zraniły też duszę Piłsudskiego. Przypuszcza się, że wtedy to stracił wiarę w demokratyczne procedury i instytucje, szacunek oraz zaufanie do wielu ludzi.

Marszałek Polski

Tak jak objęcie urzędu Naczelnika Państwa nie było efektem jakiegś uzurpacji, tak i nie było nim w istocie uzyskanie przez Piłsudskiego stopnia marszałka Wojska Polskiego. Z inicjatywą tą wystąpił latem 1919 r. gen. Józef Leśniewski, minister spraw wojskowych w rządzie I.J. Paderewskiego, zwracając się do Sejmu, aby uhonorował w ten sposób „najdojrzalszego żołnierza Rzeczypospolitej”. Chwila wydawała się stosowna: akurat zakończyła się ofensywa naszych wojsk, które wyparły bolszewików z Wileńszczyzny. Sejm jednak wniosek ten odrzucił.

Sprawa rangi Piłsudskiego, bądź co bądź Naczelnego Dowódcy WP, nie straci-

ła jednak aktualności. Otóż w Legionach był on dla podwładnych „komendantem”, natomiast dla Austriaków – „brygadierem”. Obie te nazwy nie oznaczały jednak stopnia wojskowego, tylko funkcję, jaką pełnił Piłsudski w ochotniczych legionowych formacjach. Tymczasem kończyły się akurat w Wojsku Polskim prace Ogólnej Komisji Weryfikacyjnej, która dokonywała przeglądu polskich kadr oficerów z dawnych armii zaborczych oraz z zaciągu patriotycznego, ustalając ich stopnie i zaszerogowanie. A tu legendarny Komendant nie tylko nie miał żadnego stopnia, lecz także wyznaczenie mu zwykłej drogi awansu, nawet do stopnia generała, oznaczałoby despekt nie do przyjęcia. W końcu musiałyby salutować podwładnym generałom wyższym stopniem i stażem.

Dlatego delegaci komisji, którzy w imieniny Józefa – 19 marca 1920 r. – przyszli złożyć życzenia wodzowi, poprosili go o przyjęcie stopnia... marszałka. A Piłsudski na stosownym dokumencie złożył podpis: „Stopień Pierwszego Marszałka Polski przyjmuję i zatwierdzam”. Formalnie i urzędowo to Naczelnik Państwa nadał ów stopień Naczelnemu Dowódcy WP. Fizycznie Józef Piłsudski mianował sam siebie, jednocześnie jednak – to ważne – nie łamiąc obowiązujących przepisów, tylko tworząc nowe.

Dotąd nie mieliśmy bowiem w wojsku Rzeczypospolitej marszałków. Nie byli nimi ani marszałkowie wielcy, ani nadworni, ani sejmowi, ani nawet konfederacy. Jedynym wojskowym marszałkiem został trzy dni przed śmiercią pod Lipskiem (1813) Józef Poniatowski, ale Napoleon mianował go marszałkiem Francji (jako jedynego cudzoziemcą...), nie Polski.

Po miesiącu od nominacji marszałek Józef Piłsudski ruszył na wyprawę kijowską. Dopiero po zakończeniu zwycięskiej wojny z bolszewikami, 14 listopada 1920 r., otrzymał buławę marszałkowską podczas uroczystości na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. O jej przyjęcie zwrócił się do niego najstarszy stopniem i stażem gen. Karol Durski-Trzaska, niegdyś dowódca Legionów z ramienia Austrii, niecieszący się dobrą sławą wśród żołnierzy. A już na pewno nie u dowódcy I Brygady Legionów. Tym razem stanął przed Piłsudskim jako niższy rangą, bo wyższego nie było w całym Wojsku Polskim...

© Wszelkie prawa zastrzeżone

uchwały „o powierzeniu Józefowi Piłsudskiemu dalszego sprawowania urzędu Naczelnika Państwa”, zwanej małą konstytucją, którą warto przytoczyć w całości:

I Sejm przyjmuje oświadczenie Józefa Piłsudskiego, że składa na ręce Sejmu urząd Naczelnika Państwa do wiadomości i wyraża Mu podziękowanie za pełne trudów sprawowanie urzędu w służbie dla Ojczyzny.

II Aż do ustawowego uchwalenia tej treści Konstytucji, która określi zasadniczo przepisy o organizacji naczelnych władz w Państwie Polskiem, Sejm powierza dalsze sprawowanie urzędu Naczelnika Państwa Józefowi Piłsudskiemu na następujących zasadach:

Władzę suwerenną i ustawodawczą w Państwie Polskiem jest Sejm Ustawodawczy; ustawy ogłasza Marszałek z kontrasygnacją Prezydenta Ministrów i odnośnego Ministra fachowego.

Naczelnik Państwa jest przedstawicielem Państwa i najwyższym wykonawcą uchwał Sejmu w sprawach cywilnych i wojskowych.

Naczelnik Państwa powołuje Rząd w pełnym składzie na podstawie porozumienia z Sejmem.

Naczelnik Państwa oraz Rząd są odpowiedzialni przed Sejmem za sprawowanie swego urzędu.

Każdy akt państwowy Naczelnika Państwa wymaga podpisu odnośnego Ministra.

Tak więc do czasu wejścia w życie wszystkich postanowień ustawy zasadniczej z 1921 r. – co nastąpi po wyborach parlamentarnych i prezydenckich w 1922 r. – Józef Piłsudski stawał się głową państwa i wykonawcą uchwał



Krzysztof Masłoń

/ Grecy i Rzymianie byli jego żywiołem, ale nie zamykał się w starożytnej historii. Potrafił też odważnie piętnować komunistycznych pisarzy

Zygmunt Kubiak – eseista, znawca literatury klasycznej, tłumacz. Autor wielkiego bestsellera „Mitologia Greków i Rzymian”, bliźniaczych „Dziejów Greków i Rzymian” i „Literatury Greków i Rzymian”, a także wyborów poezji, m.in. Kawafisa, Blake’a, Tennysona i Hardy’ego.

Tłumacz „Iliady”, „Odysei” i „Wyznań świętego Augustyna”, edytor pism J.H. Newmana i P.G. Frassatiego. Śmierć w roku 2004 nie pozwoliła mu dokończyć tłumaczenia Nowego Testamentu. W jego bogatym dorobku pisarskim znajdują się m.in. „Półmrok ludzkiego świata”, „Przestrzeń dzieł wiecznych”, „Brewiarz Europejczyka”, „Uśmiech Kore”.

Rok przed jego śmiercią w wywiadzie, który z nim przeprowadzałem, zauważyłem, że już niemal na pierwszych stronach „Dziejów Greków i Rzymian”, kończąc rozdział o Mezopotamii i przechodząc do Egiptu, zapytał nagle: „Po co to badasz tak pilnie? Chcesz własne udrećzone dzieje zastąpić dziejami ludzkości?”. Czy zwraca się do samego siebie?

„– Tak, piszę o sobie – potwierdził.
– Z różnych powodów życie moje było i jest bardzo ciężkie. Szczególnie ciężkim było ono w czasach komunistycznych. Oczywiście każdy, kogo w XX w., stuleciu totalitaryzmów, nie zabito, może się uważać za uprzywilejowanego. Ale i ktoś taki mógł dużo wycierpieć i właśnie tak było ze mną. Piszę o tym trochę we wstępie do książki »Uśmiech Kore«. To, jak ze mną postępowano, jak mnie traktowano, było nie do zniesienia. Tego niepodobna było zaakceptować. Gdy w latach 60. postarałem się, by nachodzący mnie komunistyczni literaci stracili możliwość interesowania

się mną, bezpośrednio zainteresowanie moją osobą okazała Służba Bezpieczeństwa. A zajmowało się mną dwóch księży, intelektualistów. Niestety, to prawda.

– Czym była dla pana, wtedy i później, praca literacka – zanurzaniem się w otchłani wieków? Ucieczką od smutnej rzeczywistości?

– Ucieczką w inny, ciekawszy świat. Myślę też, trochę nieskromnie, że swoimi książkami wskazuję czytelnikom marszrutę takiej ucieczki. Nie fałszując historii, nie przemilczając jej przykrych,

trudnych momentów, nie kłamiąc, snuję swoją opowieść o tych, których kocham”.

Wizja Cesarstwa Rzymskiego

A kochał swoich Greków i Rzymian, podziwiał Cesarstwo Rzymskie. „Czym jest ono dla nas?” – zapytałem go.

„– To była pierwsza Unia Europejska. Wielka wspólnota oparta nie

1929–2004 / Wybitny znawca antyku

Inny świat Zygmunta Kubiaka





Zygmunt Kubiak FOT. ARTUR PAWŁOWSKI/
REPORTER

na podstawach etnicznych, lecz na fundamentach ekonomicznych, politycznych i kulturalnych. To Oktawian August rozpoczął to, co dziś staramy się odbudować, jeśli Unia ma być tym, czym chcemy, żeby była. Jeżeli dziś tęsknię do Europy, to myślę o wznowieniu Cesarstwa Rzymskiego, mam przed oczami jego wizję.

– W dawnym kształcie?

– Właściwie tak. W Cesarstwie Rzymskim człowiek miał swoją wartość, niezależnie od tego, jaka krew płynęła w jego

żyłach. Dioklecjan został cesarzem, choć był niewolnikiem czy też synem niewolnika. W Grecji było to niemożliwe, ale w Rzymie trzeba było ciężko pracować, zakasać rękawy i można było się wyzwolić.

– Jak byśmy na nią nie patrzyli, demokracja rzymska była jednak błogosławieństwem tylko dla obywateli rzymskich.



– Dzięki obywatelstwu rzymskiemu świętego Pawła wieziono do Rzymu tak, żeby mógł po drodze uprawiać działalność apostołską. Takie warunki stworzył mu setnik kohorty cesarskiej po tym, jak w Cezarei Paweł z Tarsu powiedział: »Civis Romanus sum«. Na miłość boską, w każdym innym imperium popędzono by go batami”.

Pokaż mi takiego drugiego

W 1999 r. zwiedzałem razem z nim ruiny świątyni greckich w Paestum, w południowych Włoszech. Było lato, gorąco i po dłuższym spacerze weszliśmy do miejscowej kawiarenki, gdzie lody podała nam hoża... Ukrainka. Zdumiała mnie ta zbitka Posejdonii i Rusi. „Taka ma być nasza wspólna Europa?” – spytałem.

„– Symboliczny to obrazek, ale nie przywiązywałbym do niego specjalnej wagi, gdyż – według mnie – etniczne kryteria nie sprawdzają się. Także w Polsce, która po wstąpieniu do Unii Europejskiej będzie zupełnie innym krajem – jest to moje głębokie przekonanie. Europa ma i będzie miała różne strefy kulturalne; powiem panu, że czasem – nie jeżdżąc zbyt daleko – trudno mi się porozumieć z mieszkańcami wsi mazowieckich. A dodam jeszcze, że jeśli chodzi o Ukrainę, to ruski książe

Jeremi Wiśniowiecki wbijał na pal polskich chłopów, bo to oni masowo uciekali na wschód, gdzie mieli trochę więcej swobody. Czy kultura polska jest aż tak różna od ukraińskiej?

Wątpię, będąc pewnym, że co jak co, ale wieloetniczność sprzyja kulturze jako takiej.

– No tak, ale w zjednoczonej Europie akurat dla Ukrainy zabrakło miejsca. Tak że Ukrainka w Paestum jest jeszcze bardziej nie na swoim miejscu.

– Nie mam złudzeń, Ukraińcy będą uciekali do Polski, a stąd dalej, do innych państw. Zdecydują o tym względy

■ materialne, ale nie zapominałbym też o długotrwałych skutkach skażenia czarnobylskiego. Różnice między narodami w dzisiejszej Europie są różnicami cywilizacyjnymi; nie wierzę w uwarunkowania etniczno-biologiczne. Kiedyś na dworcu w Getyndze przyglądałem się podróżnym, zgadując, który z nich nie mógłby być Polakiem. Nie znalazłem takiego, podobnie jak w Polsce rzadko napotyka się typ Sarmaty, Polonusa, szlachciury z wąsami. Przed wojną 70 proc. ludności Polski stanowili chłopci, podczas gdy w Niemczech dominowała warstwa mieszczańska, wytworzona dużo, dużo wcześniej. To przemiany społeczne są tymi, których Niemcom zazdroszczę, i bardzo chciałbym, żeby i w Polsce struktura społeczeństwa była podobna. Inną mieliśmy historię, inne mamy doświadczenia. Pamiętam, że opowiadałem kiedyś córce dzieje Klemensa Janicjusza, najlepszego – obok Jana Kochanowskiego – poety polskiego renesansu, który z chaty chłopskiej trafił na dwór Zygmunta Augusta. Córka powiedziała: – Dobrze, tato, ale pokaż mi takiego drugiego. Śledzę podobne kariery w dawnych wiekach, a i współcześnie, dochodząc do wniosku, że to Cesarstwo Rzymskie było tym, które w jakiś przedziwny sposób poprzedziło i przepowiedziało przyszłą zjednoczoną Europę.

Nowe fale szlachty

W tej podróży po Włoszech trafiliśmy też m.in. do Neapolu. Dawno, dawno temu przez to miasto przejeżdżał Wergiliusz, gdy opuścił Rzym, by zgłębiać filozofię w Sirona w Partenope. Gwar na tych wprawdzie brudnych, ale wesołych uliczkach neapolitańskich mógł brzmieć dla niego miło. W końcu uciekał od Rzymu pełnego sporów politycznych, które niebawem miały zostać zagłuszone przez szczęk oręża i utonąć w wojnie domowej.

Na nas jednak Neapol zrobił raczej przynębiające wrażenie swoim niechlujstwem, bałaganem, bylejakością. Zygmunt Kubiak wołał zagłębić się w strofy Janicjusza: „Tutaj prostota i wolny od pychy urok ogłady, która stąd jest ponoć”. Poeta z Januszkowa rodem znał jednak północną Italię. W Neapolu natomiast, wsiadając na prom płynący na Capri, spotkaliśmy ordynarnie, wulgarnie zachowujących się młodych ludzi. Okazali się... Holendrami.



Pozostałości świątyni Saturna na Forum Romanum. FOT. WIKIPEDIA/ANDREAS TILLE

I znów Zygmunt Kubiak mógł przywołać Klemensa Janicjusza, którego zdaniem „pijaństwo jest tu tak wielkim występkiem, jak świętokradztwo”. Konstatujemy wyjątki od tej reguły, ale rzeczywiście wyjątki. Ofiary Bachusowi, pisał Janicjusz, nie składał tutaj nikt oprócz Germanów, gustujących zresztą w wyjątkowo obrzydliwym napoju, który polski poeta poznał, podążając do Padwy przez kraje niemieckie. Było to, oczywiście, piwo.

Wina włoskie rekomendacji nie potrzebują, choć nie wszystkie. Lacryma Christi, popijane w tandetnej budzie na Wezuwiuszu, nie bardzo nam smakowało. Klemens Janicjusz pisał też jednak:

*Od pacholęcia aż do lat dwudziestu
Piłem jedynie wodę. Stąd, jak myślę,
Zaczęła chorzeć wątroba. Ta woda,
Niegdyś wypita, dławi moje życie.*

Byliśmy razem w Pompejach i na Monte Cassino, w Asyżu i Padwie, Wenecji, no i w raju, bo chyba nigdy nie widziałem czegoś równie czarownego jak Costa Amalfitana. Ten szlak biegnący skrajem półwyspu Sorrento to istna kraina baśni. Nie dotarł tu Klemens Janicjusz, ten nasz XVI-wieczny Owidiusz, urodzony w wieśniaczej chacie pod Żninem. Nie znalazł się nigdy na południu od Padwy, a i tak pisał:

*O ileż byłbym szczęśliwszy, zrodzony
Na tej szczęśliwej ziemi. Ale skoro
Przezorne losy wyroków inaczej
Postanowiły, nie skarzę się na to,
Że jestem synem Samacji.*

Ten młody – zmarł przedwcześnie, mając 25 lat, na puchlinę wodną (!) – poeta, przybywając do Padwy, poznał kompletnie nieznaną mu społeczność. Z goryczą pisał: „Podejrzliwości chłopska, nieśmiałości naganna, trzeba wam było poza mną pozostać”. Trafił w sferę kultury mieszczańskiej i arystokratycznej, sam wychowany w kulturze szlachecko-chłopskiej, cechującej Polskę przed wiekami, ale – jak utrzymywał Zygmunt Kubiak – i dziś.

„Widzimy to – przekonywał – gdy każda kolejna ekipa władzy w Polsce robi z siebie szlachtę; coraz to nowe fale szlachty płyną przez nasz kraj, a chłopci, jak dawniej, ślepo się buntują”.

Edykt do wzięcia od zaraz

Półzartem spytałem go kiedyś, co by się stało, gdyby dzisiejsze ziemie polskie znalazły się w swoim czasie pod panowaniem Rzymu. Odpowiedział

z kamienną powagą: „Kiedy po ostatniej wojnie Europa dzieliła się na Europę wolną i Europę zniewoloną, to podział ten przebiegał mniej więcej tak, jak granice Cesarstwa Rzymskiego. Austria ostatecznie znalazła się po tamtej, wolnej stronie, my – niestety – nie. Wprawdzie Marek Aureliusz miał kiedyś taki zamiar, żeby podbić nasze ziemie, ale w końcu nie uczynił tego. Historia nasza byłaby inna, gdybyśmy przyłączeni zostali do tej struktury twardej, kierującej się zasadami prawa rzymskiego, ale w głęboki sposób służącej wolności”.

„– Podchodzi pan bardzo emocjonalnie do historii Rzymu, do głównych postaci Cesarstwa Rzymskiego, co zresztą uważam za podstawową wartość pańskiej trylogii, bo przecież podobnie jak bohaterów »Dziejów...« traktował pan bohaterów »Mitologii Greków i Rzymian« i »Literatury Greków i Rzymian«. Zastanawiam się jednak, jak poradził pan sobie z przykrym faktem – upadkiem cesarstwa, spektakularnym zresztą.

– Rzeczywiście, przykry to fakt. Ale ta katastrofa nie oznaczała rozpadu Europy, rozpadu Zachodu raz na zawsze. Myślę o Zachodzie, bo Cesarstwo Wschodnie przetrwa, ale będzie to państwo mało podobne do Cesarstwa Rzymskiego. Zanim jednak nastąpi upadek Rzymu, dzieć się będą jeszcze wielkie rzeczy i sprawy. Nadejdą rządy wielkich cesarzy: Trajana, Hadriana, Antoninusa. Nastąpią przemiany w państwie, coraz więcej będzie chrześcijan, którzy przenikną do wyższych kręgów urzędniczych, aż w końcu Konstantyn Wielki w 313 r. przyjmie chrześcijaństwo.

– Triumf krzyża zapoczątkował rozkład cesarstwa.

– Ten rozkład już postępował, a tzw. edykt mediolański ogłoszony wspólnie przez dwóch Augustów – Konstantyna i Licyniusza – pozostaje wielkim osiągnięciem liberalizmu europejskiego. W edyktie tym podkreśla się, że nie wolno przymuszać nikogo do żadnej religii. Widoczne jest tu poczucie konieczności społecznego ładu, ale i przeświadczenie o tym, że wiara metafizyczna jest wobec historii transcendentna. Edykt mediolański, ten wielki tekst liberalizmu europejskiego, jest do wzięcia – dzisiaj, od zaraz. Dopiero w średniowieczu jego idee zostały porzucone przez ówczesnych intelektualistów, upraszczających tak wiele myśli.

– Czy był jeden główny, bezpośredni powód rozpadu Cesarstwa Rzymskiego? Chyba zaistniał raczej spłot wielu wydarzeń i okoliczności.

– Nie wszystkie wydarzenia w procesie historycznym mają obiektywne przyczyny. Nie wiem np., dlaczego Polska miała po II wojnie światowej tak straszne dzieje. Nie wiem, dlaczego alianci zostawili nas samych, bo nie da się powiedzieć, że zawiniły nasze narodowe wady, że nas nie lubiano – to za mało. Nie wiem też, dlaczego upadła dawna, szlachecka Polska i doszło do rozbiorów. Wskazywanie palcem na anarchię szlachecką nie wydaje mi się mądre, wiele było bowiem państw zanarchizowanych i inne były ich losy. Podobnie rzecz się miała i z Cesarstwem Rzymskim, które nagle przestało asymilować przybyszy, jak stało się Germanami. I nadszedł rok 476, wraz z którym Cesarstwo Zachodnie przestało istnieć”.

Usłyszeć tekst po polsku

Dzieło życia Zygmunta Kubiaka to przede wszystkim wielki dorobek przekładowy. Tłumaczył to, co w literaturze antycznej najwartościowsze: hymny homeryckie i ody Safony, poezje Pindara i komedie Arystofanesa, bajki Ezopa i „Wojnę peloponeską” Tukidydesa, aforyzmy Heraklita i „Antygone” Sofoklesa. Listę tę można by kontynuować jeszcze bardzo długo.

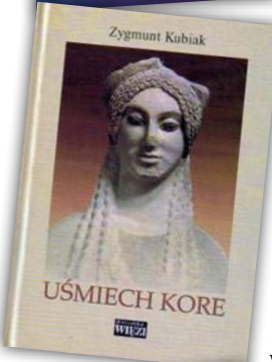
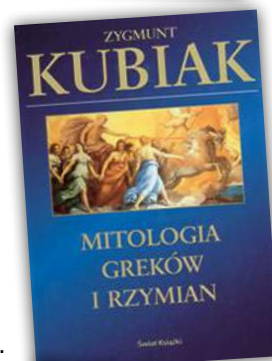
Tłumaczenia Zygmunta Kubiaka są z wielu powodów wyjątkowe. Tłumacząc

np. Homera, nie stosował ścisłego heksametru, lecz tylko wiersz do niego podobny, gdyż zdaniem autora „Literatury Greków i Rzymian” heksametr kłócił się z odmienną od mowy greckiej polszczyzną. Polszczyzną, podkreślał, równie wspaniałą jak tamta mowa. Dlatego starał się autor przekładu „Odysei” – „tekst tłumaczony usłyszeć po polsku”.

A polską literaturę Zygmunt Kubiak kochał. Tylko że tę dawną, nawet bardzo dawną. Najnowszej poezji i prozy nie czytał, do czego się przyznawał. Estetycznie zatrzymał się na poezji Miłosza, z którym zresztą w wielu sprawach polemizował. Czuł chyba do noblisty niechęć także dlatego, że w 1998 r. ten sprzątnął mu sprzed nosa nagrodę Nike. Plebiscyt czytelników wygrała wówczas z ogromną przewagą „Mitologia Greków i Rzymian”, ale jury nagrodę przyznało „Pieskowi przydrożnemu”. Zygmunt Kubiak nie wytrzymał emocji, chwycił żonę za rękę, wyszedł z Teatru Stanisławowskiego, trzasnął drzwiami.

Naprawdę jednak nienawidził – nie znajduję innego słowa – literatury komunistycznej, szczególnie strof powstałych na cześć największego zbrodniarza w dziejach ludzkości, za którego uważał Stalina. Kiedyś w Klubie Księgarza w ostrych słowach zbeształ Wiktora Woroszyńskiego, gdy ten ciepło wspominał Broniewskiego. Dla niego Broniewski był piewcą Stalina, a to go dyskwalifikowało jako człowieka. Było mi przykro, sytuacja była dramatyczna, a Woroszyński bardzo już chorował. Jednak w tamtym sporze rację miał Kubiak.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Relacje polsko-żydowskie należą do najtrudniejszych, jakie mamy, a trudnych nam nie brakuje; dość wspomnieć nasze stosunki z Niemcami, Rosją czy Ukrainą. Te polsko-żydowskie są jednak wyjątkowe z tej, przede wszystkim, przyczyny, że nie ograniczają się przecież do tego, co się dzieje na linii Tel Awiw – Warszawa. Każdy zatarg z Żydami powoduje bowiem natychmiastowe iskrzenie na łączach z Waszyngtonem.

Wiemy o tym wszystkim aż za dobrze, a jednak bardzo opornie dochodzi do nas prawda, że nie tylko jesteśmy ofiarami bezprzykładnej nagonki, z jaką mamy do czynienia, lecz także sami dokładamy paliwa do niekończących się sporów, kłótni, oskarżeń i pomówień.

Specjalnie namawiać do przeczytania nowej książki Piotra Zychowicza, kontynuacji jego bestsellerowych „Żydów”, nie trzeba, zwłaszcza że znany publicysta pomieścił w niej wiele tekstów, które po raz pierwszy ujrzały tu światło dzienne, inne zaś ukazują się w znacznie rozszerzonej wersji. Jak powiada, pomysł na „Żydów 2” narodził się w samym apogeum niedawnej wielkiej kłótni polsko-żydowskiej o nowelizację ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej. „Myślę, że teraz – czytamy – gdy opadł już kurz bitewny, warto przedstawić nieco inne spojrzenie na trudne tematy z dziejów relacji polsko-żydowskich. Spojrzenie chłodne i obiektywne, a nie emocjonalne i propagandowe”.

To, oczywiście, jest pozadyskusyjne, a gorących kwestii poruszonych jest w prawie 500-stronicowej książce mnóstwo, że wymienię tylko działalność żydowskiej policji w gettach, postać króla łódzkiego getta Chaima Rumkowskiego, ocenę polskiej tzw. granatowej policji czy stosunek Polskiego Państwa Podziemnego do Holocaustu.

Piotr Zychowicz napisał książkę służącą nie anonowaną jako „niepoprawna politycznie”, bo niemal każdy z omawianych w niej problemów wielokrotnie był już przedmiotem zażartych sporów nieprowadzących w gruncie rzeczy do niczego. En masse pozostajemy nieprzekonani i przeświadczeni o własnych racjach, nie przyjmując do wiadomości argumentów naszych antagonistów.

A przecież kusząca jest podsuwana przez autora „Żydów 2” sugestia, że nie ma złych ani dobrych narodów, lecz



Żydowski policjant w getcie warszawskim FOT. ARCHIWUM

Książka miesiąca / Polska, Izrael, Holocaust

„Żydzi” po raz drugi

tylko źli i dobrzy ludzie. Po obu stronach barykady.

O tych ludzi też właśnie chodzi. Przeczytać mogą dziesiątki podobnych do „Żydów 2” książek, a nie zaakceptuje obłędnej matematyki w wydaniu Jana Grabowskiego, urodzonego w Warszawie, tak jak o 15 lat starszy Jan Gross, którego profesor z Ottawy wyraźnie zastępuje na stanowisku pierwszego polakożercy. Wpaść na pomysł, że skoro z gett w Polsce uciekło 10 proc. Żydów, czyli ok. 250 tys., a przeżyło 50 tys., to brakującą jedną piątą miliona zabili Polacy, mógł tylko człowiek złej woli. I za takiego mam i będę mieć Jana Grabowskiego.

Mieszane uczucia towarzyszą mi również w związku z wydaniem dwutomowej pracy „Dalej jest noc” pod redakcją, a jakże, profesorów: Barbary Engelking i Jana Grabowskiego. Niezależnie bowiem od nagromadzenia w niej naprawdę wstrząsających relacji budzących jedynie współczucie, uogólniające wnioski o Polakach przyglądających się Zagładzie biernie, „z niepokojącą częstotliwością” są niczym nieuzasadnione i świadczą znów, niestety, o złej woli.

Tłumaczenia, że to nie Polacy stworzyli obozy zagłady oraz getta i nie zabijali Żydów w komorach gazowych czy skazanych na klęskę powstaniach w dzielnicach zamkniętych, mam zresztą już po uszy. Tak jak pewnie nie mała część rodaków.

Z tym większym zaciekawieniem przeczytałem więc te rozdziały nowej książki Piotra Zychowicza, które nie odnoszą się do tematów okupacyjnych, ale do m.in. zamachów terrorystycznych, akcji Mosadu, działań żydowskiego lobby w USA czy kapitalnej historii o radykalnych piłkarskich kibolach Beitaru Jerozolima. W kontekście zachowań znanych z naszych stadionów, na których nie lubianych przeciwników wyzywa się od Żydów, jest to lektura pouczająca. A przy tym, tak jak zresztą cała książka, znakomita! ©©

Krzysztof Masłoń



PIOTR ZYCHOWICZ
„ŻYDZI 2”
REBIS

Polski Czarnobyl

Ależ to musiał być widok! Wzdłuż rzeki, w równych szeregach, suną polscy kawalerzyści, piechota i artyleria. Równolegle z nimi płynie ich wsparcie – Flotylla Pińska. Na czele potężnie uzbrojony „Pancerny I”, za nim cztery mniejsze jednostki.

Polscy kawalerzyści i marynarze zmierzali w kierunku Czarnobyla. Leżące nad ujściem Prypeci do Dniepru miasto było bazą bolszewickiej Dnieprzańskiej Flotylli Wojennej i ważnym węzłem komunikacyjnym. Zdobycie Czarnobyla miało zabezpieczyć na odcinku rzecz- nym polską ofensywę na Kijów.

Do zadania tego gen. Władysław Sikorski wyznaczył Grupę Kawalerii mjr. Jaworskiego. Siły lądowe miały jednak spore kłopoty z podążaniem równoległe do Flotylli Pińskiej, ponieważ bagna i rozlewiska Prypeci momentami uniemożliwiały trzymanie się rzeki. Bolszewicy tymczasem mogli w każdej chwili uderzyć na rozdzielone siły. Mimo problemów Polacy podeszli pod Czarnobyl w zwartej formacji. Do ataku doszło 27 kwietnia 1920 r.

Major Józef Nowak wspominał:

„Statki flotylli nieprzyjacielskiej, jak również artyleria sowiecka otworzyły gwałtowny ogień na polskie tyraliery. Pociski zerwały w kilku miejscach połączenie telefoniczne baterii z punktem obserwacyjnym [...]. Celowniczo, widząc nieprzyjaciela jak na dłoni, skierowali paszczę dział na wskazane cele,

po czym grzmotnęły salwy jedna za drugą. Po dwóch godzinach zaciętej walki zdobyto miasto i przystań, biorąc jeńców oraz liczny materiał wojenny, w czym dwa działa i osiem jaszczów z amunicją”.

Dodatkowo w porcie Polacy zdobyli 15 bolszewickich jednostek, ale pięć kanonierek rzuciło się do ucieczki. W pogoń za nimi ruszył „Pancerny I”. Zatapiał jeden statek wroga po drugim, odnosząc kapitalne zwycięstwo. Tak w wielkim skrócie wyglądał największy triumf polskich marynarzy w czasie wojny z bolszewikami.

To tylko jedna z 50 fascynujących opowieści o najbardziej chwalebnych bitwach stoczonych przez Polaków. Ta pięknie wydana książka zaczyna się od bitwy pod Cedynią (nie brak tu mitów, które wciąż są żywe) i opowiada o najważniejszych polskich wiktoriach aż do czasów nam najbliższych. Ostatnim opisywanym zwycięstwem wcale nie jest jednak zdobycie Bolonii przez 2. Korpus. Ostatnie dwa rozdziały to żywa relacja z zaciętych walk o Karbalę i zacieklej obrony bazy w Ghazni w 2013 r. © (p.w.)



**„POLSKIE TRIUMFY.
50 CHWALEBNYCH BITEW
POLAKÓW, O KTÓRYCH KAŻDY
POWINIEN PAMIĘTAĆ”**

WYD. CIEKAWOSTKI HISTORYCZNE.PL

„Relikwie” III Rzeszy

Blutfahne, czyli Sztandar Krwi, był jedną z najświętszych „świętości” w III Rzeszy. W listopadzie 1923 r. w tę zwykłą flagę ze swastyką wsiąkła krew trzech nazistów zabitych przez policję w nieudanym puczu monachijskim. Od tej pory ten sztandar stał się nazistowską „relikwią” służącą do „wyświęcania” innych flag ze swastyką. Blutfahne zaginął w tajemniczych okolicznościach pod sam koniec wojny... W znakomitej książce Rogera Moorhouse’a przeczytamy też o 99 innych przedmiotach, które „zbudo-

wały” III Rzeszę, m.in. o pervitinie, czyli nazistowskiej amfetaminie dla żołnierzy, czy „świecach Hindenburga”. © (p.w.)



**ROGER MOORHOUSE
„TRZECIA RZESZA
W 100 PRZEDMIOTACH”**

ZNAK HORYZONT



**ZBIGNIEW NAWROCKI
(RED.)**

**„SEKRETNA WOJNA III.
Z DZIEJÓW
KONTRWYWIADU II RP”**

ZYSK I S-KA

AK I ABWEHRA

Trzeci tom ciekawej serii. W środku mnóstwo interesujących artykułów o operacjach polskiego wywiadu. Mnie najbardziej zainteresował tekst „Kontrwywiad AK i Abwehry na Wileńszczyźnie wobec bolszewików. Współpraca czy gry operacyjne?”. Autor – znakomity badacz Tomasz Balbus – porusza mało znany, niewygodny temat. Uwaga! Artykuł niepoprawny politycznie! © (p.z.)



**WOJCIECH POTOCKI
„STANISŁAW BIAŁATA
Z KOTLIN. BOHATERSTWO
ŻOŁNIERZY 1. PUŁKU
PIECHOTY LEGIONÓW”**

LTW

POKOLENIE PEOWIAKÓW

Losy Stanisława Białata, dziadka autora, są pretekstem do przedstawienia dokonań całego pokolenia. Tytułowy bohater był członkiem POW na Lubelszczyźnie, a potem żołnierzem 1. Pułku Piechoty Legionów. Autor opisuje szlak bojowy tej jednostki w wojnie Polski z bolszewicką Rosją (Wilno, Kijów, Bitwa Warszawska i Niemeńska), sięgając do wspomnień i dokumentów © (t.s.)



**WOJCIECH KUJAWA
„A MIAŁO BYĆ TAK
PIĘKNIE...”**

IPN

... A BYŁO TAK POTWORNIE

Tylko życie mogło napisać taką historię... Dwoje młodych ludzi urodzonych w dobrych rodzinach na początku lat 20. zalewają zakochuje się w sobie. Jerzy oświadcza się Ewie 15 czerwca 1944 r. W czasie walk w stolicy wzięli ślub, a następnie trafili do stłagów. Po powrocie do Polski tylko dwa lata było im dane cieszyć się swoją wielką miłością. W ich piękny świat nagle wkracza UB – oboje przechodzą przez katorgę, która zabija jedno z nich... © (p.w.)



Kamieniołomy w Janowej
Dolinie FOT. NAC

Twórcza praca na kresach

Niedługo przed wybuchem II wojny światowej Melchior Wańkowicz wydał „Sztafetę. Rzec o polskim pochodzie gospodarczym”. Książka „Wieża Eiffła nad Piną” znakomicie uzupełnia słynny reportaż Wańkowicza. Pokazuje polskie dokonania na Kresach Wschodnich, nie tylko gospodarcze, w ciągu 20 lat niepodległości. Wańkowicz pisał o Gdyni. „Wołyńską Gdynią” nazywano zaś Janową Dolinę. Agnieszka Rybak opowiada o historii Państwowych Kamieniołomów Bazaltu, rzutkim dyrektorem Leonardzie Szutkowskim i wzorcowym osiedlu dla

pracowników. „Janowa to nie jest Wołyń w pigułce. To oaza spokoju i dobrobytu wśród narastającego buntu”. Próbował go zażegnać wojewoda Józefski. W 1943 r. na Janową Dolinę napadła UPA, mordując Polaków. Osiedle spłonęło.

W Mostach na Białorusi znajduje się zakład przeróbki drewna, w miejscu fabryki braci Konopackich. „Historia ich biznesu zaczyna się od rubla. Różowo-niebieskiego, spranego, zmiętego” – pisze Rybak.



Za rubla kupili cztery pary królików. Zaczęli handlować. W Mostach wybudują fabrykę sklejk, której produkcja szła w większości na eksport. A w Polsce ze sklejk Konopackich będą powstawały słynne samoloty RWD-5 i RWD-6.

Z Wilna na cały świat szły radiodbiorniki Elektritu. Anna Smółka, która przedstawia historię tej firmy, pisze także o Witoldzie Hulewicz, kierowniku programowym rozgłośni wileńskiej. Dzięki niemu znakiem rozpoznawczym miasta stała się literatura. Ze Stanisławem Lorentzem zlokalizował celę, w której więziony był Mickiewicz. Ochrzcili ją mianem „celi Konrada”. Na literackich spotkaniach bywał tam Czesław Miłosz.

Prawdziwym fenomenem było wykreowanie Zaleszczyków na kurort. Nie miały przecież nic oprócz słońca, które jednak grzało tam najmocniej w Polsce. I dobrego lobbingu starosty Józefa Krzyżanowskiego. Miasteczko zostało wpisane na listę uzdrowisk. Wygrzewano się winogronami, nazywanymi podolską naftą. „Zaleszczyki kuszą obietnicą flirtu bez zobowiązań” – komentuje Agnieszka Rybak reklamowe plakaty.

Dzisiaj ukraińskie Zaleszczyki mogą tylko śnić o dawnej sławie. Nie ma tam już ani „plaży słonecznej”, ani bulwaru... ©©

Tomasz Stańczyk

**AGNIESZKA RYBAK,
ANNA SMÓŁKA
„WIEŻA EIFFLA
NAD
PINĄ”**

CZARNE

Egzotyczna wyspa Kalifornia

Wzdłuż zachodnich wybrzeży Ameryki Północnej ciągnie się kolosalna, pokryta gęstymi lasami wyspa. Wyspa ta przypomina „raj na Ziemi” i zamieszkała jest przez plemię pięknych Amazonki. To nie fragment powieści fantasy. To informacje z atlasów geograficznych z XVI i XVII w.

Ówczesni kartografowie uznali bowiem, że Kalifornia jest wyspą niemającą połączenia z kontynentem. I na kolejnych mapach właśnie w ten sposób ją rysowali. A to jeszcze nic! Na mapach umieszczano Atlantydę (w rozmaitych miejscach globu) oraz dziesiątki innych nigdy nieistniejących wysp i wysepek. Tworzo-

no rozmaite „morza wewnętrzne”, rzeki, a nawet miasta!

Wynikało to z błędów nawigacyjnych ówczesnych podróżników, niewystarczającego rozpoznania planety Ziemia i rozmaitych legend, które pierwsi kartografowie brali za prawdę. Wystarczy wspomnieć o potworach morskich – smokach, gigantycznych ośmiornicach i węzłach morskich mogących połknąć całe armady – które rysowano na oceanach i morzach.

Edward Brooke-Hitching w swoim niesamowitym „Atlasie lądów niebytych” zamieścił setki reprodukcji najbardziej dziwacznych map, jakie powstały w hi-

storii. Oglądając je, głęboko współczułem ówczesnym podróżnikom, którzy próbowali się nimi kierować podczas swoich egzotycznych wypraw.

Pomyłki systemu GPS, który potrafi pokierować samochody wprost do jeziora lub morza, to przy tym pikuś! ©© (p.z.)



**EDWARD BROOKE-HITCHING
„ATLAS LĄDÓW NIEBYTYCH”**

REBIS

Przywódca Polskiej Armii Ludowej i gestapo

Radykalnie lewicowa i jednocześnie Ropozycyjna wobec rządu RP na uchodźstwie i jego krajowych agentów Polska Armia Ludowa należy do tych działających w przestrzeni lat 1943–1945 organizacji, które po dziś dzień nie doczekały się stosownej monografii. Powstała w tej materii luka postanowił wypełnić dr Andrzej Gąsiorowski wydaną przez Muzeum II Wojny Światowej książką pt. „Polska Armia Ludowa 1943–1945. Studia. Fakty-mity-tajemnice”. Praca Andrzeja Gąsiorowskiego przedstawia dzieje PAL oraz historię przywódcy tej organizacji Henryka Boruckiego „Czarnego”. Postać byłego komendanta Komendy Obrońców Polski jest szczególnie intrygująca ze względu na bliskie kontakty, jakie nawiązał on podczas wojny z SS-Untersturmführerem Alfredem Ottem.

Otto, urodzony w 1900 r. w Łodzi w mieszanej polsko-niemieckiej rodzinie (jego matka była Polką, a ojciec Niemcem), jako funkcjonariusz gestapo został w listopadzie 1939 r. przeniesiony służbowo do Warszawy, gdzie został pracownikiem referatu IV-A 3 c zajmującego się zwalczaniem polskiego ruchu oporu. Do obowiązków Alfreda Otta należało m.in. przesłuchiwanie więźniów. Miał on więc okazję poznać aresztowanego przez gestapo 16 stycznia 1941 r. ówczesnego komendanta KOP Henryka Boruckiego. „Czarny” przekazał Niemcom wiele ważnych informacji o funkcjonowaniu struktury organizacyjnej, której przewodził. Szczęśliwie jego pobyt w więzieniu zakończył się 3 marca 1942 r. Tego dnia udało mu się zbiec z Pawiaka. Kilka miesięcy później Borucki znów znalazł się w rękach gestapo. Tym razem funkcjonariuszom Policji Bezpieczeństwa udało się najprawdopodobniej skłonić „Czarnego”

do współpracy agenturalnej. Nadano mu kryptonim I 62, a potem 47. Aby Borucki mógł bez podejrzeń wcielić się w swoją nową rolę, gestapo sfingowało jego ucieczkę. Według powojennych zeznań Otta złożonych przed funkcjonariuszami Urzędu Bezpieczeństwa informacje przekazane przez Boruckiego spowodowały aresztowanie ok. 30 oficerów AK. Trudno naturalnie dzisiaj z uwagi na brak materiałów źródłowych jednoznacznie ocenić, jakie rzeczywiste szkody wyrządziła podziemiu współpraca „Czarnego” z Niemcami i na ile dokładnie realizował dyrektywy Policji Bezpieczeństwa. Należy dodać, że kooperacja Boruckiego z Geheime Staatspolizei nie miała jednostronnego charakteru, bo w zamian za dostarczane informacje gestapo zwolniło z więzień wiele osób, o których wypuszczenie Borucki zabiegał. Jego relacje z Ottem musiały mieć bardziej osobisty charakter niż kontakty czysto służbowe na linii agent-oficer prowadzący. Potwierdzeniem tego jest zaopiekowanie się przez Boruckiego narzeczoną Otta i jej rodziną. Przywódca PAL umieścił ją w majątku dowódcy warszawskiego okręgu Polskiej Armii Ludowej Juliana Skokowskiego.

„Czarny” zadbał także o bezpieczeństwo Otta, który – aby móc się bezpiecznie poruszać po opanowanym przez partyzantów terenie – otrzymał specjalne legitymacje organizacyjne PAL. Kontakty Otta z Boruckim nie ustały nawet po upadku powstania. Co ciekawe, opiekę nad zamieszkującym w Paczkowie na Śląsku Opolskim pod fałszywym nazwiskiem Alfred Romanowicz byłym funkcjonariuszem warszawskiego KdS (Kommandantur der Sipo und SD) działacze PAL sprawowali nawet po wojnie. Ostatecznie Alfred Otto został aresztowany przez UB w 1950 r. Pięć lat później skazano go na karę dożywotniego więzienia, zamienioną później na 25 lat pozbawienia wolności (odbył ją w dużej części i wyjechał do RFN). Znaczenie krócej przebywał w więzieniu aresztowany w 1945 r. Henryk Borucki, który po 11 latach odbywania kary znalazł się na wolności. ©© Arkadiusz Karbownik

Wszystkie oblicza Marszałka

Takiego albumu jeszcze nie było! „Twórca Niepodległej. Józef Piłsudski (1867–1935)” Marka Gałęzowskiego i Jerzego Kirszaka to najobszerniejszy z dotąd wydanych wydawnictw albumowych o Marszałku. Ponad 360 stron zdjęć jest poprzedzonych obszernym szkicem biograficznym.

Autorzy przywołują słowa Józefa Wittlina: „Powietrze, którym oddychaliśmy w Polsce od r. 1918, składało się z tlenu, azotu i Józefa Piłsudskiego. On był klimatem naszego życia publicznego. On to życie ukształtował swoim marzeniem, heroizmem i wolą”.

W albumie zamieszczone zostały zdjęcia powszechnie znane, ale autorzy przecież nie poprzestali na nich. Przedstawiają w swojej książce wiele fotografii bardzo mało znanych, unikatowych, czasami zaskakujących. Takich jak np. to przedstawiające Piłsudskiego ostrzyżonego na jeża. Albo to zrobione na polnej drodze w Rumunii, gdy Marszałek rozmawia z kobietą w ludowym stroju. Nie jest to jednak wieśniaczka, wprost przeciwnie... Autorzy prostują też pokutujące błędy towarzyszące opisom zdjęć. Fotografia Piłsudskiego z dubeltówką nie została zrobiona na Syberii, lecz podczas polowania nad Dźwiną.

Znajdziemy w książce nie tylko zdjęcia. Towarzyszą im reprodukcje rysunków i obrazów oraz karykatur przedstawiających Marszałka, plakatów, ulotek, dokumentów.

Duża praca autorów, imponujący rezultat! ©© Tomasz Stańczyk



ANDRZEJ GĄSIOROWSKI
„POLSKA ARMIA LUDOWA
1943–1945. STUDIA.
FAKTY-MITY-TAJEMNICE”

MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ
W GDAŃSKU



**MAREK GAŁĘZOWSKI,
JERZY KIRSZAK**
„TWÓRCA NIEPODLEGŁEJ.
JÓZEF PIŁSUDSKI
(1867–1935)”

IPN, WBH



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Zapomniane zwycięstwo

Historyczne kablówki zaczęły pokazywać film Pawła Pitery o Krzyżakach. Mniejsza z tym, w której z nich akurat go obejrzałem – z telewizjami

kablowymi jest tak, że jeśli puści coś jedna, to prędzej czy później zrobią to i inne, wielokrotnie potem powtarzając w coraz większych odstępach czasu. Warto nie dać się zwieść mało wyrazistym tytułom, w którym jest coś o zbrojach oraz habitach, i obejrzeć. Tym bardziej że rzecz zasadniczo nie była robiona na polski rynek.

Otóż niby wszyscy tę historię znamy, szczególnie moje pokolenie, któremu PRL-owska szkoła wbijała do głów wszystko, co się wiązało z dziejami „Drang nach Osten”, ze szczególną namolnością, ale znamy ją tak jak w tym powiedzeniu o drzewach i lesie. To znaczy, każde drzewo może tak, ale lasu nam nigdy nie pokazano. I ten właśnie las w filmie widać świetnie.

Otóż istota sprawy w tym, że w chwili pojawienia się na pograniczu Mazowsza i Prus mnisi-rycerze z Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego reprezentowali cywilizację nieporównanie wyżej stojącą od polskiej, natomiast u schyłku wieku XV było odwrotnie. W potocznej narracji wszystko sprowadza się do kwestii militarnych. Polacy byli za słabi, żeby

wygrać wojnę z Krzyżakami, co najwyżej coś im tam urwali, tak jak pod Płowcami, ale po zjednoczeniu z Litwinami w końcu wygrali, i, co prawda, nie wykorzystali tego zwycięstwa od razu, ale w kolejnych wojnach to nadrobili.

Tymczasem militarne zwycięstwo pod Grunwaldem było w dużym stopniu owocem gospodarczego, cywilizacyjnego sukcesu Polski pod rządami ostatnich Piastów i Andegawena. I nawet lepiej wykorzystane politycznie niewiele by dało, gdyby Polska nie stała się krajem od

/ Nie cenimy sobie myśli, że mogliśmy się okazać sprawniejsi, bogatsi i bardziej ucywilizowani od Niemców. Szkoda

zakonnych Prus bogatszym, silniejszym, przyciągającym kupców i rzemieślników, oferującym rosnącemu w siłę mieszczaństwu nieznaną w państwie krzyżackim wolność, zarówno osobistą, jak i gospodarczą. Last but not least – ściągającym z nich dużo niższe podatki.

Zapominanymi zwycięzcami byli też Akademia Krakowska i jej prawnicy, na

czele z wielkim Pawłem Włodkowicem, który na soborze w Konstancji stoczył bój o poparcie potęg ówczesnego świata porównywalny z walką Dmowskiego na kongresie wersalskim. I podobnie jak pięć wieków później Dmowski – wygrał. Delegitymizacja działań zakonu wobec państwa polsko-litewskiego zbiegła się ze wzrostem naszego bogactwa, które sprawiło, że Zachodowi, odwrotnie niż w wieku XIV, zaczęło się bardziej opłacać robić z Polską interesy, niż wspierać Krzyżaków w łupieniu nas.

Symboliczny był upadek niezdobytego Malborka – zakon, nie mając pieniędzy na opłacenie zaciągniętych najemników, musiał oddać im twierdzę w zastaw, a ci wymienili ją na gotówkę u pruskich mieszczan, prących do poddania się Polsce. Nie z powodów narodowych, bo byli w większości Niemcami, ale po to, by cieszyć się podobną wolnością i dostatkiem jak Niemcy pozostający w służbie króla polskiego. Tak naprawdę, gdyby sprawę rozstrzygały wyłącznie zmagania zbrojne, nasze szanse na zwycięstwo byłyby dużo mniejsze, bo w budowaniu i obronie twierdz rycerze zakonnicy byli naprawdę dobrzy.

Niezwykle pouczająca historia, jakoś nieopatrnie wyparta z polskiej pamięci. Nie cenimy takich zwycięstw, nie cenimy sobie myśli, że mogliśmy się okazać sprawniejsi, bogatsi i bardziej ucywilizowani od Niemców. Szkoda. ©©



Piotr Semka

/ Felieton

Łatwo przyszło, łatwo poszło

Po latach znów wpadła mi w ręce książka Igora Newerlego – „Zostało z uczty bogów”. Newerly, znany przez lata PRL jako obsypany nagrodami autor propagandowego gniota „Pamiętka z celulozy”, opisał w wydanej w 1986 r. w paryskiej „Kulturze” powieści swój ukrywany wczesny romans z komunizmem. W 1918 r. w Rosji został zapalonym aktywistą Komsomołu, ale szybko się rozczarował i w 1921 r. oddał czerwoną książeczkę. W 1923 r. w Kijowie, biedując jako stenograf, otrzymał propozycję spisania wspomnień kawalerzystów słynnego wówczas generała Armii Czerwonej – Grigorija Kotowskiego (1881–1925). Newerly na jego przykładzie świetnie opisuje fenomen czerwonych dowódców konnych oddziałów rewolucji, którym chcę poświęcić ten felieton.

Byli to liderzy istnych „kmicicowych kompanii”, którzy wyrąbali szabłami zwycięstwo Lenina na wszystkich frontach wojny domowej w Rosji.

Ci, którzy przeżyli boje – Siemion Budionny, Michaił Frunze czy właśnie Grigorij Kotowski – zostali po wojnie ówczesnymi celebrytami. Newerly opisuje, jak w czasie rewolucji rosta sława Kotowskiego: „Z brygady rozwinęła się dywizja, z dywizji korpus – wyrósł na generała broni, na bohatera wojny domowej, ale jak gdyby z dawno minionej

formacji watażków chłopskich i atamanów kozackich”.

Newerly opisuje, jak Kotowski jeździł po swoich garnizonach jak basza po własnym księstwie. Co więcej, w ramach wolnorynkowej polityki NEP jego korpus zajął się sam biznesem i rozpoczął wymianę handlową towarami z wojskowych gospodarstw z polskimi kapitalistami. To w wyniku tej wymiany żołnierzom Kotowskiego szyto mundur z błękitnego sukna, które zostało w Polsce po armii hallerczyków. A Ko-

/ Stalin likwidował dowódców-celebrytów zadufanych w swojej sławie

towski, okazując swój styl lekceważenia dla kapitalistów, wyszedł na spotkanie z nimi w swojej daczce ubrany jedynie w slipki. Gdy zdumiony taką dezynwolturą Newerly zapytał o to szefa jego sztabu Wołosatowa, ten wyjaśnił:

„Atakować z zaskoczenia Grigorij Iwanowicz bardzo lubi. I czasem, wiecie, nie zaszkodzi utrząść komuś nosa, wytrącić z pewności siebie”.

Ten świat dziki i nieposkromiony nie mógł trwać długo, w miarę jak swą władzę wzmacniał Stalin.

Jako pierwsi zostali usunięci z drogi dwaj „legendarni dowódcy” – Michaił Frunze i właśnie Kotowski.

Newerly wspomina: „Dwa lata potem, w 1925 roku, przeczytałem w prasie warszawskiej, że na Ukrainie intendent zastrzelił swojego szefa Grigorija Kotowskiego, dowódcę drugiego Korpusu konnego [...]”. W oficjalnych życiorysach podaje się tylko, że „został 6 sierpnia 1925 r. zdradziecko zamordowany w sowchozie Czabanka pod Odessą. Bez wyjaśnienia przez kogo, z jakich pobudek i w jakich okolicznościach”. Dziś już wiadomo, że mordercą Kotowskiego był oficer uważany za jego przyjaciela – Sender Maier, który ponoć zemścił się za romans z jego żoną. W 1926 r. skazano go za mord na 10 lat więzienia, ale, co znaczące, wypuszczono go po dwóch latach. Wtedy Maiera załukli byli podkomendni Kotowskiego, ale tych nikt nie pociągnął do odpowiedzialności. Wypisz wymaluj – stalinowski montaż. W tym samym 1925 r., tyle że dwa miesiące po Kotowskim, w czasie szpitalnej operacji zmarł Frunze. Przedawkowano narkotyków, na który był uczulony.

Wtedy, w 1925 r., Stalin jeszcze nie zdecydował się na procesy pokazowe, w jakich skazano na śmierć marszałków ZSRS Michaiła Tuchaczewskiego, Wasilija Blüchera czy Aleksandra Jęgorowa.

Już jednak usuwał sobie z drogi konkurentów. A im bardziej byli zadufani w swej sławie, tym łatwiej było ich likwidować. ©©



1562–1795 /

Ostatnie polskie



Tomasz Stańczyk

**/ Kurlandia i Semigalia
były przez ponad
dwieście lat pod
zwierzchnictwem
Rzeczypospolitej.
W XVIII w. już tylko
na papierze**

Gotthard Kettler, landmistrz inflanckiej gałęzi zakonu krzyżackiego, był realistą. Zdawał sobie sprawę, że niewielkie państwo zakon- ne stanie się ofiarą rywalizacji dwóch potęg: Rzeczypospolitej i Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. W 1557 r. Zygmunt August zmusił państwo zakonne do zawarcia sojuszu przeciw Moskwie, co ściągnęło napaść cara Iwana IV Groźnego na Inflanty. Kettler został landmistrzem w 1559 r. Nie widząc szansy na pomoc ze strony Zachodu, zagrożony także przez Szwedów,

dwa lata później zawarł układ z Zygmuntem Augustem. Przekazał mu terytorium państwa zakonnego w zamian za wykrojone z jego terenu, dziedziczne Księstwo Kurlandii i Semigalii. To właśnie wtedy w szeregi polskiej szlachty weszły inflanckie rody pochodzenia niemieckiego: Borchowie, Manteufflowie, Platerowie, Puttkamerowie, Römerowie, Taubowie, Tyzenhauzowie, Zyberkowie.

Jednocześnie Gotthard Kettler rozwiązał zakon krzyżacki. Wkrótce potem związał się zaś węzłem małżeńskim, dając początek dynastii Kettlerów.

Rzeczpospolita wciąż walczyła o ziemię nadbałtyckie ze Szwedami. Kurlandczycy okazali się cennymi sojusznikami w bitwie pod Kircholmem. Znacznie przyczynili się w 1605 r. do zwycięstwa hetmana Jana Karola Chodkiewicza. Jeden z nich, Mateusz van der Recke, o mało co nie wziął do niewoli Karola IX.

Panowanie dynastii Kettlerów obfitowało w częste spory między szlachtą kurlandzką a książętami. Pochodzący z Inflant historyk Gustaw Manteuffel pisał, że zatargi te były „powtórzeniem na małą skalę walki prowadzonej w Rz-

plitej pomiędzy anarchiczną oligarchią a dążącymi do wzmocnienia władzy królami”. Jeden z konfliktów zakończył się śmiercią opozycjonisty, Magnusa Noldo, zamordowanego z rozkazu księcia Fryderyka Kettlera. Zygmunt III skazał go na banicję.

Kettler zakłada kolonie

Najwybitniejszym Kettlerem był jego bratanek Jakub, książę Kurlandii i Semigalii w latach 1642–1682. Wspomagał Władysława IV w jego wyprawach na Moskwę. Widząc jednak, że ciągłe wojny między Szwecją a Polską niszczą jego kraj, starał się rozluźnić stosunek lenny z Polską lub nawet go zerwać. Jak pisał Manteuffel, dzięki swojej niezwyklej zręczności dyplomatycznej zapewnił księstwu Kurlandii i Semigalii poszanowanie neutralności ze strony nie tylko Szwecji, lecz także Rosji. Jednak Karol X Gustaw podeptał to porozumienie. Podczas wojny polsko-szwedzkiej zaatakował księstwo Kettlera, osaczył go w stolicy – Mitawie. Książę stał się



Pałac w Rundāle, rezydencja Ernesta Jana Birona FOT. WIKIPEDIA

lenno



Księstwo Kurlandii i Semigalii (II połowa XVIII w.)

szwedzkim jeńcem. Jakub Kettler odzyskał wolność i tron w wyniku traktatu oliwskiego w 1660 r.

Władca ten jeszcze bardziej niż dyplomacją wsławił się budową kurlandzkiej floty, zarówno handlowej, jak i wojennej. Miała porty w Lipawie i Windawie. Zapisał się też w historii próbami handlu zamorskiego i kolonialnej ekspansji, do czego próbował – bezskutecznie – namówić Władysława IV i Jana Kazimierza. W 1651 r. kurlandzki okręt pojawił się u ujścia rzeki Gambii w Afryce, a jego dowódca zakupił od miejscowych plemion dwie wyspy i pas łąd. Prawdopodobnie rok później Jakub Kettler zakupił – lub otrzymał w darze od swego ojca chrzestnego, angielskiego króla Jakuba I – posiadłości na wyspie Tobago w Ameryce Południowej.

Historia tych kolonii, zasiedlonych przez Kurlandczyków, była jednak bardzo krótka. Korzystając z uwiecznienia księcia Jakuba przez Szwedów, Holendrów, a potem Anglicy, zajęli gambijskie posiadłości Kurlandii, a te na Tobago zostały opanowane przez Holendrów.

Szwedzi ponownie zajęli Kurlandię podczas wojny północnej, na początku XVIII w. Ferdynand Kettler, sprawujący władzę jako regent w imieniu małoletniego Fryderyka Wilhelma, musiał opuścić księstwo. Gdy sytuacja się uspokoiła, szlachta kurlandzka wezwała w 1709 r. do powrotu z wygnania 17-letniego Fryderyka Wilhelma Kettlera. Przebywał wówczas w państwach niemieckich i był zakochany w księżniczce Karolinie Wolfenbüttel.

Gustaw Manteuffel pisał: „Trzeba było wybierać pomiędzy Karoliną a Kurlandią; książę przeto zadając swemu sercu gwałt, zdecydował się wrócić do kraju i przyjąć warunek poślubienia rosyjskiej księżniczki”.

I właśnie wtedy zaczął się okres rosyjskiej dominacji nad księstwem Kurlandii i Semigalii, aż do jego końca. Od tego czasu tylko teoretycznie będzie podlegać Rzeczypospolitej. Car Piotr I nie pozwolił młodemu Kettlerowi na wybór spośród kilku księżniczek, o których portrety prosił. Po prostu wyznaczył mu jedną z nich – Annę, córkę nieżyjącego już cara Iwana V. Nie zgodził się też na ślub w Mitawie. Odbył się on więc Petersburgu. Kilka miesięcy później Fryderyk Wilhelm Kettler już nie żył. Zapewne jego zdrowie podkopały i przyczyniły się do jego

■ śmierci wielkie pijaństwa w rosyjskim stylu podczas ślubu i kolejnych uroczystości na dworze w Petersburgu. Anna, wdowa po nim, zjawiała się w Mitawie w asyście rosyjskich żołnierzy...

W 1726 r. Maurycy Saski, nieślubny syn Augusta II i Aurory von Königsmarck, „umyslił wziąć księstwo szturmem razem z ręką Anny” – jak pisał znakomity historyk Władysław Konopczyński. Anna podobno nie miała nic przeciwko temu. A szlachta kurlandzka opowiedziała się za Maurycym, „zachwycającym awanturnikiem”. Został przez nią wybrany na księcia. Ta samowola oburzyła opinię szlachecką w Rzeczypospolitej. Nie miało to jednak znaczenia. Decydujący głos miał Petersburg. Książę Maurycy Saski musiał ustąpić przed rosyjskimi bagnetami.

Na początku lat 30. XVIII w. inwestyturę na księstwo otrzymał Ferdynand Kettler. Był ostatnim z rodu. Zmarł w 1737 r. Rzeczpospolita nie miała absolutnie nic do powiedzenia w sprawie następstwa po nim. Pod dyktando carycy Anny Iwanowny, byłej księżnej Kurlandii, August III, płacąc – jak pisał Konopczyński – za poparcie Rosji podczas elekcji, nadał księstwo jej faworytowi i szarej eminencji. Był nim Ernest Jan Biron pochodzący z Kurlandii. Jednak po śmierci swojej protektorki, w 1740 r., został uwięziony w Rosji i skazany na śmierć pod zarzutem zdrady stanu. Ostatecznie ocalał głowę. Został wywieziony na Sybir. Miało to być jego dożywotnie zesłanie...

Piękna Krasieńska

Przez prawie 20 lat księstwem zarządzała Rada Książęca. I choć Kurlandia i Semigalia były wciąż lennem Rzeczypospolitej, rada słuchała się tylko carskiego rezydenta.

W 1758 r. Rosja łaskawie się zgodziła, by księstwo Kurlandii i Semigalii objął Karol Krystian Wettyn, syn Augusta III. Po zgodę musiał pojechać do Petersburga. Uzyskał ją od carycy Elżbiety. Niezwykle uroczyste nadanie księstwa zgotowane Karolowi Krystianowi przez Augusta III w Warszawie miało przykryć to, że była to tylko formalność.

Dwa lata później 27-letni Karol Krystian Wettyn ożenił się z 18-letnią Franciszką Krasieńską. Potajemnie, gdyż nie takiego mariażu chciał dla niego ojciec



Franciszka Krasieńska FOT. WIKIPEDIA



Karol Krystian Wettyn FOT. WIKIPEDIA

– August III. Podobno planował, by jego żoną została arcyksiężna austriacka. Jednak gdy Karol Krystian poznał Franciszkę, z miejsca się w niej zakochał.

Dziewiętnastowieczny historyk Juliusz Falkowski pisał o Franciszce: „Wysmukła jak młoda topól, hoża jak rozkwitająca różyczka, z dużymi czarnymi oczami i noskiem lekko zadartym”. Po menuecie zatańczonym na balu, w dniu, gdy ją poznał, młody Wettyn zwierzył się jej kuzynowi Lubomirskiemu, wojewodzie lubelskiemu, że przenosi ją nad wszystkie księżniczki świata. Krasieńscy byli bardzo zadowoleni z tego związku.

„Połączenie to z domem panującym przydawało nowego splendoru rodzinie

Krasieńskich, przysparzając im znaczenia i powagi; związek ten niepomniernie też wbił ich w dumę nadzieją ujrzenia jednej z Krasieńskich na tronie polskim” – stwierdzał historyk Kazimierz Pułaski w szkicu „Z życia księżnej kurońskiej”.

Karol Krystian miał ambicję odziedziczenia tronu po ojcu. Był zresztą bardzo lubiany w Polsce, łatwo zdobywał sobie sympatię. Poza tym niczym szczególnym się nie odznaczał. Problemem jednak było to, że gdyby został królem, unia polsko-saksońska uległaby rozerwowaniu. Tron saski przypadłby bowiem po śmierci ojca jego starszemu bratu. Nie było to przynajmniej w interesie wszechwładnego ministra Brühla, który próbował przekupić Franciszkę, by zerwała związek małżeński. Odmówiła.

Nie miało to jednak znaczenia. Żaden z synów Augusta III nie miał szans na polską koronę. Przyszłą elekcją rządziła bowiem Rosja. A Katarzyna II wybrała na króla swojego byłego kochanka – Stanisława Augusta.

Zanim osadziła go na tronie, podjęła decyzję w sprawie Księstwa Kurlandii i Semigalii. Mimo że nadal było lennem Rzeczypospolitej, nie Rosji. Zdecydowała w 1763 r., że władzę w księstwie obejmie znów – po 23 latach – przywrócony do łask Ernest Jan Biron. Jednak Karol Krystian Wettyn nie zamierzał ustępować. Nie mógł już, oczywiście, liczyć na wsparcie bezwolnej i pozbawionej siły Rzeczypospolitej. Zdobyła się bowiem tylko na słowny protest. Po kilku miesiącach oblężenia Mitawy przez Birona, wspomaganego przez kilkunastotysięczny rosyjski korpus ekspedycyjny, Wettyn musiał skapitulować. Zresztą August III nakazał mu się wycofać ze straconej placówki.

Karol Krystian Wettyn po utracie Księstwa Kurlandii i Semigalii wyjechał do Saksonii. Żony nie zabrał ze sobą. Po prostu ją porzucił. Pisano o nim, że będąc nawet w nieśłałości nieślały, zwracał się niekiedy z czułością do żony, aby po chwili znów o niej zapomnieć.

Czas konfederacji

Franciszka zamieszkała u ciotki Zofii Lubomirskiej, wojewodziny lubelskiej, w Opolu Lubelskim. Podczas konfедера-

cji barskiej jej rezydencją był Lubliniec na Śląsku. Zjeżdżali się tam przywódcy konfederacji. Wśród nich najtęższą głową był jej krewny Adam Krasiński, biskup kamieniecki. Być może właśnie tam narodził się plan, by mąż Franciszki został naczelnym dowódcą wojsk konfederackich. Z perspektywą, po zwycięstwie, odzyskania władzy w Kurlandii i Semigalii. A może nawet polskiej korony...

Jak jednak pisał Juliusz Falkowski, Karol Krystian Wettyn zachowywał się względem konfederacji tak jak wobec żony: „Sprzyjał jej serdecznie, rad jej nie szczędził, ale połączyć się z nią nie śmiał”. A raczej: nie chciał. Tymczasem jego żona aktywnie działała w ruchu konfederackim. Usiłowała godzić pokłóconych dowódców: Józefa Zarembę i Kazimierza Pułaskiego. Do tego pierwszego pisała:

„Kochany regimentarzu, nic mi nie pozostaje, jak tylko WMPana błagać, abyś przyjaźń z marszałkiem łomżyńskim utrzymywał. Dasz wierny dowód patriotyzmu. [...] Powtarzam imieniem męża mojego z jego zlecenia o jedność i konfidencję do Pułaskiego. Oboje ręczymy za niego”.

Podobno Pułaski był zakochany jako młody chłopiec we Franciszce od czasu, gdy z jej mężem bronił Mitawy...

Tymczasem o względy porzuconej żony starał się Józef Antoni Jabłonowski. Nie zdołał jednak przekonać Franciszki, by zerwała z mężem. Zresztą małżonkowie po latach rozłąki zeszli się znów. W 1770 r. w Dreźnie przyszła na świat córka Maria Krystyna, jedyne ich dziecko. Została żoną księcia Karola Emanuela z dynastii sabaudzkiej, matką Karola Alberta, króla Sardynii, babką Wiktora Emanuela II, pierwszego króla zjednoczonych Włoch.

Franciszka zmarła w Dreźnie w 1796 r. Dwa lata wcześniej w Księstwie Kurlandii i Semigalii doszło do epizodu powstania kościuszkowskiego. Wybuchło tam pod koniec czerwca 1794 r. i trwało do połowy sierpnia. Dowódcą sił powstańczych był Kurlandczyk Henryk Mirbach.

Księstwo Kurlandii i Semigalii należało wówczas do Piotra Birona, syna Ernesta Jana. W 1795 r. abdykował i sprzedał je Rosji. W ten sposób Biron dopełnił aktu III rozbioru Rzeczypospolitej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Samoobrona kresowa



Tomasz Stańczyk

Na północno-wschodnich kresach sytuacja pod koniec 1918 r. była napięta i niejasna. Stacjonowały tam wojska niemieckiego „Ober-Ostu”, powstawały rady żołnierskie. Polacy zaś organizowali oddziały samoobrony przed anarchią i bolszewizmem. W perspektywie zaś miały one opanować ziemie nad Wilią i Niemnem.

Zapalczywy były carski gen. Władysław Wejtko, ze Związku Wojskowych Polaków miasta Wilna, chciał – jak sam wspominał – wysłać ultimatum do niemieckiej rady żołnierskiej, żądając wydania Polakom 10 tys. karabinów. Groził powieszeniem jej przewodniczącego na „suchej gałęzi” i „wyrznięciem” wszystkich Niemców. Jednak Komitet Bezpieczeństwa, na czele z prezydentem miasta, nie pozwolił mu na postawienie takiego ultimatum.

W ostatnich dniach grudnia 1918 r. żołnierze niemieccy w Wilnie myśleli już tylko o powrocie do ojczyzny. Natomiast miejscowi bolszewicy sposobili się do przejęcia miasta. Ufortyfikowali się w dwóch kamienicach przy ul. Wroniej. Zaraz po północy 1 stycznia 1919 r. oddział samoobrony pod dowództwem podrotmistrza Jerzego Dąbrowskiego (Dąmbrowskiego) zaatakował „Wronie gniazdo”. Polacy wzięli je szturmem, biorąc do niewoli kilkudziesięciu bolszewików. Trzeciego dnia nowego roku stoczyli walkę z wycofującymi się Niemcami. Jednak 5 stycznia 1919 r. nadciągnęła pod Wilno Armia Czerwona. Polska samoobrona, nie widząc szans na skuteczną obronę, wycofała się z miasta. Wilno zostało odbite z rąk bolszewików w kwietniu 1919 r.

Legendą kresowej samoobrony stał się oddział partyzancki braci Dąbrowskich, Jerzego i Władysława, będący postrachem bolszewików. W jego szeregach znaleźli się m.in. bracia Mackiewiczowie – Józef i Stanisław. Żołnierz oddziału, Walerian Meysztowicz, pisał o Jerzym Dąbrowskim: „Chudy, świetnie wrośnięty w siodło, sprężyste zgięty na tańczącym kasztanie, z wydatnym nosem, krzywą głową, sterczącymi uszami, z wysadzonymi oczami – wysoko podniósł szablę, konia osadził i palnął niezapomnianą przemowę, z trzech słów: »Chłopczy – Ojczyzna – Bolszewicy«”. We wrześniu 1939 r. Dąbrowski walczył ponownie przeciw Armii Czerwonej. Bolszewicy dopadli go w 1940 r. i zamordowali.

Powstanie Samoobrony Ziemi Grodzieńskiej, na której czele stanął urodzony w majątku pod Grodnem były carski oficer, gen. Mikołaj Sulewski, miało ten skutek, że – jak wspominał Wejtko – „ustały w powiecie wszelkie rekwizycje i gwałty ze strony Niemców”. Ostatecznie jednak Niemcy w styczniu 1919 r. rozbroili samoobronę. O losach Samoobrony Ziemi Grodzieńskiej powstał niedawno krótkometrażowy film fabularyzowany, którego producentem jest Fundacja Joachima Lelewela. © ©

1396 r. / Klęska Zygmunta Luksemburskiego pod Nikopolis

Krucjata utopiona w Dunaju

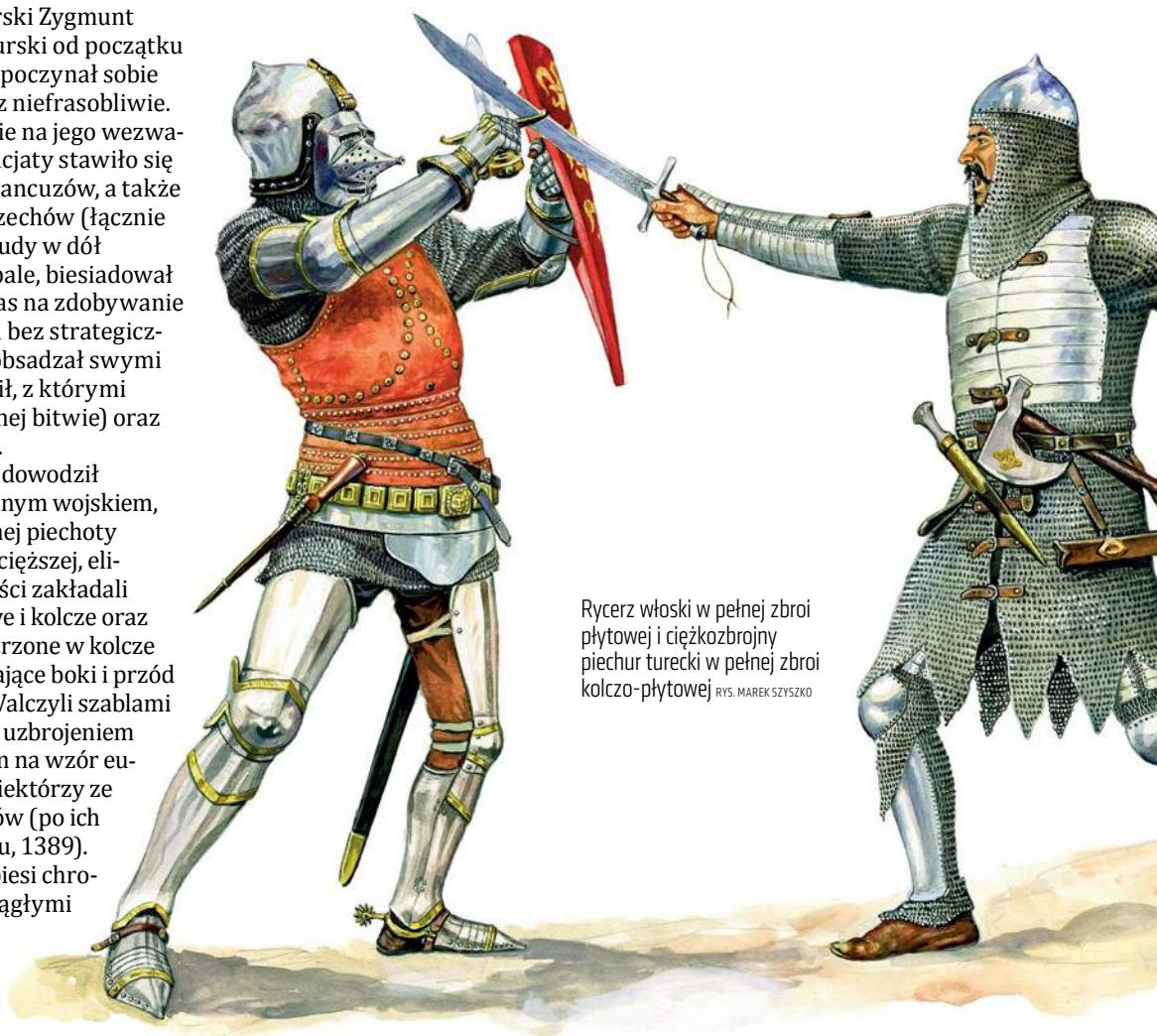


Maciej Rosalak

„Sultán turecki zastał wojsko katolickie i króla Zygmunta rozproszone w całkowitym bezładzie i bez broni, blakające się jak stado owiec, co nastąpiło wskutek lekkomyślności i zuchwalstwa Francuzów...” (Jan Długosz)

Król węgierski Zygmunt Luksemburski od początku kampanii poczynił sobie nad wyraz niefrasobliwie. Wprawdzie na jego wezwanie do krucjaty stawili się poza Węgrami wielu Francuzów, a także Anglików, Niemców i Czechów (łącznie ponad 20 tys.), ale od Budy w dół Dunaju posuwał się ospale, biesiadował z rycerstwem, tracił czas na zdobywanie pomniejszych warowni bez strategicznego znaczenia, które obsadzał swymi załogami (większości sił, z którymi ruszył, zabrakło w walnej bitwie) oraz zaniedbał rozpoznania.

Sultán samodzielnie dowodził doskonale zorganizowanym wojskiem, złożonym z karnej i bitnej piechoty janczarów, lekkiej oraz cięższej, elitarniej jazdy. Kawalerzyści zakładali często pancerze łuskowe i kolcze oraz stożkowe hełmy zaopatrzone w kolcze czepce szczelnie osłaniające boki i przód twarzy oraz ramiona. Walczyli szablami i włóczniami. Cięższym uzbrojeniem ochronnym i zaczepnym na wzór europejski dysponowali niektórzy ze zwasalizowanych Serbów (po ich klęsce na Kosowym Polu, 1389). Zarówno jeźdźcy, jak i piesi chronili się kałkanami – okrągłymi tarczami z rattanu, splecionymi sznurami, z metalowym umbem. Janczarów



Rycerz włoski w pełnej zbroi płytowej i ciężkozbrojny piechur turecki w pełnej zbroi kolczo-płytowej RYS. MAREK SZYSZKO

zbrojono w dzidy i szable oraz łuki.

Na tle dość lekko uzbrojonych wojowników tureckich Europejczycy prezentowali się imponująco. Wydawało się, że rycerze zakuci w stalowe zbroje, w hełmach z przyłbicami, chronieni dodatkowo dużymi tarczami, uzbrojeni w długie kopie i wielkie miecze zetrą przeciwników w proch i pył. Jednak ich wspólni i bitni jeźdźcy w rzeczywistości nie mieli jednego dowódcy, który potrafiłby koordynować atak i obronę, hufce każdego z feudalnych możnowładców nie współdziałały, ale konkurowały ze sobą, a taktyka rycerstwa, skuteczna na turniejach, zawiodła na całej linii. Rycerz, pod którym ubito konia, a tak się działo nad Dunajem, pozostał bezradny.

Przebieg bitwy w największym skrócie wyglądał następująco. Pierwsi – samowolnie, aby nie dać się ubiec innym

– uderzyli na lewym skrzydle Francuzi. Lekka jazda turecka ustąpiła przed nimi pola, co uznali za zwycięstwo i zaatakowali janczarów. Ci nie ustąpili. Ciężkozbrojni rycerze na koniach, wiodąc swe poczty, pieśli się pod górę, a kiedy dotarli do umocnień, za którymi kryli się piechurzy, na ich konie spadł grad strzał.

Spieszeni, poranieni i bezradni stali się celem błyskawicznej szarży ciężkozbrojnej jazdy, którą poprowadził sułtan Bajazyt I. Ci, którzy nie zginęli, dostali się do niewoli, tak jak ich dowódca, lekkomyślny Jan de Nevers, który bił się tak dzielnie, że otrzymał przydomek

Bez Trwogi. A powinien: Bez Rozumu.

W tym czasie Zygmunta poprowadził wojska centrum tak niemrawo,

że zabrało mu to godzinę. Nie zdążył pomóc Francuzom, za to Bajazyt zdążył od nowa sformować oddziały, wysuwając na pierwszą linię janczarów. Zaatakowali ich Wołosi, a następnie krzyżowcy, którzy przełamali ich szyki i uderzyli na lekką jazdę. I znów się ona cofnęła, znów Europejczycy uznali to za zwycięstwo, rozproszyli się w pogoni i znów spuściła im srogie lanie ciężka konnica sułtana.

Wtedy sułtan wysłał do natarcia Serbów ks. Stefana Łazarowicza na prawe, węgierskie skrzydło krzyżowców. Z porażającym skutkiem. Pokonanych ogarnęła panika i jak zawsze w takich wypadkach właśnie wtedy najwięcej z nich dało głowę. Wielu utonęło w Dunaju. I tak prawosławni chrześcijanie przypieczętowali triumf muzułmanów nad łacińską krucjatą.

Turek, Niemiec i Francuz

Sułtana Bajazyta I (1354–1403) nazywano Błyskawicą. On to po stracie ojca sułtana Murada I na Kosowym Polu doprowadził bitwę do zwycięskiego końca i w efekcie opanował Bałkany. Zwasalizował Bizancjum i zapewne wkroczyłyby do Konstantynopola, gdyby nie wojna z jesz-

cze gorszym rzezimieszkim muzułmańskim – chanem Timurem Kulawym. Tenże zadał mu klęskę, a następnie podejmował jak honorowego gościa, tyle że Bajazyt owej gościnności (podobnie jak podanej mu trucizny) w 1403 r. nie przeżył. Siedem lat wcześniej zwinął oblężenie stolicy bizantyjskiej i ruszył pod Nikopolis nad Dunajem – twierdzy strzegącej północnych rubieży jego włości – aby odeprzeć krzyżowców. 25 września 1396 r. 42-letni sułtan wyprowadził w pole 15-tysięczną armię, mając przeciw sobie trzykrotnie mniej liczne wojska pod nominalną wodzą króla węgierskiego Zygmunta Luksemburskiego.

W obozie łacinników dwaj znacznie młodszy mężowie ubiegali się o przywództwo.

Zygmunt Luksemburski miał wtedy 28 lat, był synem cesarza, ale do posiadanego od dzieciństwa tytułu elektora brandenburskiego zdążył wtedy dołączyć jedynie splendor króla węgierskiego (1387). Właśnie jako król Węgier, zaczynających wówczas odgrywać heroiczną rolę antemurale christianitatis (przodemurza chrześcijaństwa), poprowadził krucjatę przeciw Osmanom. Pamiętajmy, że królem niemieckim został (1410) dopiero kilkanaście lat po Nikopolis, a koronę św. Wacława uzyskał w roku 1419, ale tron w Pradze zdołał objąć (1436) rok przed śmiercią. Cesarzem rzymskim narodu niemieckiego obrano go w 1433 r., czyli cztery lata przed śmiercią. Podejmował działania utopijne, skazane na niepowodzenie tym bardziej, że w ich realizacji popełniał liczne błędy. Nadmierne ciężary nakładane na poddanych, by sfinansować wysiłek militarny, prowadziły do buntów przeciw niemu, a udział w uwięzieniu i straceniu Jana Husa podczas soboru w Konstancji (1414) wrogo nastawił doń Czechów.

Uznał się Zygmunt za obrońcę Europy zarówno przed muzułmanami, jak i przed heretykami, za których uważał czeskich husytów. Mimo że przegrywał wyprawy przeciw jednym i drugim, widział się spadkobiercą wielkich przodków: pradziada, dziada i ojca. Pradziad ■



Miniatura Jeana Colombe'a z XV w., przedstawiająca bitwę pod Nikopolis. FOT. WIKIPEDIA

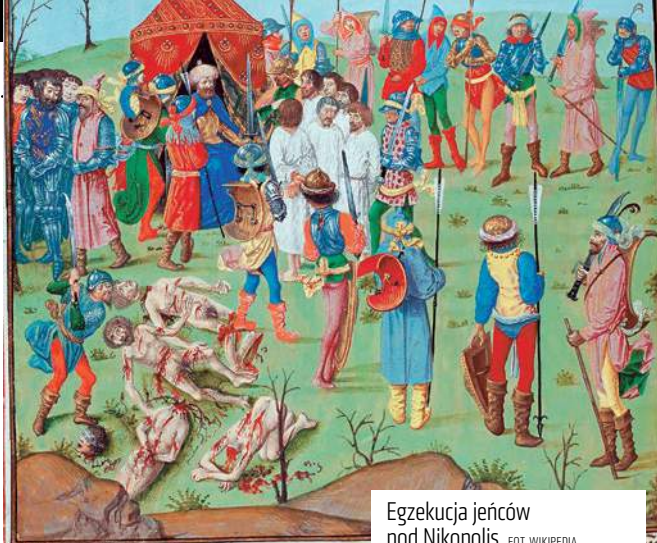


■ – Henryk VII Luksemburski (1278/79–1313) – był wprawdzie cesarzem zaledwie rok przed śmiercią, ale dał się poznać ze zwycięstwa nad konkurującymi z nim Wittelsbachami oraz z twardych dążeń do odrodzenia cesarskiej supremacji w Europie. Natomiast ojciec Zygmunta – słynny, zwłaszcza wśród Czechów, Karol IV Luksemburski (1316–1378), cesarz od 1355 r.

– wydał tzw. Złotą Bullę, w której ustalił skład siedmiu elektorów (wybierających cesarza) z największych krajów Rzeszy. Dziadkiem Zygmunta był zaś król czeski Jan Luksemburski zwany Ślepym, znany z bitew (zwłaszcza zwycięstw nad Piastami) i turniejów rycerskich wojowników, który – całkowicie już ociemniały – zginął, walcząc do końca pod Crécy (1346) po stronie Francuzów pokonanych tam przez Anglików.

25-letni Jan (1371–1419) – dowodzący pod Nikopolis rycerstwem z Burgundii, Francji i Anglii, najstarszy syn księcia Burgundii Filipa II Śmiałego z bocznej linii Walezjuszków – przeszedł do historii z przydomkiem: Bez Trwogi (choć pod Nikopolis złożył broń). Tata wykupił go z niewoli następnego roku za wielką sumę, natomiast wielu uboższych podwładnych, których rodzin nie stać było na okup, cierpiało w niewoli u Osmanów do śmierci. Dzisiaj może też rodzić się pytanie o to, czy oddanie się w niewolę jest bardziej zasadne i honorowe od ucieczki z pola walki, a następnie powrotu i próby zwycięstwa nad wrogiem, co z powodzeniem stosowały wojska azjatyckie. Jednak w opinii ówczesnych elit europejskich postępowanie Jana było w pełni zgodne z kanonem rycerskim. Dlatego gdy w 1405 r. został księciem Burgundii, stał się dla szlachetnie urodzonych idolem i wzorcem do naśladowania.

Przypomnijmy, że włości burgundzkie od końca XIV w. do kresu kolejnego stulecia obejmowały poza Burgundią rozległe i bogate krainy: m.in. Brabancję, Flandrię, Luksemburg, Nevers... Tworzyły one jakby rdzeń zachodniej Europy od Morza Północnego do Alp. Stało się tak głównie dzięki nadaniom bliskiego krewnego, czyli króla Francji, oraz dobrze zaplanowanym małżeństwom. Stolica Burgundii – Dijon – była wtedy centrum europejskiej kultury rycerskiej, o czym



Egzekucja jeńców pod Nikopolis FOT. WIKIPEDIA

tak zajmująco pisał Johan Huizinga w „Jesieni średniowiecza”. Rola stronnictwa burgundczyków podczas wojny stuletniej polegała jednak głównie na walce nie z angielskimi najeźdźcami, ale z obrońcami francuskiego tronu – armaniakami. Jan posunął się nawet do zamordowania (1407) przywódcy przeciwników – Ludwika księcia Orleanu, sprawującego regencję w imieniu młodszego brata, obłąkanego króla Karola VI. Cóż, 12 lat później sam padł ofiarą zamachu, uderzony w głowę siekierą na moście w Montereau. Czego zaniechał Bajazyt I Błyskawica, tego dokonał Tanneguy du Châstel, dawny dworzanin Ludwika Orleańskiego...

Tacy to byli trzej herosi bitwy pod Nikopolis, a choćby z tego zestawienia również nasuwają się odpowiedzi na pytanie o przyczyny krwawej rzeźni chrześcijan.

Wedle Długosza...

Nasz dziejopis urodził się 19 lat po tragicznej bitwie, a więc pamięć o niej była w jego pokoleniu dość żywa. Mógł czerpać z relacji świadków, a nawet uczestników wydarzeń, oraz z dokumentów kancelarii królewskiej. Oto fragmenty:

„Król węgierski Zygmunta, pragnąc sam z siebie wypowiedzieć wojnę Turkom i ich sułtanowi Bajazytowi [...], zebrał z różnych krajów i narodów różnorakie oddziały zbrojne i z potężną armią złożoną zarówno z własnych, jak i obcych wojsk rusza do ziem i posiadłości tureckich. [...] Kiedy zaś złączono razem różnorodzone, składające się z różnych narodów oddziały, powstało tak znaczne i liczne chrześcijańskie wojsko, że książęta wybijali dla niego pięcioraką monetę.

Ale tak wielkiemu i dzielnemu wojsku brak było wodza i karności wojskowej.

[...] Sułtan turecki Bajazyt, czyli Kalapin, który nadszedł z mnóstwem zbrojnych, zastał wojsko katolickie i króla Zygmunta rozproszone w całkowitym bezładzie i bez broni, błakające się jak stado owiec, co według twierdzenia większości nastąpiło wskutek lekkomyślności i zuchwalstwa Francuzów oraz nadmiernej chęci ubiegnięcia innych w walce. Kiedy panowie

węgierscy z królem Zygmuntem uciekali [...], przeprawiwszy się przez Dunaj na łodziach, by uniknąć grożącego niebezpieczeństwa, Francuzi, Polacy, Niemcy, Czesi, Burgundowie, Hiszpanie i część Węgrów, starłszy się z Turkami, łatwo przez nich zostali pokonani i rozgromieni. Podczas gdy garstka zbiegła, reszta zginęła lub dostała się do niewoli. Bardzo dostatni obóz wojska katolickiego został rozgrabiony przez Turków. Ponieważ książę burgundzki Jan uważał ucieczkę za rzecz szpetną i haniebną, z wieloma rycerzami, którzy w podobny sposób strzegli honoru rycerskiego, trafił do niewoli i dopiero po dwu latach został wykupiony za 100 tysięcy florenów. [...] nastąpiła tak wielka klęska chrześcijańskiego wojska, że brak słów do opisanie, jak wielką siłę katolickiego wojska zniszczyli barbarzyńcy, jakich rycerzy ujęli i uprowadzili do pożałowania godnej niewoli, jakie majątki zagarnęli.

Z rycerzy polskich zginął Ścibor ze Ściborzyc herbu Ostoja i Tomasz Kalski herbu Róża...”

Tutaj należy się wyjaśnienie, że Ścibor ze Ściborzyc (1347–1414) nie tylko wtedy nie zginął, lecz także uratował życie uciekającemu królowi. Już wcześniej był zresztą hojnie nagradzany za służbę u Luksemburczyka. Stał na czele chorągwi siedmiogrodzkiej i był jednym z najbogatszych magnatów węgierskich. Po powrocie spod Nikopolis tłumił bunt i rozprawił się z hospodarem wołoskim Władem Uzurpatorem (krewnym Władą Diabła i Diabła Draculi). Rychło został panem na 31 zamkach i 200 miastach oraz wsiach, głównie w dolinie Wagu na dzisiejszej Słowacji. Wprawdzie w 1410 r. dostarczył królowi polskiemu wypowiedzenie wojny przez Zygmunta, ale wcześniej wymusił na Krzyżakach ponad 60 tys. złotych dukatów przy sprzedaży Nowej Marchii, co – wraz z 40 tys. duka-

tów za przystąpienie Luksemburczyka do wojny – katastrofalnie uszczupliło skarb zakonu. I jeszcze jeden Polak u Długosza:

„Rycerz z ziemi sieradzkiej Świętosław herbu Łada zwany Szczenie, kiedy nie mógł wsiąść do łodzi, którą przeprowadził się król Zygmunt ze znaczniejszymi rycerzami, ponieważ go odepchnięto, bo ludzie, którzy się w niej znajdowali, z obawy, by łódź obciążona tłumem nie poszła na dno, oddali nawet ręce usiłującym się do niej dostać, ufając swej odwadze i sile fizycznej, tak jak był uzbrojony do walki, obciążony żelazem wskoczył w fale Dunaju i przepływając koryto Dunaju, w tym miejscu rwące i szerokie, uratował się. Król węgierski Zygmunt, widząc całe zamieszanie, obawiając się, żeby sam żywy nie dostał się w ręce Turków, przerażony i zrozpaczony [...] po przepłynięciu rzeki w spiesżnej ucieczce udał się do Konstantynopola. Zabawiwszy tam jeden rok, przewieziony dzięki życzliwości Wenecjan ich okrętami do Dalmacji, wrócił na Węgry. Ta tak straszna klęska i tak sromotna hańba dodała zaiste – jak się zdaje – wiele sił i odwagi Turkom, tak że podniesieni dzięki temu na duchu stali się odważniejsi i bardziej okrutni oraz nabrali śmiałości do wielkich czynów”.

Czyń te, jak wiemy, doprowadziły Turków w ciągu następnych trzech stuleci do serca Europy, i dopiero wiedeńska wiktoria powstrzymała ich ekspansję. To była ostatnia zapewne krucjata, która mogła ocalić południe Europy przed ekspansją turecką, a może nawet uchronić przed nią Konstantynopol. Padł on 57 lat później, niespełna dekadę po tragicznej bitwie pod Warną. O ile Władysław, król Węgier i Polski, miał już znikome szanse na zwycięstwo, o tyle Zygmunt Luksemburski wiódł w 1396 r. silną armię z najznakomitszymi rycerzami Europy. Jego klęska zadecydowała o trwałym umocnieniu się Turków osmańskich na Bałkanach i ostatecznym upadku Bizancjum. Kres chrześcijańskiego panowania we „wschodnim Rzymie” wyznacza zaś koniec jego tysiącletniej epoki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Hełm otomański
lub perski FOT. WIKIPEDIA

Na placu trzech marszałków



Maciej Rosalak

Zapowiedź odbudowy Pałacu Saskiego – brawo, panie prezydencie RP! – rodzi pytanie: Co z pomnikiem księcia Józefa Poniatowskiego? Dobrze byłoby się nad odpowiedzią zastanowić wcześniej, bo ponowne, jak w czasach II Rzeczypospolitej, ustawienie go na osi Grobu Nieznanego Żołnierza, między skrzydłami odbudowanego pałacu, może spowodować pewne komplikacje, również polityczne. Nasunie się bowiem kolejne pytanie: A co z opuszczonym miejscem przed Pałacem Namiestnikowskim (Prezydenckim)?

Przypomnijmy zatem istotne fakty związane z pomnikiem dłuta Bertela Thorvaldsena. Otóż pierwotnie (za zgodą cara Aleksandra I) miał on stanąć na pl. Krasieńskich, ale w 1829 r. car Mikołaj I wyznaczył dlań miejsce przed Pałacem Namiestnikowskim. Posąg został odlany dopiero po powstaniu listopadowym. Wedle nowego prikazu cara, w 1834 r. rozebrany na części monument zamknięto w twierdzy modlińskiej. Mikołaj I ofiarował to wielkie dzieło zdobywcy Warszawy z 1831 r., namiestnikowi Iwanowi Paskiewiczowi. Ten przewiózł je do swego pałacu w Homlu (od 1870 do 1917 r. przed Pałacem Namiestnikowskim stał – z rozkazu cara Aleksandra II – pomnik samego Paskiewicza). Pomnik księcia Józefa odzyskaliśmy po pokoju ryskim w 1922 r., a komitet pod przewodnictwem premiera Antoniego Ponikowskiego rozważał cztery miejsca jego posadowienia: przed Pałacem Namiestnikowskim, przed kościołem ss. Wizelek, w Al. Ujazdowskich, na pl. Saskim. Wybrano to ostatnie miejsce, ale pierwsze, na którym stanął nareszcie w oczekującej nań ponad wiek Warszawie.

Dodajmy jeszcze, że Niemcy wysadzili pomnik w 1944 r. W 1952 r. Duńczycy podarowali Polakom nowy odlew, władze PRL umieściły go, a właściwie ukryły do 1965 r. w Łazienkach, w 1965 r. ustawiły zaś – zgodnie z pierwszą decyzją cara Mikołaja – przed Pałacem Namiestnikowskim, służącym ówczesnej Radzie Ministrów (zauważmy, że od tamtej pory wskazuje mieczem na zachód, a nie na wschód, jak było przed wojną).

Rozległy pl. Piłsudskiego wydaje się jakby stworzony dla imponującego konnego pomnika w stylu rzymskim, na wysokim cokole, na tle klasycystycznych kolumnad pałacu. Tym bardziej że przypomina o odsłonięciu pomnika w II RP. Stało się to 3 maja 1923 r. z udziałem Józefa Piłsudskiego oraz wielkiego przyjaciela Polski – Ferdinanda Focha, dzięki któremu w dużej mierze powstała, a później przybyła do Polski Błękitna Armia, Niemcy zaś zaprzestali ofensywy przeciw powstańcom wielkopolskim. Dwóch wodzów stało wtedy przed pomnikiem i jeden na pomniku. Dwóch Polaków i Francuz, ale trzech marszałków. W tym: dwóch marszałków Francji – Poniatowski i Foch, oraz dwóch Polski – Piłsudski i Foch, któremu buławę marszałkowską dopiero co wręczył na polskiej granicy minister spraw wojskowych gen. Kazimierz Sosnkowski. © ©

Arsenał Mongołów



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

**/ Zwycięstwa koczowników Wielkiego Stepu
możliwe były także dzięki broni – bynajmniej
nie prymitywnej...**



nę przeciwną niż po założeniu cięgiwy (kształt litery C), tkwiła ogromna moc. Wykonanie broni było bardzo skomplikowane i trwało nawet rok. Rdzeń stanowiła wysuszona brzoza deseczka, a końce, wykonywane również z drewna, musiały mieć naturalne wygięcie; wklejano w nie kościane płytki z wycięciami na cięgiwę; od strony wewnętrznej do brzoźowego rdzenia przyklejano długie płaskie płytki z rogu kozła lub bawołu, a do zewnętrznej odpowiednio spreprowane płytki ze ścięgien zwierzęcych. Owe złożone elementy oklejano paskami kory brzoźowej zapobiegającej wilgoci. Na koniec w centralną wewnętrzną część wklejano płytkę drewnianą, rogową lub kościaną, a na zewnątrz płytkę kościaną. Cięgiwę sporządzano ze splecionych rzemieni wykonanych z surowej, twardej skóry zwierzęcej. Stosowano całą gamę strzał, także z grotami zaopatrzonymi w kościane świstawki, których używano m.in. do celów sygnalizacyjnych.

Specjaliści od bojowych machin oblężniczych byli wysoko cenieni, sprowadzano ich z odległych prowincji, np. z Iranu. Do ciskania kamieni używano machin zbliżonych konstrukcyjnie do trebusza. Poza kamieniami wyrzucanymi z machin wykorzystujących przeciwwagę i włóczniami wystrzelanymi z wielkich kusz ważnym rodzajem amunicji były pociski z naftą i mieszkankami zapalającymi. Były to ceramiczne lub żelazne garnki wypełnione substancją sporządzoną najprawdopodobniej z siarki, saletry, ze związków ołowiu, z wosku, sosnowej żywicy, kilku rodzajów olejów roślinnych, włókna bambusa, włókna sezamu. Opakowana w papier i pokryta smołą masa miotana była po uprzednim zapaleniu dołączonego lontu. Wiemy także, że Mongołowie używali ognia greckiego. Specjalne ceramiczne pojemniki znane są z wykopalisk, znaleziono je m.in. w Karakorum. Znajomość prochu wykorzystywano między innymi do robienia petard, natomiast z przetworzonych surowców roślinnych sporządzano mieszkanki wydzielające gazy. ©

Wojacy Czyngis-chana chętnie korzystali z dorobku innych cywilizacji, przede wszystkim chińskiej, a potem perskiej.

Stan uzbrojenia zmienił się nieustannie w miarę podbojów. Najbogatsi członkowie koczowniczej elity mogli pozwolić sobie na pełen rynsztunek zaczepny i ochronny. Rozpowszechniony był pancerz lamelkowy, którego fragmenty są licznie reprezentowane w grobach. Poza nim stosowano pancerze z utwardzonej wielowarstwowej skóry i watowane kaftany. Znano także kolczuge, jednak z początku stosowano je rzadko. Używano sferycznych hełmów segmentowych zbudowanych, podobnie jak pancerz lamelkowy, z wielu metalowych zbrojników. Często wzmacniano je opinającymi dzwon obręczami. Z Persji zaadoptowano

wysokie hełmy stożkowe wykonywane m.in. z jednego kęsa żelaza. Cechą często spotykaną są profilowane na krawędziach wycięcia na oczy i nosale, a także maski mocowane z przodu do krawędzi dzwonu. Tarcze, znane i używane, nie miały jednak takiego znaczenia jak w Europie i na Bliskim Wschodzie.

W armii mongolskiej zdecydowanie dominowała szabla, chociaż występowały także proste jednosieczne pałasze, a także miecze. Mongolskie szable, niezbyt krzywe, nie są masywne, mają ostry sztych, krótki prosty jelec i trzon rękojeści pochylony w kierunku ostrza. Używano także włóczni, buław, buzdygów, toporów i czekanów. Źródła pisane i ikonografia wskazują na stosowanie zbrojnikowych pancerzy konskich. Najważniejszą rolę w arsenale zaczepnym odgrywał łuk refleksyjny. W łęczysku, wygiętym w stanie spoczynku w stro-

Niszczyciele „Grom” i „Błyskawica”

Niszczyciele były odpowiedzią na rozwój broni torpedowej, który nastąpił pod koniec XIX w. Podstawowe zadanie, czyli osłona zespołu okrętów przed atakami torpedowców, powodowało, że w początkowym okresie nazywano je kontrtorpedowcami. Cechowały je znaczna szybkość oraz uzbrojenie składające się z artylerii małego kalibru i wyrzutni torpedowych. Dość szybko bojowe parametry niszczycieli uległy zwielokrotnieniu, były coraz większe, szybsze i lepiej uzbrojone. Jako okręty uniwersalne świetnie sprawdzały się w rozmaitych samodzielnych zadaniach. Gwałtowna rozbudowa flot niszczycieli nastąpiła w czasie I wojny światowej i w okresie międzywojennym. Cztery niszczyciele oraz stawiacz min ORP „Gryf” stanowiły trzon polskiej Marynarki Wojennej w chwili wybuchu II wojny światowej. „Grom” oraz bliźniacza „Błyskawica”

powstały w angielskiej stoczni J. Samuel White & Co. Ltd. z Cowes. Budowę rozpoczęto w 1935 r. według wytycznych Kierownictwa Marynarki Wojennej. Dwa lata później okręty oddane zostały do służby. Jednostki te były w owym okresie bardzo nowoczesne. Wyporność pełna wynosiła 2400 t, długość okrętu 114 m, szerokość 11,3; napęd stanowiły dwa zespoły turbin parowych, pozwalające osiągnąć prędkość prawie 40 węzłów. Uzbrojenie składało się z siedmiu dział kal. 120 mm rozmieszczonych w wieżach, czterech dział plot. kal. 40 mm, a ponadto ośmiu nkm-ów kal. 13,2 mm oraz wyrzutni bomb głębinowych do zwalczania okrętów podwodnych (zapas 20 bomb), sześciu wyrzutni torped kal. 533 mm; dodatkowo okręt dysponował zapasem 44 min morskich. ©©



Samolot A6M



Opracowany został dla japońskiej marynarki, a seryjne egzemplarze wzbily się w niebo w 1940 r. A6M oznaczało: A – samolot pokładowy; 6 – kolejny projekt w klasie myśliwców pokładowych; M – zakłady lotnicze Mitsubishi. Inna nazwa to Reisen 11, japoński skrót od pełnego określenia: samolot pokładowy Typ 0 (ostatnia cyfra roku, według japońskiego kalendarza 2600, wprowadzenia do uzbrojenia) Model 11. Maszyna miała górować nad przeciwnikami przede wszystkim zwrotnością. Do 1941 r. oszałamiające sukcesy japońskich myśliwców pokładowych sprawiły, że Zero zyskał miano niezniszczalnego, ale w chwili pojawienia się nowych amerykańskich pokładowców Grummana, czyli F4F Wildcat i F6F Hellcat, przewaga japońskich pilotów przeszła do historii. Reisen, mimo modyfikacji przeprowadzonych w toku wojny, okazał się łatwym celem z uwagi na brak opancerzenia kabiny pilota i samouszczelniających się zbiorników paliwa oraz słabe uzbrojenie ofensywne. ©©

Włócznia skrzydełkowa

To broń pochodzenia germańskiego, która pojawiła się w IV w. n.e. w okresie wędrówek ludów i przetrwała w uzbrojeniu aż do wczesnego średniowiecza. Grot zaopatrzono w charakterystyczne boczne poprzeczki-skrzydółka (stąd nazwa), często w formie odwróconego trójkąta równoramiennego. Same groty miały różną długość i dochodziły nawet do 50 cm, a kształtem przypominały liść wierzby. Kiedyś uważano, że poprzeczki miały przeciwdziałać zbyt głębokiej penetracji po uderzeniu w przeciwnika, tak aby włócznię można było szybko wyjąć dla

zadania kolejnego pchnięcia. Wydaje się jednak, że służyły raczej do parowania i odbijania ciosów zadawanych rozmaitym orężem, czyli do prowadzenia fechtunku. Kilka egzemplarzy pochodzi z terenów Polski – znaleziono je m.in. na dnie Jeziora Lednickiego. Ten typ reprezentuje również przechowywana w Wiedniu sacra lancea – czyli Włócznia św. Maurycego (jej kopię podarował Otton III Bolesławowi Chrobremu w 1000 r. – ta bezcenna pamiątka znajduje się na Wawelu). Według jednej z legend włócznią miał się posługiwać Karol Młot w bitwie z Arabami pod Poitiers. ©©





XX w. / Rewolucja w tekstyliach

Nylonowy przewrót



Tymoteusz Pawłowski

/ Masowa produkcja tego materiału pomogła amerykańskim żołnierzom wygrać II wojnę światową. Po wojnie nylon zrewolucjonizował z kolei życie kobiet

Sztuczne włókna królują dziś w przemyśle tekstylnym. Najbardziej znanym z nich jest bez wątpienia nylon, mający za sobą 80 lat historii. Można go znaleźć w zaskakujących

miejscach – panewkach łóżysk czy kół zębatach – ale największe znaczenie mają nylonowe rajstopy.

Dawno, dawno temu świat nie był tak skomplikowany jak dziś. Odpowiedź na pytanie, w co się ubrać, była bardzo prosta. Można było narzucić na siebie skórę albo założyć wełnianą togę. Z Egiptu przyszła do Imperium Rzymskiego moda na bawełnę, która później – po kilkunastu wiekach – wyparła z Europy tkaniny konopne i lniane. Nie można też zapomnieć o jedwabiu, luksusie z motywów kokonów, którego tajemnicę wykradli z Chin bizantyjscy szpiedzy.

Wraz z nadejściem średniowiecza – a właściwie z przesunięciem się centrum cywilizacji europejskiej na północ Europy – tkaniny stały się najważniejszym towarem handlowym. Trzeba było chronić się przed mrozem! Walka o sukno doprowadziła do wielu wojen, dała oka-

zję do powstania suwerennych państw – chociażby Belgii oraz Holandii – i leżała u podstaw sukcesu imperium brytyjskiego. W XIX w. światem rządził z kolei „Król Bawełna”: od Indii przez Egipt do Ameryki. Południowe Stany postanowiły dokonać secesji w początku lat 60., gdy cena bawełny była bardzo wysoka, ale szybko spadła, konfederacja nie uzyskała poparcia innych mocarstw i przegrała. Być może, gdyby ceny bawełny zmieniały się w inny sposób, Stany Zjednoczone nie byłyby dziś mocarstwem, lecz jednym z wielu państw Ameryki Północnej...

Rośliny, z których pozyskiwano bawełnę, len czy konopie, były nie tylko drogie, lecz także podatne na zawirowania polityczne. Szukano zatem tańszych zamienników, których cena nie poszybowała w górę z powodu rewolucji w Egipcie czy wojny domowej w Ameryce. W początkach XIX w. dokładnie zbadano celulozę,



Zaprezentowane w 1939 r. nylonowe pończochy zachwyciły cały świat
FOT. ALAMY/BESW

znana jest jako sztuczny jedwab. Można mieć jednak uzasadnione wątpliwości co do „sztuczności” wiskozy, bo chociaż jej produkcja wymaga skomplikowanej obróbki chemicznej, to przecież powstaje z włókien roślinnych. Impuls do powstania prawdziwie sztucznych, syntetycznych tkanin dała I wojna światowa, podczas której państwa zainwestowały olbrzymie pieniądze w przemysł chemiczny. Skutki tych inwestycji pojawiały się nawet wiele lat po wielkiej wojnie.

Jednym z przykładów takich powiązań jest laureat Nagrody Nobla z 1918 r., Fritz Haber. Dostał ją za opracowanie metody syntezy amoniaku z azotu i wodoru, czyli stworzenie doskonałego nawozu sztucznego. Dokonał tego jeszcze przed wielką wojną, bo w czasie jej trwania zajmował się produkcją materiałów wybuchowych oraz bojowych środków trujących, a po jej zakończeniu – odbudową niemieckiego przemysłu zbrojeniowego oraz wynalezieniem cyklonu B. Zanim uciekł z III Rzeszy przed antysemickimi prześladowaniami, zainicjował badania nad syntetycznym polimerem, który dostał nazwę „perlon”. Niemcy rozpoczęli jego produkcję w czasie wojny w fabryce w Gorzowie. W 1945 r. Gorzów trafił do państwa polskiego, a wraz z nim i fabryka. Zmieniono tylko nazwę włókna – w PRL nazywało się ono „stilon”.

Jednak największy sukces osiągnął amerykański koncern Du Pont. Udało mu się wytworzyć całkowicie syntetyczne włókno, jak mówiły reklamy: „z węgla i powietrza”, a raczej z węgla i azotu. Opatentowano go w 1935 r. i wykorzystano do produkcji szczoteczek do zębów. Nie zrobiło to na publiczności większego wrażenia. Dopiero zaprezentowanie pończoch – na nowojorskiej Wystawie Światowej w październiku 1939 r. – zachwyciło cały świat.

Nowe włókno nazwano nylonem. Różnie tłumaczy się tę nazwę. Firma twierdziła, że „nyl-” to nic więcej, jak tylko kod oznaczający kolejny wynalazek, a końcówka „-on” jest taka sama jak w słowie „cotton”, czyli bawełna. Agencje reklamowe utrzymywały, że nazwa nawiązuje do dwóch stolic światowej mody – New York i London. Nie tak dawno temu wyszło na jaw, że początkowo materiał

miał się nazywać „no-run”, czyli „nieprujący się”, ale po poprawkach dokonanych przez prawników i lingwistów ostatecznie pojawiła się nazwa „nylon”.

Pończochy nylonowe kosztowały jednak dwa razy więcej niż jedwabne, więc nowe włókno nie było wielkim sukcesem komercyjnym. Wtedy jednak Stany Zjednoczone zaangażowały się w II wojnę światową, zmobilizowały 10-milionową armię, którą trzeba było ubrać i wyposażać w plecaki, linki, hamaki... Cała produkcja nylonu została przejęta przez wojsko, za państwowe pieniądze powstawały kolejne linie produkcyjne, a gdy wojna się skończyła, nylon był tani i wyczekiwany przez kobiety.

W 1939 r. pończochy jedwabne kosztowały 2 dol., pończochy nylonowe – 4 dol. W 1942 r., gdy ustał import jedwabiu, pończochy na amerykańskim czarnym rynku kosztowały już 20 dol. (inflacja sprawia, że ceny te należy dziś pomnożyć przez 10). Zakończenie wojny było więc przez amerykańskie kobiety oczekiwane nie tylko dlatego, że do domów powrócą synowie i mężowie, lecz także dlatego, że przywrócona zostanie produkcja nylonowych pończoch. Nie ma w tych słowach żadnej przesady: w drugiej połowie 1945 r. nylonowe pończochy stały się przyczyną rabunków, włamań, morderstw, a przez Stany Zjednoczone przetyczyły się nylonowe zamieszki. Setki tysięcy kobiet tłoczyły się w kolejkach po „nylony”, w ruch szły pięści, a złamane żebra były na porządku dziennym.

Skandal był tak potężny, że nie tylko zagroził interesom koncernu Du Pont, lecz także doprowadził do kryzysu państwa. W jego rozwiązanie zaangażowała się administracja rządowa i wymusiła darmowe udostępnienie patentów konkurencyjnym koncernom chemicznym. W ten sposób nylony trafiły również za żelazną kurtynę – do Polski. W latach 50. XX w. cena nylonowych pończoch stawała się coraz niższa, zresztą coraz rzadziej były to pończochy. Elastyczność nylonu pozwoliła bowiem wyeliminować pasy do pończoch i wprowadzić na rynek – w 1959 r. – rajstopy.

Obawiam się, że choćbym nie wiem jak się starał wyjaśnić wielkość wynalazku i znaczenie nylonowych rajstóp, będzie to próżny wysiłek. Męskiej połowie społeczeństwa trudno to zrozumieć. Damskiej połowie nie trzeba tego tłumaczyć w ogóle.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

polimer produkowany przez rośliny. Polimer, warto wyjaśnić, to łańcuch cząsteczek, w przypadku celulozy składający się z ok. 10 tys. cząstek glukozy. To właśnie ta „łańcuchowość” sprawia, że jest to doskonały budulec dla włókien. Najwięcej celulozy zawiera bawełna – ok. 90 proc. – ale nawet zwykłe drewno zawiera jej od 45 do 50 proc. Nic więc nie stoi na przeszkodzie, by produkować tkaniny z drzewa bukowego czy świerkowego.

Sztuczny jedwab

Celulozę można rozpuścić bardzo żrącym ługiem sodowym, a następnie bardzo śmierdzącym dwusiarczkiem węgla. Otrzymywano w ten sposób kleistą – po angielsku „viscous” – ciecz, z której następnie formowano włókna. Technologię produkcji opatentowano w 1894 r. i choć była ona bardzo nieprzyjazna środowisku naturalnemu, to dawała doskonałą tkaninę. W Polsce znana jest ona jako wiskoza, do dziś jest bardzo popularna i powszechnie noszona. Nieco tylko inny – mniej żrący i śmierdzący – jest sposób produkcji wiskozy, która w swojej najbardziej eleganckiej formie

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

LATEM 1109 ROKU HENRYK V ROZPOCZĄŁ PRZYGOTOWANIA DO ATAKU NA POLSKĘ, WYŚLAŁ TAKŻE DO BOLESŁAWA KRZYWOSTEGO LIST Z ZADANIAMI.



...DLATEGO WINIENES ALBO PRZYJĄĆ Z POWROTEM BRATA ŚWIEGO ZBIGNIEWA, ODDAJĄC MU POŁOWĘ KRÓLESTWA, A MNIĘ PŁACIĆ ROCZNIE 300 GRZYWIEN TRYBUTU, LUB TYLŻE RYCERZY DOSTARCZYĆ NA WYPRAWĘ, ALBO ZE MNĄ, JEŚLI CZWESZ SIĘ NA SIŁACH, PODZIELIĆ MIECZEM KRÓLESTWO POLSKIE.

BACZ, KOMU GROZISZ, JEŚLI CHCESZ WOJOWAĆ, ZNAJDZIESZ WOJNĘ!



WOJSKA NIEMIECKIE POD WODZĄ HENRYKA V WYRUSZYŁY NA WYRUSZYŁY NA POCZĄTKU SIERPNI, GDY KRZYWOSTY BYŁ ZAJĘTY WALKĄ Z POMORZANAMI OBLEGAJĄCYMI NAKŁO. 24 SIERPNI ARMIA, WZMOCNIONA PRZEZ POSŁKI CZESKIE, PRZEPRAWIŁA SIĘ PRZEZ ODRE W OKOLICACH GŁOGOWA. GDY NIE UDAŁO SIĘ WZIĄĆ GRODU Z ZASKOCZENIA, HENRYK V ZŁOŻYŁ PROPOZYCJĘ JEGO MIESZKAŃCOM.



MAMY DAĆ MU ZAKŁADNIKÓW, A ON PRZYSIĘGA, ŻE ICH UWOLNI, JEŚLI W PIĘĆ DNI DOPROWADZIMY DO ZAWARCIA POKOJU LUB POROZUMIENIA.

CESARSKĄ PRZYSIĘGĘ SKŁADA!

MOŻEMY MU UFAĆ!

TRZEBA WIĘC POSELANCA DO KRÓLA JAK NAJSZYBCIEJ SIŁĄ. A PRZEZ TEN CZAS DO OBRONY SIĘ PRZYGOTWEMY.



NASZ KRÓL ODPOWIEDZIAŁ: NAKAZUJĄC OBRONĘ GRODU. PROSIMY WIĘC O UWOLNIENIE ZAKŁADNIKÓW.



TAK SIĘ JEDNAK NIE STAŁO. A NIEMCY ROZPOCZĘLI PRZYGOTOWANIA DO OBLEŻENIA.

PRZYWIĄZCIE DO NIEJ ZAKŁADNIKÓW! GDY ICH ZOBACZĄ, OTWORZĄ NAM BRAMY!



WBREW OCZEKIWIANIOM HENRYKA V, WIDOK TEN NIE ZŁAMAŁ DUCHA OBRONCÓW.

NIEMCY PONOSILI DUŻE STRATY I KOŃCZYŁY IM SIĘ ZAPASY. ODDZIAŁY WYSŁANE W CELU ZDOBYCIA JEDZENIA BYŁY ROZBIJANE PRZEZ BOLESŁAWA KRZYWOSTEGO, KTÓREGO WOJSKO W MIĘDZYZCZASIE DOTARŁO W OKOLICE GŁOGOWA.

PO TRZECH TYGODNIACH HENRYK V ROZKAZAŁ ODSZTAPIĆ OD OBLEŻENIA.



**Sławomir
Cenckiewicz**

/ Felieton

Bolkowatość

III RP

Ostatni miesiąc należy do Lecha Wałęsy. Jego jednoosobowy show w gdańskim sądzie, gdzie broni „prawdy” o Jarosławie Kaczyńskim, który zabił swojego brata i uczestników tragicznego lotu do Smoleńska, trwa w najlepsze. Przeniósł się nawet za ocean, gdzie w pogrzebowym nabożeństwie za duszę George’a Busha seniora „nasza ikona” wystąpiła w golfokoszulce z napisem „KONSTYTUCJA”. Niezliczona ilość wynurzeń i agresywnych wpisów na Facebooku ukazuje prawdę o tym człowieku w pełnej krasie.

Każdy inny człowiek byłby już skończony. Nieprzebierający jednak w środkach agresywny laureat Pokojowej Nagrody Nobla reklamowany jest przez polityków, samorządowców, domorodnych analityków i pseudohistoryków oraz przemożne lobby medialne jako „żywa ikona” i „dobro narodowe”. Owo „dobro narodowe” co jakiś czas pokrzykuje na wszystkich Polaków, poucza, naucza i obwieszcza kolejne życiowe mądrości jako wszechwiedzący ekspert. A dominujące media niemal codziennie przywołują postać Wałęsy, dawnego ulubieńca i „mędrca Europy”, jako człowieka powszechnego zaufania i autorytet moralno-polityczny. Oglądając TVN lub czytając „Gazetę Wyborczą”, można odnieść wrażenie, że noblista jest dobry na wszystko. Na pogodę i niepogodę, na huragany i powodzie polityczne, na wzrost w sondażach i na dramatyczny spadek preferencji, na Tuska zwycięskiego i na okulawionego... W tej propagandowej nachalności do perfekcji doszli „platformerscy” samorządowcy Gdańska, którzy w zimie urządzają konkurs na najlepszego Lecha ulepionego ze śniegu i z lodu, stawiają jego biust na cokole restaurowanego Neptuna na Długim Targu, latem

zaś organizują zawody na piaskowy pomnik Lecha na gdańskiej plaży. Dzieł tych musi strzec jednak straż miejska, bo miłość do Wałęsy nie zna granic...

Laureat Pokojowej Nagrody Nobla, były związkowiec, w 2012 r. proponuje palowanie i strzelanie do strajkujących. W epoce – jak ją określa – „globalizacji, intelektu i Internetu” straszy wojną domową, upadkiem Polski, powszechną nędzą i totalnym rozpadem. Wbrew wszelkim usiłowaniom, wbrew wysiłkom połączonych sił milicji, ZOMO, ORMO, SB i WSW oraz wszelkich policji jawnych, tajnych i dwugłowych wspieranych przez zmobilizowany do najwyższego wysiłku front propagandy, jednoczący cały obóz okrągłostołowy, coraz to

**/ Laureat Pokojowej
Nagrody Nobla
w 2012 r. proponuje
palowanie i strzelanie
do strajkujących,
straszy wojną domową**

wyraźniej wychodzi na jaw prawda o agencie „Bolku”, jego wielopłaszczyznowych uwikłaniach, zakrętach życiowych, zaciągniętych zobowiązaniach, które uczyniły z niego osobę głęboko niesuwerenną, a właściwie po prostu więźnia dominującego w Polsce postkomunistycznego układu.

O Wałęsie wiadomo już niemal wszystko. Każda nowa dawka wiedzy odsłania pełniejszy obraz tego, co w zasadzie już wiemy. A mimo to drepczemy w miejscu, bo Polskę dzieli spór, pod który Wałęsa się sprytnie podłączył. Jakże rzadko można spotkać „platformersa”, który przyzna, że Wałęsa jest „Bolkciem”. „Bolek” stał się częścią pakietu poglądów,

w którym jego prawdziwe oblicze – nie tylko zresztą „Bolkowe”, lecz także homofobiczne i seksistowskie – uzupełnione wizerunkiem Matki Boskiej, nie mają już znaczenia. Wałęsa to fragment dysfunkcyjnego systemu III RP. Pisał o tym jakiś czas temu Andrzej Zybertowicz w eseju „Bolkowatość III RP”: „Okoliczność, iż wokół tej książki [»SB a Lech Wałęsa«] nie rozwinęła się rzeczywista, uczciwa dyskusja – w tym akademicka – jest dodatkowym argumentem na rzecz trafności obrazu III RP, jaki się z tej książki wyłania. Jest poważnym argumentem na rzecz tezy o intelektualnej słabości znacznej części środowiska historyków oraz przedstawicieli polskiej humanistyki w ogóle. Kto bolkuje rozwój Polski? Między innymi cały czas brakuje nam studiów, które pochylą się nad kwestiami takimi jak: jakie szkody i komu wyrządziła współpraca Wałęsy z SB w latach siedemdziesiątych? Jaki wpływ na decyzje i sposób myślenia Wałęsy, od momentu rozpoczęcia jego kontaktów z WZZ aż do publikacji recenzowanej książki, miało stałe powielanie matactw wokół jego przeszłości? Czy i jakimi sposobami była wywierana na Wałęsę presja, by już jako prezydent RP nie działał w określony sposób? Jaką rolę grały tu tajne służby PRL, III RP, służby innych państw – zwłaszcza ZSRR i Rosji – konkretne ugrupowania polityczne, biznesowe i osoby prywatne? Jak interpretować zachowania jego wieloletnich współpracowników w kłamstwie lub/i zakłamaniu – polityków, historyków, dziennikarzy i ich szefów, intelektualistów, badaczy, tzw. autorytetów? [...] Słowem, bez rzetelnego opisu bolkowatości nie zrozumiemy kraju, w którym żyjemy, nie zrozumiemy powiązań, które blokują (chciałoby się rzec: bolkują) rozwój Polski”.

Nic dodać, nic ująć. ©©

100-lecie

ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

1918
2018



Militaria.pl

GDYNIA ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • KATOWICE GALERIA KATOWICKA • KRAKÓW DIETLA 51 • ŁÓDŹ MANUFAKTURA • POZNAŃ POSNANIA • POZNAŃ STARY BROWAR
SZCZECIN AL. PIASTÓW 53 • WROCŁAW OŁAWSKA 16 • WROCŁAW ALEJA BIELANY • WARSZAWA BLUE CITY • WARSZAWA TAMKA 49 • WARSZAWA WOLA PARK

ZAMÓWIENIA: 71 347 47 47 • INTERNET: www.Militaria.pl